

**KATARZYNA BERENIKA MISZCZUK**

**Wilk**

*Dla mojej Mamy Barbary;  
to Ty nauczyłaś mnie  
kochać książki. Dziękuję*

## Prolog

Biegłam przez gęsty las. Czułam pod stopami suche liście i gałązki, słyszałam, jak pękały z trzaskiem. Nie miałam pojęcia, dlaczego biegnę ani dokąd. Wiedziałam tylko, że jeśli się zatrzymam, to stanie się coś strasznego.

Dookoła mnie rozpościerała się ciemność. Jedyne wysoko nad drzewami, przez stalowe chmury przenikało światło księżyca, kładące się upiornym blaskiem na powykęcane konary drzew. Była pełnia.

Nie oglądałam się za siebie. W ciszy nocy słyszałam tylko swój świszczący oddech i szelest liści. Zagłębiając się coraz bardziej w ciemność ogromnego lasu, mijałam w biegu wysokie stare drzewa.

Nagle coś za mną zatrzeszczało. Chociaż bardzo chciałam, nie mogłam się odwrócić. Przyspieszyłam tylko. Wyczuwałam teraz, bardziej niż słyszałam, że ktoś lub coś biegnie parę kroków za mną. I było coraz bliżej! Nagle poczułam ciepły oddech owiewający mój kark...

Potknęłam się o wystający korzeń. Przerazona upadłam, kalecząc ręce, i zaczęłam głośno krzyczeć...

## 1.

Czy może być coś gorszego od przeprowadzki do małego, nudnego miasteczka? I to na dodatek w połowie drugiego semestru!

OK, rozumiem. Mama dostała awans i pracę w tutejszym Instytucie Badań nad Medycyną, więc musieliśmy się przeprowadzić. Ale dlaczego właśnie teraz?! Nie mogli z tym poczekać parę miesięcy, aż skończę rok szkolny? Czy to by było takie trudne?!

No... dobrze, może nie powinnam się czepiać. Bo tu jest generalnie niby lepiej. W Nowym Jorku mieszkaliśmy co prawda w apartamencie, ale w wieżowcu, a teraz mamy tylko dla siebie cały dom, i to z ogrodem. Mój pies, seter o imieniu Sweter (tak... wiem, jak to brzmi, ale mnie się podoba), strasznie się tam męczył. Zupełnie nie miał gdzie się wybiegać. Za to tutaj cały dzień może spędzać na dworze. (No i nie trzeba go już wyprowadzać, a to naprawdę duży plus).

Jednak nie czuję się tu najlepiej. W Nowym Jorku zostawiłam wszystkich znajomych i całe moje dotychczasowe życie. Może i nie było zbyt ciekawe, ale było moje. I szczerze mówiąc, bardzo za nim tęsknię. Poza tym samo miasto było fajne. No dobra, mogli cię okraść albo nawet zabić po zmroku, niebo było szare od zanieczyszczeń, ludzie nieuprzejmi, a ten ciągły hałas wielkiego miasta sprawiał, że powoli się głuchło, ale jakkolwiek by na to patrzeć, to był mój dom. A teraz co? Teraz moim domem ma być jakieś Wofltown (swoją drogą durna nazwa...), które po raz pierwszy zobaczyłam parę dni temu i wcale mi się nie spodobało.

Nasz nowy dom jest podobno zabytkowy (kto chciałby mieszkać w zabytku...?), cały z drewna, a dach ma pokryty starymi, wyblakłymi od słońca dachówkami. Nawet nie wygląda tak źle, od frontu jest uroczy ganek z huśtawką. Tak, mam własną huśtawkę! Super!!! Wiem, że to dziecinne, ale naprawdę się cieszę.

Nie mogę jednak znieść tego, że w nocy wszystko w tym domu skrzypi i trzeszczy. Człowiek ma wrażenie, że ktoś obcy się po nim kręci. Okropność... Pierwszej nocy co chwila się budziłam i wyglądałam z pokoju, żeby sprawdzić, czy się do nas ktoś nie włamuje.

W pobliżu naszej posesji, tuż za płotem, ciągnie się wielki ciemny las. Sama radość, prawda? Mieszkamy na końcu świata, bo w zasadzie już poza miastem. Hm, miastem? Po Nowym Jorku Wofltown wydaje mi się zapadłą dziurą. Tutaj jest tylko jedno kino, jedno centrum handlowe, jedna podstawówka i jedno liceum. Okropna dziura! No i kto mi powie, że tu się da wytrzymać?

No i ta cisza. Tu wszędzie jest strasznie cicho. Połowy pierwszej nocy nie przespałam, bo poza skrzypieniem nie słyhać tu niczego, a przez pozostałą

część nocy dręczył mnie okropny koszmar. Jeszcze nigdy nie miałam tak strasznego snu. To chyba przez ten dom. No, bo czy tu można spokojnie spać?

Natomiast mój pokój bardzo mi się podoba. Znajduje się z dala od pozostałych, na piętrze, a okna wychodzą na ogród. Jest duży i ma własną werandę z pergolą sięgającą do samej ziemi. Jakbym się uparła, to mogłabym po niej schodzić na dwór. Wiem, bo już próbowałam – jest super. Tylko trochę się podrapałam o pnące róże.

Zaraz następnego dnia po przeprowadzce zaczęłam rozpakowywać pudła z moimi rzeczami. Kto by podejrzewał, że mam ich aż tak dużo? A jeden mebel wprost mnie oczarował – łóżko. Jest olbrzymie z kolumnkami i moskitierą. Wreszcie komary nie będą mi utrudniać życia, a podejrzewam, że tu jest ich cała masa. Wokół lasy, jest więc wilgotno. Mogę się założyć o wszystko, że komary tu są i tylko czekają, aż niczego nie przeczuwając, wystawię nogę spod kołdry.

Moją kolekcję płyt CD razem z wieżą ustawiłam obok wnęki okiennej. To wymarzone wprost miejsce do siedzenia i słuchania The Calling, Good Charlotte, Busted czy The Rasmus.

Nie mogę się już doczekać, kiedy wszystko uporządkuję i będę mogła trochę odpocząć, słuchając muzyki. Bo muzyka to mój żywioł – nie mogę bez niej żyć. Codziennie słucham jej przynajmniej przez godzinę, bardzo często też nucę coś albo pogwizduję. Doprowadzam tym rodzinę do szału, ale cóż – kocham to. A poza tym każdy chyba przyzna, że robienie na złość rodzinie też jest przyjemnym zajęciem.

Właśnie przypinałam do korkowej tablicy moją kolekcję rysunków (w wolnych chwilach lubię szkicować, zwłaszcza portrety; jedynym problemem jest to, że nie zawsze mój portret odpowiada pierwowzorowi, ale mówi się: trudno), kiedy usłyszałam krzyk mamy:

– Margo, obiad!

Chcąc, nie chcąc (raczej nie chcąc), przerwałam rozmyślenia nad tym, które „dzieło” gdzie powiesić i zesłałam na dół.

Mama z prawdziwym zapałem urządziła jadalnię: na środku długi stół przykryty lnianym obrusem, jakieś kwiaty w wazonie, na podłodze puszysty perski dywan, a pomalowane na pastelową zieleń ściany ozdobiła sielskimi akwarelami. Hm, jak na mój gust jest trochę za słodko. W naszym starym mieszkaniu w ogóle nie było jadalni i posiłki jedliśmy w kuchni. Natomiast tu: żyć nie umierać. Wielka chata, wszystko się mieści, a Sweter szaleje ze szczęścia, bo cały dzień może spędzać na dworze. Chciałabym móc się tak cieszyć jak on...

Tata zamontował w drzwiach kuchennych specjalną klapkę, żeby Sweter mógł swobodnie wchodzić i wychodzić. Mama początkowo nie chciała się na nią zgodzić. No wiecie, złodzieje i dzikie zwierzęta też mogą tędy wejść do środka. Ale ja wierzę, że mój odważny pies potrafi przepędzić wszystkich

nieproszonych gości.

– Co dziś dobrego? – spytałam.

– Kurczak z rożna, ziemniaki i sałatka warzywna – odpowiedziała z uśmiechem mama.

– Znowu kurczak? – jęknęłam. – Nie znoszę go.

To chyba jedyna mięsna potrawa, której nie lubię. Serio...

– Póki nie zrobimy zakupów, musimy jeść to, co jest. – Tata spojrzał na mnie surowo i usiadł przy stole.

No dobra, jakoś sobie z tym poradzę. Mam wypróbowany sposób na kurczaka. To znaczy, mamy, ja i Sweter. Mój ukochany piesek siedzi pod stołem, a ja cichaczem zrzucam mu jedzenie. Taak... tylko że tym razem ten numer raczej nie przejdzie, bo Sweter wybył gdzieś na dwór. Jest pewnie w ogrodzie, bo do lasu się sam nie dostanie. Wokół naszej posesji jest taki niewysoki płot. Sweter go nie pokona, ale byle jaki złodziej zdołałby przeskoczyć. No tak, tylko że w Wolftown pewnie nie ma nawet złodziei. Co za dziura...!

W rezultacie z obiadem musiałam sobie radzić sama. Kiedyś, gdy jeszcze byłam mała, mama dawała się nabrać na starą jak świat sztukę z przesuwaniem jedzenia na talerzu. Chodzi w niej o to, że jak się trochę je poprzesuwa, to wygląda, jakbyś coś zjadł. Niestety, ten sposób przestał działać już dobrych parę lat temu. Musiałam więc wcisnąć w siebie trochę tego obrzydlistwa. Ble...

– Smakuje ci? – spytała mama. Naiwność ludzka nie zna granic, no nie?

– Ehe – mruknęłam, próbując się nawet uśmiechnąć, ale chyba nie wyszło to przekonująco, bo mama się połapała.

– Coś nie tak, Margo? – Przyjrzała mi się uważnie.

– Nie, nic – odparłam.

– Znowu miałaś ten sen? – zapytał z niepokojem tata.

Czy oni muszą być tacy dociekliwi? Owszem, znowu śniło mi się to samo, co poprzednio, ale przynajmniej tym razem, budząc się, nie postawiłam całej rodzinki na nogi.

– Nie, nie miałam – odpowiedziałam.

Mój tata jest psychoterapeutą i nie miałam ochoty na jego kazania. Zaraz by się do mnie przyczepił. Sam co prawda nie zajmuje się prowadzeniem terapii, tylko pisaniem książek z tej dziedziny i wykładami, ale zaraz pewnie próbowałby zaciągnąć mnie do któregoś ze swoich kolegów po fachu, żeby mogli razem przeanalizować moją psychę. Jakaś zadziwiająca przyjemność sprawia mu zgłębianie czyichś problemów emocjonalnych.

– Jestem tylko zmęczona całym tym zamieszaniem – dodałam, widząc ich pełne podejrzliwości spojrzenia.

– Może położysz się dzisiaj wcześniej? – zaproponowała mama.

– Dobrze – odpowiedziałam ugodowo.

I wtedy przypomniałam sobie, że rano to dopiero czeka mnie horror. Bo czy człowieka może spotkać coś gorszego niż bycie nowym w szkole? Przez całe miesiące (jeśli nie lata) zamknięte społeczeństwo Wolftown będzie mnie traktować jako „tę nową”. Nikt nie będzie chciał ze mną gadać. „O, patrzcie, to ta nowa, przyjechała z Nowego Jorku. Pewnie myśli, że jest taka... wyjątkowa”. Już słyszę te uwagi i złośliwości kierowane pod moim adresem. Ekstra... Aż nie mogę się doczekać. W końcu każdy chciałby być traktowany jak osoba zarażona dżumą, no nie?

Pogrzebałam znowu w zimnym kurczaku, ale widząc ostrzegawcze spojrzenia mamy, zmusiłam się do przełknięcia paru kęsów. Był wstrętny!

– Pójdę się dalej rozpakowywać – powiedziałam w końcu i z ulgą wstałam.

Gdy już wróciłam do swojego pokoju, włączyłam głośno The Calling, usiadłam w wykuszu na parapecie i zapatrzyłam się w las. Szczerze mówiąc, napawa mnie pewnym lękiem, ale to przez te sny. Zanim się pojawiły, bałam się wyłącznie pajaków i wszelkiego rodzaju robactwa. Ekstra – teraz do listy moich fobii doszedł las...

Reszta dnia minęła mi na najprzyjemniejszym zajęciu, czyli nicnierobieniu i słuchaniu muzyki. Natomiast wieczorem, kiedy nawet to mnie już znudziło, przebrałam się w piżamę i położyłam do łóżka, słuchając tym razem Evanescence. Chciałam chwilę poczytać, ale oczy jakoś tak same mi się zamknęły...

Biegłam pomiędzy drzewami. Otaczała mnie ciemność, nie docierał do mnie nawet nikły blask księżyca. W tej nienaturalnej ciszy głośne bicie mojego serca wydawało się wręcz nie na miejscu, ale nie mogłam się uspokoić, byłam zbyt przerażona.

Przyspieszyłam.

Nagle usłyszałam za plecami kroki, szybko zbliżały się do mnie. Biegłam dalej, starając się omijać korzenie wystające z ziemi. Gałęzie co chwila boleśnie uderzały mnie w twarz i ramiona, ale nie zwracałam na to uwagi.

Kroki było słychać coraz wyraźniej. Przed sobą zobaczyłam majaczące w ciemności wzgórze. Skierowałam się w jego stronę. Szybko zaczęłam się na nie wspinać. Byle tylko uciec. Byle tylko uciec!

Gdy już dotarłam na szczyt, usłyszałam wycie wilka. Przerażona odwróciłam się w prawo. Kilkanaście metrów ode mnie stał olbrzymi czarny wilk i wył do księżyca. Mój prześladowca się zbliżał. Poczułam, jak jego palce dotknęły mojego ramienia. W następnym momencie już tylko krzyczałam...

Przerażona, nie mogłam przestać. Szamotałam się z kołdrą, próbując się

od niej uwolnić. Nagle obudziło mnie ostre światło.

– Margo! Spokojnie córeczko, spokojnie – powtarzała cicho mama, odgarniając mi z czoła mokre od potu włosy. – To tylko sen, kochanie. Spokojnie...

– Mamo. – Zdołałam wykszusić tylko tyle, gardło nadal miałam ściśnięte ze strachu.

Byłam przerażona. Mój sen się zmienił! Nie był taki jak poprzednie. Teraz zobaczyłam wilka, a na dodatek ktoś, „on”, mnie dotknął. Wcześniej słyszałam tylko jego kroki i czasem czułam oddech na karku, jakby był tuż obok. Ale nigdy wcześniej mnie nie dotknął!

Czułam, że to źle, bardzo źle. Nie wiedziałam tylko dlaczego? Dlaczego przed nim uciekam? Dlaczego tak się go boję?

– Nic ci nie jest, córeczko? – spytała mama, nie mniej przerażona ode mnie. – Może napijesz się wody?

– Dobrze – odpowiedziałam niezbyt przytomnie i patrzyłam z lękiem, jak wychodzi.

Gdy wróciła, nadal byłam roztrzęsiona, ale zdołałam się już trochę uspokoić. Uśmiechnęłam się nawet i wzięłam od niej szklanę.

Nagle za oknem rozległo się wycie. Uśmiech zamarł mi na ustach i upuściłam szklanę, wylewając na siebie całą jej zimną zawartość.

– Co to było?! – krzyknęłam, patrząc w stronę okna, za którym księżyc w pełni wychylał się właśnie zza chmury.

– Prawdopodobnie wilk – odpowiedział milczący dotychczas tata. Nawet nie wiedziałam, że też tu jest. – Pełno ich w tych lasach.

– Co?! – znowu krzyknęłam.

– Eee, no wilki – zmieszał się tata. – Nie mówiłem ci o nich?

– Nie! – odpowiedziałam z wyrzutem.

– No cóż, teraz już wiesz – stwierdził i uśmiechnął się niepewnie. – Zresztą i tak nie wychodzą z lasu, a ty na pewno się do nich nie wybierasz, więc problem z głowy.

No tak. Tata i to jego proste rozumowanie. Ja raczej do lasu nie pójde, ale jeśli coś stamtąd wyjdzie?! Przecież tuż za naszym płotem zaczyna się las! Wielka puszcza! Poza tym ten dom jest zupełnie oddalony od innych! Jeśli coś nas zaatakuje, to nikt nawet nie usłyszy naszych krzyków!!! Nikt nie przyjdzie nam na ratunek!!!

A mój tata cieszy się, że mamy taki bliski kontakt z przyrodą. Litości!!! Naprawdę zastanawiam się czasem, czy mamy te same geny. Co prawda z wyglądu jesteśmy do siebie podobni, ale już charakter i podejście do życia zupełnie nas różni.

Zresztą... powinnam się była domyślić. Bo niby skąd taka nazwa: Wolftown? Miasto wilków... O rany, ale ja jestem głupia!

Gdy rodzice zgasili światło i wyszli, podeszłam do okna i ostrożnie wyjrzałam. Wszystko wyglądało tak jak w moim śnie: ciemne, wrogie i straszne. Aż zadrżałam. Na szczęście nie jestem teraz tam, na dole, i nie muszę uciekać.

To straszne: wilki. Wilki są w tym lesie! W lesie, który rozciąga się w najlepsze tuż za naszym domem. Chyba nie zasnę już tej nocy. Stałam tak, patrząc z lękiem w ciemność, ale w końcu zmęczenie wzięło górę.

Położyłam się do łóżka i zasnęłam.

Kiedy się przebudziłam, wcale nie miałam lepszego humoru. Nie zaciągnęłam zasłon, więc już wcześniej rano zbudziły mnie promienie słońca, świecące mi prosto w twarz.

Dłuższą chwilę leżałam, ale że była dopiero szósta (Boże! przecież to błądy świt!), wstałam i poszłam do łazienki umyć głowę.

Czasami nie cierpię swoich włosów. Kolor jest OK, brązowy, więc pasuje do moich brązowych oczu i oliwkowej karnacji. Jednak ciągle mam z nimi jakieś problemy. Ściągam je niedawno dość krótko i teraz otaczają moją głowę taką niby aureolą. Nie cierpię myć głowy, więc myślałam, że będzie to łatwiejsze przy krótkich włosach, ale myliłam się. Niby jest szybciej, za to teraz trzeba je myć codziennie. Koszmar. Poza tym jak tylko poczują odrobinę wilgoci w powietrzu, to skręcają się w takie koślawe loczki i wyglądam, jakby piorun w miotłę strzelił. A że mieszkam blisko lasu, w którym nie brakuje miejsc podmokłych...

Gdy już wyszłam z łazienki, stwierdziłam z niechęcią, że nie wiem, w co mam się ubrać. W tutejszym liceum nie obowiązują podobno żadne mundurki. A trendów panującej tu mody też jeszcze nie znam. W końcu zdecydowałam się na czarne spodnie, niebieską koszulkę i moją ulubioną czarną bluzę z napisem „Ghotic”. No i oczywiście nie mogłam zapomnieć pierścionka przynoszącego szczęście.

Kiedy spakowałam plecak obsyty plakietkami moich ulubionych zespołów, zeszłam na śniadanie.

– Kochanie, musisz brać ten pierścionek? – spytała mama.

– A czemu nie? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– No, bo wiesz, on jest taki, taki...

Nie rozumiem, czemu go nie cierpi. Pierścionek ma kształt srebrnej żmii, oplatającej trzy razy mój palec. Według mnie jest fantastyczny, jednak mojej mamie wyraźnie się nie podoba.

– Ale on przynosi mi szczęście – wyjaśniłam.

– To dobrze, że chce zabrać ze sobą talizman – wtrącił się tata z kolejną psychologiczną gadką. – Będzie dzięki temu miała poczucie bezpieczeństwa. Przecież wchodzi właśnie w zupełnie jej nieznaną środowisko. Chociaż... z drugiej strony może to oznaczać, że Margo brak pewności siebie i potrzebuje

czegoś, co ją zastąpi...

Teraz jest chyba jasne, czemu nie wdaję się w szczegóły, opowiadając mu swoje sny.

Po śniadaniu wsiadłam z mamą do samochodu i ruszyliśmy w stronę szkoły. O rany, wołałabym zostać w domu...

– Posłuchaj, najpierw pójdziesz do gabinetu dyrektora. On ci wyjaśni, co i jak i da ci plan lekcji. Dobrze? – instruowała mnie mama, parkując na chodniku przed jakimś budynkiem.

Szkoła wydała mi się strasznie brzydka. Nie, żeby była obdrapana czy coś takiego. Po prostu wyglądała jakoś tak... ponuro. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego wszystkie szkoły robią tak odpychające wrażenie. Jakby z założenia miały wzbudzać w uczniach strach.

– Okay – odpowiedziałam z rezygnacją i wysiadłam z samochodu.

Tak jak się spodziewałam, stałam się dla młodzieży w Wolftown atrakcją dnia. Gdy tylko przystanęłam na chodniku, wszystkie spojrzenia jak na komendę skierowały się w moją stronę.

No, fajnie...

Drzwi wejściowe znajdowały się w odległości zaledwie kilku metrów ode mnie. Jednak po obu stronach prowadzącego do nich chodnika ciągnęły się niskie murki oblepione uczniami, którzy wpatrywali się we mnie, jakbym miała dwie głowy lub jakieś inne wyraźnie widoczne kalectwo.

Zarzuciłam plecak na ramię i z podniesioną głową ruszyłam w stronę wejścia. Szczerze mówiąc, to miałam ochotę odwrócić się na pięcie i zwiać gdzie pieprz rośnie – ta defilada była straszna. Starłam się iść spokojnie, ale czułam się tak, jakby coś mnie gnało.

Po lewej stronie stały jakieś ładne dziewczyny i umięśnieni chłopcy – to pewnie sportowcy i cheerleaderki. Natomiast po prawej zobaczyłam grupę osób ubranych na czarno. I to oni przykuli moją uwagę, a zwłaszcza pewien chłopak z jasnymi włosami. Widziałam go tylko przez chwilę, więc nie zdążyłam przyjrzeć mu się dokładnie. Ale to właśnie jego zapamiętałam najlepiej...

Niektórzy chłopcy z tej grupki mieli długie włosy, inni skórzane kurtki. Wyglądali jak gang młodocianych przestępców albo wielbiciel metalu. Osobiście wołałabym, żeby to był ten drugi wariant, ale przy moim szczęściu...

Po chwili, która dla mnie trwała całe godziny, dotarłam wreszcie do wejścia. Z westchnieniem ulgi otworzyłam drzwi. Co prawda w środku też byli jacyś uczniowie, ale nie przypominali tych na zewnątrz i nie patrzyli na mnie tak nachalnie. Tylko zerkali.

Podeszłam do jakiejś dziewczyny i spytałam:

– Przepraszam, możesz mi powiedzieć, gdzie jest sekretariat i gabinet dyrektora?

– Oczywiście – odpowiedziała i uśmiechnęła się. – Zaprowadzę cię.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Jestem Ivette, ale możesz mi mówić Iv.

– Ja mam na imię Margo – przywitałam się.

– Będziesz chodzić do naszej szkoły? – spytała Iv. – Do której klasy?

– Do drugiej.

– To tak jak ja! – ucieszyła się dziewczyna. – Może będziemy miały razem zajęcia.

– Fajnie by było – odparłam. Czułam, że już lubię tę drobną blondynkę.

Z dyrektorem poszło szybko. Podał mi mój plan lekcji, przekazał szyfr do szafki i wyjaśnił, że raz w tygodniu, w piątki, są zajęcia na basenie. Ucieszyłam się, bo kocham pływać! Potem zawołał sekretarkę, która zaprowadziła mnie do jakiejś sali na moją pierwszą lekcję – historię sztuki. Widać nie chciało mu się dłużej ze mną gadać. No i wzajemnie...

Gdy weszłam do klasy, wszyscy zaczęli się na mnie gapić (znowu to samo!). Wyjaśniłam nauczycielowi, że jestem nową uczennicą, i pokazałam kartkę od dyrektora.

– Usiądź – usłyszałam w odpowiedzi.

Rozejrzałam się szybko. Nie było tu Ivette. Zresztą i tak jedyne wolne miejsce znajdowało się na końcu sali, koło niedbale siedzącego na krześle, wysokiego chłopaka ubranego na czarno. Jezu... to on! To ten chłopak, na którego zwróciłam uwagę przed szkołą.

Przeszłam pomiędzy ławkami w jego stronę i usiadłam na wolnym miejscu.

– Cześć – powiedziałam.

Nawet nie odpowiedział. Tylko spojrzał na mnie niechętnie swoimi zielonymi oczami, spod strzechy jasnych włosów... Starając się nie zwracać na niego uwagi, wyjęłam z plecaka zeszyt i piórnik i zaczęłam słuchać tego, co mówił nauczyciel. A ten strasznie przynudzał, aż człowiekowi myśli odlatywały w przestrzeń kosmiczną.

– Fajny pierścionek – mruknął chłopak, sprowadzając mnie niespodziewanie na ziemię.

– Dzięki – odpowiedziałam speszona i zerknęłam na niego. Jednak on wpatrywał się, tak jak ja poprzednio, w profesora.

I już do końca lekcji zachowywał się tak, jakby mnie w ogóle nie było. Chwilę się na niego gapiłam, aż pomyślałam, że to musi głupio wyglądać, więc jeszcze bardziej speszona odwróciłam wzrok.

Następne lekcje były równie nudne, z tym że miałam lepsze towarzystwo, bo zwykle siedziałam obok Ivette.

W przerwie na lunch poszliśmy razem do stołówki. Oczywiście, wszyscy się za mną oglądali i komentowali coś przyciszonymi głosami.

– O, usiądźmy tam – powiedziała Iv, w ogóle nie zwracając uwagi na

większy niż zazwyczaj szum w stołówce i pociągnęła mnie w stronę stojącego na uboczu stolika.

Gdy już usiadłyśmy, zainteresowanie moją osobą nieco osłabło.

– Ja też jestem nowa – powiedziała Iv. – Tylko że przeprowadziłam się do Wolftown na początku roku szkolnego.

– Serio? – spytałam zaskoczona. A więc dlatego nie reagowała na szepty i zaczepki. Odczuła to na własnej skórze i zdążyła się przyzwyczaić.

– Tak. Na mnie też wszyscy się tak gapili, więc dobrze cię rozumiem. Dam ci kilka rad. Tamta grupa – powiedziała, wskazując na ładne dziewczyny w krótkich spódniczkach i umięśnionych chłopców – to sportowcy. Radzę się do nich nie zbliżać. Są bardzo nieprzyjemni, zwłaszcza cheerleaderki.

– Tak podejrzewałam – mruknęłam.

– Natomiast tamci – kiwnęła głową w stronę grupy ubranych na czarno – to metalowcy. Oni z nikim, jak nie muszą, nie gadają, więc są raczej nieszkodliwi. Wiesz, zawsze trzymają się razem. A tam jest jeszcze grupka inteligencji – prawie wszyscy w okularach. Ci w rogu to z kolei hip-hopowcy. No i na koniec zostają tacy jak my, czyli wykolejeńcy niepasujący do żadnej z grup.

– Aha – westchnęłam i spojrzałam na metalowców. – A jak nazywa się ten chłopak?

– Który?

– Ten wysoki blondyn.

– Eee, który? – Iv nadal nie mogła go zidentyfikować.

– No, ten! – powiedziałam zirytowana. – Wysoki blondyn, włosy opadają mu tak dookoła twarzy. Ma zielone oczy i kolczyk w uchu. I skórzaną kurtkę.

– Dokładnie mu się przyjrzałaś, co? – spytała Iv i głupawo się uśmiechnęła. – Czyżby miłość od pierwszego wejrzenia?

– No, co ty?! Ja... Siedzę z nim na historii sztuki – powiedziałam szybko.

– Taak, jasne – odpowiedziała, przeciągając słowa. – To Max Stone. Jest metalowcem.

– To akurat wiem – odpowiedziałam i przewróciłam oczami.

– Jest od nas starszy. Ma siedemnaście lat.

– To dlaczego siedzi ze mną na historii sztuki? – spytałam, nie rozumiejąc. – Nie zdał?

– Nie, to nie tak. Historia sztuki jest łączona, bo, bądźmy szczerzy, profesor w kółko mówi o tym samym. Tak samo zajęcia na basenie. O właśnie, kiedy masz basen?

– W piątek na trzeciej i czwartej godzinie.

– To tak jak ja! – ucieszyła się Iv. – Pewnie nie wiesz, że razem z nami zajęcia na basenie ma też Max i jego pokręcani kumple.

– Aha, nie wiedziałam – starałam się, by zabrzmiało to obojętnie.

Jeszcze go więc zobaczę. Chociaż... właściwie nie wiem, czemu tak się nim interesuję. Przecież był w zasadzie nieuprzejmy, nie odpowiedział na moje „cześć”. Jednak z drugiej strony... spodobał mu się mój pierścionek. Ale bądźmy szczerzy: to wcale dobrze o nim nie świadczy, bo ja mam porąbany gust. Normalna dziewczyna, taka jak Ivette, nosi różowe sweterki i eleganckie, delikatne kolczyki. Natomiast ja ubieram się przeważnie na czarno i lubię duże kolczyki, takie w stylu indyjskim. Zresztą, ku zgrozie wszystkich babć i ciotek, bardzo lubię czarny kolor. Po prostu do wszystkiego mi pasuje! No i zupełnie nie cierpię różowego! Jest prawie tak obrzydliwy jak... kurczak z różną. Ohyda.

A ten Max... Nie można o nim powiedzieć, żeby nie był przystojny. Ma długie jasne włosy, wycieniowane tak, że otaczają mu twarz i opadają lekko na ramiona, zgrabny, prosty nos i niesamowite, zielone oczy. Przy źrenicy są koloru trawy, a potem stopniowo ciemnieją, aż do czarnej obwódki tęczówki. Trochę przypomina Aleksa Banda, wokalistę mojego ukochanego zespołu The Calling, ale jest przystojniejszy i nosi inny kolczyk. Ma w uchu taki srebrny kieł. To wygląda super! Zaraz, zaraz! O czym ja mówię?! No dobra, jest przystojny, ale i tak nie zwraca na mnie uwagi. Więc po co mam strzepić sobie język?

Reszta lekcji minęła spokojnie. Nie spotkałam więcej Maksa, nawet na korytarzu. Natomiast poznałam kolejne uroki bycia nowym.

Właśnie wyjmowałam swoje książki z szafki, gdy podeszła do mnie taka jedna w towarzystwie przyjaciółki i zaczęła rzuciła:

– Przyjechałaś z Nowego Jorku?

– Tak – odpowiedziałam, niczego jeszcze nie przeczuwając.

– Umarł ci ktoś w rodzinie, że ubierasz się jak metal, czy po prostu wszyscy w tym Nowym Jorku nie mają gustu? – spytała przesłodzonym głosem.

No nie. Wkurzyłam się. Jak ona śmie obrażać moje ukochane miasto?!

– Nie – odpowiedziałam równie słodko. – To mój własny styl. Ale podejrzewam, że w Wolftown (słowo „Wolftown” wypowiedziałam tak, jakbym je wypluła – nie mogłam się powstrzymać) nie znacie czegoś takiego jak własny styl. Tylko wszyscy beznadziejnie klonujecie się nawzajem.

Mówiąc to, spjrzałam z politowaniem na ich identyczne różowe sweterki i prawie takie same minispódniczki z zakładkami. Swoją drogą: co za bezguście!

Wściekła cheerleaderka zaczerwieniła się (co w połączeniu z krzykliwym różem sweterka dało niesamowity efekt) i syknęła do mnie:

– Jeszcze mnie popamiętasz, ty... ty... metalu! – I odeszła. No tak. Już pierwszego dnia narobiłam sobie wrogów. Ale przecież nie mogłam puścić jej tego płazem. Powinna wiedzieć, że nowojorczyków nie należy obrażać, bo potrafią się odegrać. A tak przy okazji: jak ona może sądzić, że „metal” to obraźliwe słowo. Chociaż... może w Wolftown panują inne normy. Podejrzewam, że zanim dobrze się z nimi wszystkimi zapoznam, to jeszcze

nieraz komuś podpadnę.

Po ostatnich zajęciach, z biologii, na których siedziałam obok Iv, razem wyszliśmy ze szkoły. Znowu wszyscy mnie obserwowali. I wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że nie mam jak wrócić do domu! Moi rodzice co prawda zawieźli mnie do szkoły, ale słowem nie wspomnieli, że po mnie wrócą. Raczej więc nie mogłam na nich liczyć. Ależ mam świetną rodzinę, prawda? Poczułam, że wpadam w panikę.

– Czy jeździ tu szkolny autobus? – spytałam idącą obok mnie Ivette.

– Nie. A czemu pytasz?

– Nie mam jak wrócić do domu – odpowiedziałam i zaczęłam się zastanawiać, ile czasu zajęłoby mi dojście pieszo. Przy moim braku kondycji, to pewnie jakichś parę godzin...

– Podrzucę cię, mam samochód – zaproponowała Iv. – Chodźmy na parking.

– Dzięki. Ja nie mam nawet prawa jazdy – westchnęłam i powlokłam się za nią.

– Nie? – Iv spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– W Nowym Jorku nie było mi potrzebne – wyjaśniłam.

– To jak dojeżdżałaś do szkoły i jak w ogóle się poruszałaś po mieście?

– Tam wszędzie można było dojechać metrem albo dojść pieszo – powiedziałam.

– Aha – mruknęła bez przekonania.

Dziwne, no nie? Czyżby nie słyszała o słynnym nowojorskim metrze? Coś podobnego...

Parking znajdował się tuż za szkołą. Był całkiem duży i dokładnie zastawiony samochodami. Przy ścianie budynku dostrzegłam stojak wypełniony rowerami, a obok parę... tak! motocykli!!!

– Czyje są te maszyny? – spytałam Ivette, przyglądając się im uważnie.

Zawsze chciałam mieć własny motocykl, ale rodzice prędzej daliby się pokroić, niżby mi na to pozwolili. Ech, ale pomarzyć zawsze można... Wyobrażacie sobie mnie na motorze? Ten wiatr we włosach, cichy szum silnika (nie rozumiem jak inni radzą sobie bez tłumików!) i pęd powietrza... ach...

Od razu rzuciła mi się w oczy jedna z maszyn: czarny suzuki ze srebrnymi strzałami po bokach. Miał dwa siedzenia i mały bagażnik z przodu, tuż za kierownicą. Piękny... Co ja bym dała, żeby mieć taki albo żeby chociaż raz móc się takim przejechać...

– A... to przeważnie metalowcy nimi jeżdżą i kilku sportowców też – powiedziała Ivette, prowadząc mnie do swojego samochodu.

Kiedy się przed nim zatrzymałyśmy, aż mnie zatkało.

Totalna masakra! To nie do uwierzenia, że ktoś może chcieć jeździć czymś takim... Różowym, wstrętnie, obrzydliwie różowym, tak różowym, że to

aż kłuło w oczy!

Stałam tak i z otwartymi ustami gapiłam się na garbusa, nie mogąc zrozumieć, jak można jeździć samochodem pomalowanym na tak paskudnie jadowity kolor.

Nagle poczułam stuknięcie w ramię.

– O co chodzi? Nie wsiadasz? – spytała Iv i wyciągnęła z kieszeni kluczyki od auta. Z breloczkiem, takim... różowym pomponikiem.

– A, tak – ocknęłam się i usiadłam na miejscu pasażera.

O matko, w co ja się wpakowałam??? To przecież prawdziwe piekło. Najokrutniej różowe piekło na świecie.

Byłam wstrząśnięta, ale próbowałam zachowywać się swobodnie, ze względu na Iv. Przez pierwszych parę minut zastanawiałam się, czy nikt mnie nie widział, ale potem przypominałam sobie, że przecież nikogo tu nie znam, więc było mi już wszystko jedno. Postanowiłam też kategorycznie, że do szkoły będę jeździć rowerem. Tak! Rower to bardzo dobry pomysł. Zwłaszcza że mój jest srebrno-czarny, więc w żadnym przypadku nie przypomina pojazdu lalki Barbie. To znaczy Iv.

Taak, to było straszne przeżycie. Nadal nie mogę się z tego otrząsnąć. Jak pomyśle o tym... kolorze, to aż mną wstrząsa. Po prostu koszmar...

## 2.

Rodzice bardzo się ucieszyli, że tak szybko znalazłam sobie w nowej szkole przyjaciółkę. O zajściu z cheerleaderką im nie powiedziałam, jeszcze by się zaczęli martwić, że nie potrafię się przystosować i okazuję agresję w stosunku do obcych... Tak mniej więcej brzmiałby tekst mojego taty, a nie chciałam dawać mu okazji do przemówień. I gdyby tylko Ivette nie jeździła takim wściekle różowym samochodem, czułabym się naprawdę szczęśliwa...

Kiedy powiedziałam im, że będę jeździła do szkoły rowerem, przyjęli to zadziwiająco spokojnie.

– A jak coś ci się stanie? Nasz dom jest poza miastem! To strasznie daleko! – histeryzowała mama.

No proszę, w końcu raczyła zauważyć, że mieszkamy na całkowitym odludziu, a w zasadzie w lesie! No coś takiego...

Wreszcie, po mniej więcej godzinie dyskusji, przytaczaniu argumentów za i przeciw (to był oczywiście pomysł taty), zdecydowali, że mogę jeździć rowerem. A już myślałam, że mi na to nie pozwolą! Oni naprawdę są niekiedy dziwni. Zapominają mnie zabrać ze szkoły, a potem nie chcą się zgodzić, żebym sama do niej jeździła. Serio, czasami w ogóle ich nie rozumiem. No, ale w końcu to oni są dorośli...

Wieczorem, już po kolacji, leżałam na łóżku w swojej ulubionej piżamie w gwiazdki i czytałam bardzo ciekawy romans dla nastolatek. Tak naprawdę, to wolę książki, w których dużo się dzieje: jakieś wybuchy, tajemnice, zwariowane przygody, potwory. Ale gdy jestem w nastroju, romansem też nie pogardzę. Każdy ma chyba prawo do marzeń, no nie? Zwłaszcza ktoś, kogo marzenia raczej się nie spełniają.

Książka była ciekawa i oczywiście dobrze się skończyła, jak wszystkie inne z tej serii. Czasem to jest aż wkurzające! Tam zawsze wszystko dobrze się kończy, a w prawdziwym życiu im dalej, tym gorzej.

Było już późno, zgasłam więc światło i zasnęłam.

Śniła mi się jakaś głupota: siedziałam na historii sztuki, a obok mnie, zamiast uczniów, siedziały w ławkach różowe samochody, trąbiąc na nauczyciela. Taak... autko Ivette ma na mnie stanowczo zły wpływ, powinnam zacząć go unikać.

Niespodziewanie sen się zmienił – zastąpił go mój koszmar.

Było ciemno, a wilgotne powietrze wręcz mnie oblepiało. Biegłam, pod stopami czułam pękające z suchym trzaskiem liście i gałązki. Nagle usłyszałam za plecami odgłos kroków.

Przyspieszyłam.

Mój prześladowca był jednak coraz bliżej! Staralam się, jak mogłam, ale nie potrafiłam go zgubić! Czułam, że mnie dogania!!!

Wtedy zobaczyłam przed sobą wzgórze. Szybko zaczęłam się na nie wspinać. Gdy dotarłam na szczyt, zza chmur wyłonił się księżyc w pełni. Przystanąłam, żeby odetchnąć. Parę metrów przed sobą zobaczyłam... czarnego wilka.

Zwierzę zawyło, a następnie spojrzało na mnie, obnażając kły. Nagle poczułam, jak ktoś łapie mnie za ramię i mocno ciągnie w swoją stronę. Przerażona wyrwałam się i zaczęłam głośno krzyczeć...

W chwilę potem obudziłam się. Na szczęście nie krzyczałam głośno, więc rodzice nie przybiegli mi na ratunek.

Uświadomiłam sobie, że mój sen znowu się zmienił! Jest jak film! Ale wciąż pojawiają się w nim nowe szczegóły. Wczorajszej nocy tylko zobaczyłam wilka i poczułam, jak ktoś łapie mnie za ramię! Dzisiaj wiedziałam, że wilk zamierza się na mnie rzucić. To było straszne! Kurczę, co się ze mną dzieje?! Może powinnam iść do lekarza?

Włączyłam nocną lampkę i podeszłam do okna. Las wyglądał spokojnie, wokół panowała niczym niezmacona cisza. A księżyc wcale nie był w pełni, powoli się kurczył. Jednak nie mogłam przestać się bać. Wciąż czułam, że gdzieś tam w ciemności coś się czai...

Szybko odsunęłam od siebie te myśli i zasłoniłam okno. Włożyłam na uszy słuchawki i zaczęłam słuchać swojej ulubionej piosenki *The Calling: Stigmatized*. Musiałam się jakoś uspokoić, a nie chciałam obudzić rodziców.

Gdy rano się obudziłam, zauważyłam, że po pierwsze wyczerpały się baterie w odtwarzaczu, a po drugie zapomniałam wczoraj nastawić budzik. Byłam naprawdę wściekła, ale raczej nie będę cytować tego, co zaczęłam do siebie mamrotać, i zupełnie nie wiem, gdzie nauczyłam się takich słów.

Szybko pobiegłam do łazienki, a potem w pośpiechu włożyłam na siebie cokolwiek, to znaczy granatowe džinsy i czarną bluzkę.

Rodzice już wyszli (a obudzić mnie to nie łaska?), więc napiłam się tylko soku i pognałam do garażu po rower. Na szczęście powietrze w oponach było (kamień spadł mi z serca!), bo na piechotę za żadne skarby bym nie zdążyła. No, chyba że na ostatnie zajęcia.

Już wskoczyłam na siodełko, gdy przypomniałam sobie, że nie wzięłam kostiumu kąpielowego na basen. A to dobre! Jestem raptem drugi dzień w szkole i już bym zdążyła podpaść nauczycielce, która – według Iv – jest prawdziwą heterą. Szybko zawróciłam więc po kostium i czepek i pomknęłam do szkoły.

No tak, ale czy zamknęłam drzwi na klucz? Eeech, nie będę wracać, jakby co, to Sweter chyba przepędzi złodziei...

Szkoła znajduje się strasznie daleko od naszego domu. Na dodatek droga

prowadzi prawie cały czas pod górę. Już myślałam, że padnę na serce i że za parę dni rodzice znajdą w przydrożnym rowie moje rozkładające się zwłoki, ale wtedy na szczęście zobaczyłam w oddali budynek liceum. To dodało mi sił.

Jakimś cudem zdążyłam na pierwszą lekcję, chociaż do dziś nie wiem, jak tego dokonałam. A musiało to oznaczać, że odległość z domu do szkoły, czyli jakieś sześć kilometrów, przejechałam w kwadrans! Gdyby jazda na starych rowerach bez przerzutek była dyscypliną olimpijską, zostałąbym mistrzem świata – bez dwóch zdań!

Zdyszana, z piskiem opon zahamowałam przed stojakiem na rowery. Szybko zeskoczyłam z siodełka i byle jak przypięłam rower do barierki. Chciałam zdjąć kask z głowy, kiedy zauważyłam, że w ogóle go nie włożyłam. Dobrze, że na tym odludziu nie ma tyle policji, co w Nowym Jorku! Przymknęliby mnie jak nic, albo przynajmniej wlepili mandat za nieprzepisową jazdę i narażanie pieszych na niebezpieczeństwo.

Właśnie otwierałam drzwi szkoły, gdy wypadł z nich prosto na mnie jakiś wysoki brunet.

– Och, sorry – wysapałam pospiesznie. Po tej szaleńczej jeździe ledwie trzymałam się na nogach, czułam się tak, jakby mi za chwilę miały odpaść.

– Nie szkodzi – odpowiedział chłopak i odsunął się. Teraz mogłam przyjrzeć mu się dokładniej. Aha, sportowiec. Skąd to wiem? Owszem, chciałabym mieć superintuicję jak w filmach, ale tak naprawdę zdradziła go kurtka z nazwą szkolnej drużyny koszykarskiej.

– Nazywam się Peter Deep. – Chłopak uśmiechnął się. – Ty jesteś tą nową?

– Tak – odparłam i nawet się nie obraziłam za „tę nową”. – Jestem Margo Cook.

– Miło cię poznać. Chyba nikt jeszcze z tobą nie rozmawiał, poza tą szaloną Francuzką w różowym samochodzie?

– Taak, wszyscy traktują mnie tu jak kosmitkę – powiedziałam i też się uśmiechnęłam. Był całkiem sympatyczny. Ale tego, że Iv jest Francuzką, nie wiedziałam. Owszem, mówi z takim śpiewnym akcentem, ale w ogóle nie skojarzyłam dlaczego. Aha, to pewnie dlatego nie wiedziała o istnieniu nowojorskiego metra!

– No dobra, spadam. Miło było cię poznać. To cześć – rzucił szybko Peter, widząc swoich znajomych.

– Cześć – odpowiedziałam i patrzyłam, jak odchodzi.

No proszę, Peter Deep, sportowiec, rozmawiał ze mną. Hej, robię postępy!

– To niewiarygodne!!! – Usłyszałam pisk za swoimi plecami.

– Co jest niewiarygodne? – spytałam i odwróciłam się, rozpoznając głos Ivette.

– Jak to, co?! Rozmawiałaś z Peterem Deepem! To najprzystojniejszy chłopak w szkole! A na dodatek sportowiec! – wołała podekscytowana Iv.

– No i...?

– No i rozmawiał z tobą!!! – odpowiedziała oburzona. – O co chodzi? Nie podoba ci się?

– Czy to przypadkiem nie ty mówiłaś mi wczoraj, żebym trzymała się z daleka od sportowców, bo to wredne typy? – spytałam zaczepnie, ciekawa, co mi odpowie.

– Ale są bardzo popularni! Jeśli cię polubią, to możesz czuć się jedną z nich!

– Ja raczej nie mam zamiaru ubierać się w obcisły różowy sweterek i króciutką spódniczkę, odsłaniającą pupę – stwierdziłam, przypominając sobie dziewczyny, które wczoraj spotkałyśmy.

O, choroba, Ivette też ma na sobie różowy sweterek. Może się na mnie nie obrazi? Oby...

– Mówił coś o mnie? – spytała z nadzieją, w ogóle nie zwracając uwagi na to, co wcześniej powiedziałam.

– Tak, wspomniał o tobie – odpowiedziałam ogólnikowo.

No co? Przecież jej nie powiem, że nazwał ją szaloną Francuzką w różowym samochodzie. To by zraniło jej uczucia, a aż tak wredna nie jestem.

– A co mówił?

Taak... I tu się zaczynają schody...

– Wspomniał, że nikt się do mnie nie odzywa i że tylko ty odniosłaś się do mnie po przyjacielsku. – No cóż, nie całkiem dokładnie powtórzyłam jego słowa, ale z pewnością to właśnie mógł mieć na myśli.

– Och, naprawdę? To wspaniale! – ucieszyła się. – Ale masz szczęście. No, że z tobą rozmawiał – mówiła dalej.

– Taak... straszne – mruknęłam, idąc razem z Iv do klasy. Szczerze jednak muszę przyznać: pochlebiło mi to, że ktoś taki ze mną rozmawia. Nie twierdzę, że jestem brzydka. O, nie! Nawet się sobie podobam (oczywiście jeśli pominię kompletny niedorozwój klatki piersiowej i kajaki w miejscu stóp). Jak by to określił mój tata: zaakceptowałam swój wygląd zewnętrzny i połączyłam go z moim wnętrzem, tworząc harmonijną całość. Jednak ktoś tak przystojny jeszcze nigdy ze mną nie rozmawiał. No, chyba że za rozmowę uznamy jedno zdanie, rzucone wczoraj przez tego tam... Maksa.

Pierwsze dwie lekcje minęły bardzo szybko. Nawet nie zauważyłam, kiedy. Cały czas myślałam tylko o tym, jak przyjemnie będzie popływać na basenie i chwilę odpocząć. Pewnie są ludzie, których pływanie męczy, ale dla mnie to prawdziwy relaks.

Gdy później w szatni dla dziewczyn przebierałam się w kostium kąpielowy, Ivette (hm... kto zgadnie, jakiego koloru były jej kostium i czepek?)

spytała mnie:

– Margo, umiesz pływać?

– Owszem, a czemu pytasz?

– Ponieważ Pijawka (tak wszyscy uczniowie nazywają nauczycielkę wychowania fizycznego, ciekawe dlaczego?) nie cierpi osób takich jak ja, czyli nieumiejących pływać. Zawsze się mnie czepia. Masz szczęście – westchnęła ciężko. – Dobrze pływasz?

– Całkiem nieźle mi to wychodzi – odpowiedziałam, zakładając czepek.

Hm, pływanie polega po prostu na rytmicznym machaniu rękami i nogami. No i najważniejsze jest dobre odbicie, jeżeli ono się uda, to potem wystarczy już tylko siła rozpędu. Dla mnie to naprawdę nic trudnego.

Pływalnia jest tu ogromna. Trudno się jednak temu dziwić, skoro sam basen ma wielkość olimpijskiego, a wokół niego są jeszcze trybuny. Najfajniejszy jest natomiast przezroczysty, szklany sufit. Płynąc na plecach, można patrzeć prosto w chmury... Po prostu super! To musi robić niesamowite wrażenie, kiedy na przykład pada deszcz.

Nauczycielka (strasznie niska – jeszcze niższa ode mnie, a przecież ja wzrostem nie grzeszę) kazała nam ustawić się w rzędzie i zaczęła sprawdzać listę. Po prawej stronie stała grupka chłopców. Wśród nich byli Max i Peter.

Szkoda, że to nie Peter ma ze mną historię sztuki. Z nim pewnie można by było pogadać. Poza tym, jak się uśmiecha, to na jego policzkach pojawiają się takie fajne dołeczki.

Nagle poczułam, jak ktoś dziubie mnie łokciem w zębra.

– Co? – warknęłam, patrząc na Ivette.

Ona jednak zamiast mi odpowiedzieć, zaczęła dziwnie poruszać oczami.

– Wpadło ci coś do oka? – zaniepokoiłam się.

Moje ostatnie słowa zostały zagłuszone przez przeraźliwy dźwięk gwizdka i krzyk nauczycielki.

– Panna Margo Cook nie słucha, tak?! – wrzeszczała na całe gardło, tak głośno, że teraz wszyscy obecni w hali patrzyli tylko na nas, o zgrozo, także chłopcy stojący niedaleko.

Taka mała, a tak głośno krzyczy? To niesamowite!

– Ja... To znaczy... – usiłowałam coś powiedzieć, chcąc ratować sytuację.  
– Obecna! – Stałam na baczność.

– Widzę, że obecna! A skoro panna Margo Cook nie słucha, to może poznamy jej zdolności pływackie?! – Pijawka tym razem już prawie toczyła pianę z ust. – Natychmiast na linię startu!!!

Zrobiła ze mnie przedstawienie przy wszystkich uczniach znajdujących się w hali. Na dodatek z uporem maniaka darła się na mnie po nazwisku! Miałam ochotę zapytać, jak zdołała zdać testy psychologiczne na pedagoga, skoro jej równowaga emocjonalna jest wyraźnie zachwiana. Ale uznałam, że

gadka w stylu mojego taty tylko jeszcze bardziej ją rozwścieczy. Nie odezwałam się więc i przesłam obok niej z miną, która miała wyrażać głęboką pogardę.

Gdy weszłam na słupek startowy, Pijawka znowu wrzasnęła (czy ona nie potrafi zwyczajnie mówić?):

– Jak zagwizdę, masz wystartować i przepłynąć całą długość basenu! Będę mierzyła czas, więc masz się streszczać! Styl dowolny!!!

Bez rozgrzewki mam przepłynąć przez całą długość basenu olimpijskiego? Ona jest chyba nienormalna! No, ale co miałam zrobić? Włożyłam okulary pływackie ze świadomością, że wszyscy się we mnie wpatrują i czekają na to, co się wydarzy. Dobrze przynajmniej, że wzięłam swój najładniejszy kostium kąpielowy (ten w pionowe pasy), który mnie wyszczupla.

– Gotowa – warknęłam.

– Fiuuu!!!

Gdy tylko usłyszałam dźwięk gwizdka, odbiłam się od słupka i wskoczyłam na główkę do wody. Była zimna! Ślizgiem i mocno machając nogami, jak do delfina – to taki mój trik na lepszy początek – pokonałam pierwszych parę metrów, a następnie, najszybciej jak mogłam, przepłynęłam kraulem resztę dystansu. Nie muszę chyba przypominać, że byłam obolała już od porannej jazdy rowerem. Teraz, gdy wreszcie dotarłam do brzegu basenu, czułam się tak, jakby wszystkie moje mięśnie płonęły. O, rany! Chyba zaraz umrę!

Kiedy wynurzyłam się z wody i sapiąc głośno, zdjęłam okulary, stwierdziłam, że wszyscy nadal się we mnie wpatrują. Z tą różnicą, że niektórzy, na przykład Ivette, mieli teraz pootwierane usta. Chciałam zapytać, co się stało, gdy nauczycielka, patrząc z niedowierzaniem na stoper, wydusiła z siebie:

– Gdyby przyplłynęła trzy sekundy wcześniej, pobiłaby rekord szkoły!

W tym momencie rozległy się oklaski. Tak, oklaski! Oni mnie podziwiali!

TO BYŁO CUDOWNE! Jak wspaniale być sławną!

A nie mówiłam, że zawsze najważniejszy jest start?

Szybko, nie czekając na reakcję nauczycielki, wyskoczyłam z wody (jeszcze kazałaby mi powtórzyć wszystko!) i ustawiłam się w rzędzie obok Ivette.

– To było niewiarygodne! – szepnęła Iv. – Czemu nie powiedziałaś, że umiesz tak świetnie pływać?

– Nie podejrzewałam nawet, że umiem – odparłam. – Muszę cię jednak ostrzec, że jeśli zaraz nie usiądę, to padnę tu, gdzie stoję. Nogi mam jak z waty.

– No, dobra! – Nauczycielka wreszcie się ocknęła. – Siadajcie na ławce! Po kolei będziecie płynąć, stylem dowolnym! A z tobą – wskazała w tym momencie na mnie – chciałabym porozmawiać!

Kiedy odeszłyśmy na bok, pozwoliła mi usiąść. Chyba wreszcie zauważyła, że się przewracam. No, coś takiego, więc naprawdę jest

człowiekiem? A już traciłam nadzieję.

– Czy chciałabyś należeć do szkolnej drużyny pływackiej?!

– wyrzeszczała to pytanie, jakbym była głucha.

– No, nie wiem... – mruknięłam.

– Musisz! Posiadasz ogromny potencjał!

– Niby tak, ale...

– Jeżeli nie będziesz ćwiczyć, to zmarnujesz swoją szansę na osiągnięcie czegoś naprawdę wielkiego!

– Taak, ale...

– Możliwe, że gdybyś więcej ćwiczyła, to nawet mogłabyś startować w tegorocznych mistrzostwach międzyszkolnych!

Aha, niedoczekanie!

– Raczej nie, bo...

– Zajęcia dodatkowe odbywają się zawsze w poniedziałki i środy od siedemnastej, a w soboty od siódmej rano! Masz przyjść! Zapisuj cię! A jak nie przyjdiesz, to będziesz miała ze mną do czynienia! – krzyknęła i zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, odeszła. I to jest ta amerykańska demokracja? Dobre sobie... Wydawało mi się, że w którymś momencie zdążyłam powiedzieć „nie”. Ale jak widzę, nikt mnie nie słucha. Super...

Gdy już się przebrałyśmy, Ivette zapytała:

– Jemy razem lunch?

– Hm – mruknięłam i odwróciwszy się, włączyłam suszarkę do włosów.

W tym momencie miałam taką ochotę na rozmowę, jak Sweter na zabawę po corocznych szczepieniach.

W czasie przerwy śniadaniowej ja jadłam, a Ivette wciąż się dziwiła. Szczerze mówiąc, sama nie wiedziałam, że potrafię tak dobrze pływać. Nie mam mięśni jak sportowiec. Jestem raczej drobna i wątła, więc tym bardziej dziwi mnie mój wyczyn. To musiał być skutek uboczny stresu. Taak... Przydałby mi się taki stres na sprawdzianach z historii czy fizyki...

Po lekcjach Ivette zaproponowała, że mnie podwiezie do domu, ale odpowiedziałam jej, że przyjechałam rowerem. Na szczęście żadnym sposobem nie udało się go wepchnąć do bagażnika garbusa Iv (a próbowała! serio!). Naprawdę mam szczęście, że ten jej samochód jest taki mało pojemny.

Rodzice znowu mieli powód do radości, bardzo ucieszyli się z mojego przyjęcia do drużyny:

– Oznacza to, że przystosowałaś się już do nowego środowiska i w pełni je akceptujesz...

Tak, tak tato. Tylko czemu mnie nikt nie zapytał o zdanie, czy ja w ogóle chcę należeć do jakiejś drużyny?!

Wieczorem wzięłam długą, gorącą kąpiel. Czuję, że jutro rano wszystko będzie mnie bolało. No, ale tym będę się przejmować dopiero jutro...

To zbrodnia wstawać tak wcześnie!!! OK, mogę chodzić na basen, rzeczywiście bardzo lubię pływać. Ale czemu muszę wstawać o tak pogańskiej porze?! Żeby zdążyć na siódmą, muszę wstawać o szóstej! W sobotę!!! Litości!!!

Kiedy zadzwonił budzik, miałam ochotę rzucić nim o ścianę. Korciło mnie, żeby zostać w łóżku i olać zajęcia na basenie. Ale poznałam już trochę charakterek Pijawki, więc wolałam nie ryzykować swej powolnej śmierci w męczarniach. A ona z pewnością byłaby zdolna do popełnienia zbrodni. Marudząc pod nosem, zwlekłam się z łóżka i szurając kapciami, podreptałam do łazienki.

Gdy zesłam na dół, okazało się, że mama i tata już wstali. Obydwoje pracują w soboty. Do niedawna miałam z tego prawdziwą satysfakcję, leżałam sobie w łóżku i słuchałam ich porannej krzątany. No właśnie, do niedawna...

Nałożyłam jedzenie do miski Swetera i usiadłam przy stole, spoglądając nieprzytomnie w przestrzeń.

– Może cię podrzucić? – zaproponował tata.

– Dobra, ale wezmę ze sobą rower. Muszę jakoś wrócić – odparłam.

Jakoś mnie nie pociągał sześciokilometrowy spacer. Już siedziałam w samochodzie, kiedy tata powiedział:

– Mnie i mamę bardzo cieszy, że już znalazłaś sobie w nowej szkole przyjaciół...

Prawdę mówiąc, to mam dopiero jedną koleżankę, ale uznałam, że nie warto mu przerywać.

– ...pomyśleliśmy też, że gdybyś chciała zorganizować jakieś przyjęcie, to masz naszą zgodę.

Nie wierzę!!! Czyżby kosmici porwali moich rodziców i na ich miejsce podstawili ulepszone egzemplarze?

– Z chęcią! – odparłam. – Ale może jeszcze nie teraz. Przecież jestem tu dopiero czwarty dzień.

– No, tak – zgodził się tata. – Ale jak będziesz chciała, to śmiało mów.

To niesamowite! Ciekawe, co jeszcze się dzisiaj wydarzy? Może The Calling da koncert w Wolftown? No, teraz to już trochę przesadziłam, ale bardzo chciałabym zobaczyć ich na żywo. Chociaż przez chwilę...

Przed szkołą wysiadłam z samochodu, wyjęłam z bagażnika rower i przypięłam go do barierki. Wciąż myślałam nad słowami taty, nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Może mama dorwała jakiś poradnik z rodzaju: „Jak wychować nastolatka”? Bo innego wyjaśnienia nie widzę. Taka zmiana!

Właśnie zarzucałam plecak na ramię, gdy na parking wjechał czarny motocykl. Ten wspaniały model Suzuki, ze srebrnymi strzałami po bokach. Motor, w którym zakochałam się od pierwszego wejrzenia i o którym nawet

zdążyłam już pomarzyć jakieś... sto dwadzieścia razy.

Przyznaję, specjalnie się grzebałam, żeby tylko zobaczyć, kto z niego zsiądzie.

Przedmiot moich marzeń stanął parę metrów ode mnie. Ha! Zaraz się wszystkiego dowiem! Z motoru zszedł wysoki chłopak w czarnej skórzanej kurtce. Oho, jeszcze chwila i zobaczę, kim on jest. Powoli sięgnął ręką do góry, do czarnego błyszczącego kasku. Kiedy przechodziłam obok niego, specjalnie zwolniłam, tak... niby przypadkiem, i wtedy on zdjął kask i potrząsnął lekko czupryną jasnych włosów.

Max! Więc to on jeździ na tym ósmym cudzie świata? Ależ mu zazdroszczę! Wydaje się, że musi też nieźle pływać, skoro Pijawka zwerbowała go na dodatkowe zajęcia.

– Cześć – rzuciłam od niechcenia, mijając go.

W odpowiedzi spojrział na mnie i tylko kiwnął głową. Czy on się nigdy nie odzywa? A może ja jestem namolna? Ale czy normalne „cześć” jest namolne? No, chyba nie. To z nim jest coś nie tak. Ale jedno trzeba mu przyznać, motor ma wspaniały...

W szatni dla dziewczyn przebrałam się w ten sam kostium, co poprzednio (już raz przyniósł mi szczęście). A potem w korytarzu prowadzącym na pływalnię wpadłam na... Petera!

I to dosłownie! Otwierając z rozmachem drzwi (to taki mój zwyczaj – wszystkie ściany w naszym domu są zawsze poobijane), uderzyłam go nimi w twarz. O, kurczę, aż coś chrupnęło.

Ale cóż, sam się prosił, po co szedł tak blisko ściany.

– Cześć – powiedziałam przestraszona i szybko do niego podeszłam. – O, matko! Nic ci się nie stało?

– A, to ty... Cześć – odpowiedział i zaczął masować sobie nos. Na szczęście nie leciała mu krew, więc może nie było tak źle.

– Chyba nie złamałam ci nosa? – O rany, ale numer. Po raz pierwszy zrobiłam komuś krzywdę, i to w dodatku zupełnie nieświadomie!

– Nie, spokojnie – odpowiedział i nawet się uśmiechnął. – Już prawie w ogóle nie boli.

Hm, może go nie bolał, ale był cały czerwony.

– Przepraszam – przeprosiłam.

– Nie szkodzi – odpowiedział i razem ruszyliśmy korytarzem.

– Co ty tu robisz? – spytałam. – Jesteś w drużynie?

– Nie – odpowiedział i roześmiał się. Nadal delikatnie masował swój biedny nos. – Przychodzę tu tylko, żeby poćwiczyć.

No proszę, to ktoś wstaje o świcie z własnej, nieprzymuszonej woli? Ja cię kręcę... Tylko pogratulować samozaparciu, mnie go zawsze brakowało.

– Należę do drużyny koszykarskiej – dodał. To akurat wiedziałam,

mruknełam więc tylko:

- Aha.
- Wiesz co? Byłaś wczoraj niesamowita! – powiedział z uznaniem.
- Eee, dzięki.

– Nic dziwnego, że Pijawka przyjęła cię do drużyny. Byłaś szybsza od niejednego chłopaka. Jak Pijawka podała czas, to aż mnie zatkało!

Komplementy to miła rzecz, no nie?

W tym momencie przeszliśmy przez wielkie, oszklone drzwi i stanęliśmy nad basenem. Poza nami w hali było jeszcze pięciu chłopców. No właśnie – chłopców. Byłam tu jedyną dziewczyną, oczywiście nie licząc Pijawki. Po prostu ekstra...

– No, nareszcie przyszedłaś! – wrzasnęła nauczycielka, gdy tylko mnie zauważyła. – Peter na ławkę! Musisz poczekać! Margo do wody! Rozgrzej się!

Przepełnęłam sobie spokojnie środkowym pasem dwie długości basenu. Och, kocham pływanie, bo to zupełnie jakby się latało.

Potem Pijawka kazała nam wszystkim stanąć na słupkach i mieliśmy na czas dopłynąć kraulem na drugą stronę basenu.

Szkoda, bo według mnie rozgrzewka była stanowczo za krótka, a takie leniwe pływanie najbardziej mi odpowiadało.

No, ale cóż, nie było tu miejsca na dyskusję. Wszyscy więc zgodnie ustawiliśmy się na słupkach.

Zabrział gwizdek i wystartowaliśmy.

Dałam z siebie wszystko. Poza tym udało mi się dobrze wystartować. I, no dobra, przyznam się, bardzo chciałam zrobić dobre wrażenie na Peterze.

Szczerze, potem było mi trochę głupio, bo dopłynęłam jako druga. Szybszy ode mnie był tylko Max. Trochę to dziwne, że prześcignęłam pozostałych, no nie? Byłam szybsza od trzech wysokich, umięśnionych chłopaków. Ja, drobna i wątła dziewczyna. Rany, to brzmi jak jakiś kiepski żart. Ale cóż. Nie pozostało mi teraz nic innego, niż się cieszyć!

Szybko minęły mi dwie godziny treningu, ale szczerze przyznaję, byłam potem wykończona. Pijawka zna się na rzeczy. Po jej tresurze bolał mnie każdy mięsień. Pewnie jutro nie będę mogła ruszyć ręką. Nie twierdzę, że po tym wczorajszym wysiłku jestem w pełni sprawna, ale obawiam się, że jutro chyba nawet nie podniosę się z łóżka. Ekstra...

Gdy po zajęciach obolała wycłapałam z budynku, podszedł do mnie Peter.

- Świetnie dzisiaj pływałaś.
- Dzięki – odpowiedziałam zakłopotana, grzebiąc przy rowerze.
- Może cię podwieźć? – zaproponował. O ho, ho!!!
- Eee, nie. Chyba trochę za mało cię znam...
- No wiesz! A już myślałem, że przestałem wyglądać jak maniakałny

zabójca. – Roześmiał się, a na jego policzkach pojawiły się te jego fajne dołeczki.

No proszę, on mnie... lubi. Coś takiego! Jak powiem o tym Ivette, to chyba padnie. Już nie mogę się doczekać, kiedy do niej zadzwonię. Ha, ha!

Tak jak sądziłam, Iv zatkało. Najpierw nie mogła wydusić z siebie słowa, a potem jeszcze na mnie nakrzyczała, że nie skorzystałam z zaproszenia Petera. Ona ma coś z głową. Miałabym wsiadać do samochodu obcego chłopaka? A gdyby naprawdę był maniakałnym mordercą?

### 3.

Przez następne dni wszystko szło zupełnie zwyczajnie. Poznałam lepiej Ivette i szczerze przyznam, że ją bardzo polubiłam, szybko się więc zaprzyjaźniłyśmy. Co prawda to jej upodobanie do różowego bywa nieznośne, ale poza tym jest w porządku. Dowiedziałam się od niej, że zaledwie kilka miesięcy temu przeprowadziła się do Stanów, bo jej ojciec został tu przeniesiony. Jest chyba politykiem. Iv ma też siostrę, ale ona mieszka w Paryżu, bo studiuje coś na Sorbonie.

A moi znajomi z Nowego Jorku? No, cóż... kilka razy rozmawiałam z kimś przez telefon, kiedyś wyskoczyłam też na weekend do mojej dawnej przyjaciółki Jenny... Ale prawdę mówiąc, takie kontakty na odległość szybko się rwą.

Teraz ciągle tylko szkoła, dom, szkoła, dom, szkoła, dom... aż się człowiekowi robi niedobrze. Monotonia i nuda.

Nie należy jednak chwalić dnia przed zachodem słońca. Nieoczekiwanie bowiem, w pewien czwartek pan Hawk, nauczyciel historii sztuki, zrobił coś absolutnie zaskakującego. Właśnie byłam w trakcie udawania, że go uważnie słucham, gdy „to” się stało.

Zazwyczaj pan Hawk strasznie przynudza. Mówienie tak monotonnym głosem powinno być zabronione albo przynajmniej surowo karane, może nawet dożywociem.

Rozmyślałam więc nad tym, czy pieniądze, które zbierałam (to znaczy: dodatek od dziadków na Boże Narodzenie plus parę moich tygodniówek), przeznaczyć na nowe glany, czy może zabójcze džinsy, które widziałam na jakiejś wystawie. Osobiście wolałabym glany, bo te, które mam, już się trochę zniszczyły. Problem w tym, że mama nie cierpi takich butów. Ale może da się przekonać?

Już prawie podjęłam decyzję w sprawie zakupów, gdy niespodziewanie usłyszałam głos profesora Hawka. Widocznie zmienił trochę intonację i wyrwało mnie to z rozmarzenia.

– Podzielę was na dwuosobowe grupy – powiedział. – Każda para otrzyma określone zadanie. Nie wolno z nikim się zamieniać na zadania ani zmieniać składu grup. Na napisanie pracy macie tydzień, więc radzę wziąć się do roboty.

W klasie rozległy się pełne zdziwienia pytania:

– Że co?

– Co, co on powiedział?

Widocznie tak jak ja, większość właśnie się ocknęła i powoli docierał do nich sens słów, które wcześniej wypowiedział nauczyciel. Praca domowa z

historii sztuki... Jeszcze rozumiem z matematyki, angielskiego, nawet z fizyki, ale z historii sztuki? To przekracza wszelkie normy!

I wtedy zdałam sobie z czegoś sprawę. Prawdopodobnie nie będę miała pary. A jeśli to pan Hawk je wyznacza? Tylko kto będzie chciał ze mną współpracować? Co prawda mieszkam tu już prawie trzy tygodnie, ale nie wiem, czy ktoś będzie chciał spędzić ze mną czas po lekcjach...

Nauczyciel powoli zaczął wyczytywać nazwiska. Nagle usłyszałam:

– Margo Cook i Max Stone...

Eee, że co? Jestem w parze z Maksem? Metałem? O, kurczę... Ciekawe. Może teraz wreszcie się do mnie odezwie? To może być jednak interesujące doświadczenie.

Ale właściwie dlaczego mamy pracować razem? Nasze nazwiska nie zaczynają się na tę samą literę. Aha, no jasne. Przecież siedzimy obok siebie, a pan Hawk nie jest normalnym nauczycielem – normalny nauczyciel podzieliłby nas według listy w dzienniku. Mimo to jestem mu wdzięczna. Lepszy Max niż... niż ktokolwiek inny.

– ...zapoznacie się z najstarszymi cmentarzami w Wolftown i napiszecie na ten temat esej – dokończył zdanie nauczyciel.

Cmentarze? Ten człowiek jest chory, i to poważnie. Mam zwiedzać cmentarze?! Czemu nie możemy tak jak inni połączyć po zabytkowych kościołach albo muzeach? To niesprawiedliwe! Jak już mam okazję rozerwać się po lekcjach, zamiast siedzieć w domu, to dlaczego muszę, na litość boską, oglądać cmentarze??? To nie fair...

Kiedy lekcja się skończyła, podeszłam do Maksa, zanim zdążył jak zwykle niepostrzeżenie zniknąć. Swoją drogą, też bym chciała umieć tak robić. Zwłaszcza wtedy, gdy mama prosi mnie o posprzątanie pokoju. Zatem podeszłam do Maksa i spytałam:

– To kiedy napiszemy ten esej?

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami i nawet na mnie nie spojrzął.

– Może jutro po lekcjach pójdziemy do urzędu miasta i poprosimy o spis cmentarzy i jakąś informację, a w sobotę i w niedzielę je obejrzymy? – nie poddawałam się.

– Okay – mruknął i ruszył do wyjścia.

– A o której kończysz jutro zajęcia? – spytałam, dogoniwszy go przy drzwiach.

Wyraźnie chciał się mnie pozbyć, ale ja się tak łatwo nie poddam. Powkurzam go jeszcze swoją obecnością.

– O trzeciej – mruknął ponuro.

– O, to tak jak ja! – odpowiedziałam pełna jakiegoś chorego entuzjazmu.

– Może więc od razu tam pojedziemy, co?

– Dobra – mruknął po raz ostatni i wmieszał się w tłum na korytarzu.

Rany, ale trudno się z nim dogadać. Jakby się mówiło do ściany, albo nawet gorzej. Na szczęście doszliśmy chyba do porozumienia.

Szybko ruszyłam na poszukiwania Ivette, żeby jej o wszystkim powiedzieć. Zareagowała dokładnie tak, jak podejrzewałam.

– To niewiarygodne! – pisnęła. – Może się nawet zaprzyjaźnicie. O, a może będzie z tego jeszcze coś więcej.

– Nie sądzę – powiedziałam. – Strasznie trudno się z nim rozmawia. Chyba że mówiąc, nie oczekuje się żadnej reakcji.

– Szkoda tylko, że nie jest sportowcem – mruknęła do siebie Iv.

Czy mi się zdaje, czy ona ma na tym punkcie obsesję?

– Jest w szkolnej drużynie pływackiej – uświadomiłam ją.

– Naprawdę? To czemu trzyma z metalowcami, skoro mógłby się przyjaźnić z Peterem? – nie mogła mi uwierzyć.

– Nie mam pojęcia – mruknęłam i już dłużej nie słuchałam. Owszem, Max jest bardzo przystojny, ale jak dla mnie to chyba trochę za... cichy. Poza tym wyraźnie mnie unika, co też nie działa raczej na jego korzyść. Trochę mnie jednak intryguje, pewnie przez to jego dziwne zachowanie.

Właśnie szłyśmy korytarzem na matematykę (Boże, jak ja nie cierpię matmy...), gdy Iv dźgnęła mnie łokciem pomiędzy żebra (to okropnie wkurzający zwyczaj, muszę jej powiedzieć, żeby więcej tego nie robiła) i wyszeptwała:

– Nie odwracaj się. Peter Deep patrzy na ciebie!

„Nie odwracaj się”. Oczywiście, że się odwróciłam. Miałabym przegapić prawdopodobnie jedyny moment w moim życiu, kiedy jakiś chłopak wpatrywał się we mnie? Mowy nie ma!

Szybko obejrzałam się za siebie. Rzeczywiście, Peter na mnie patrzył. A niech mnie! Historyczne wydarzenie! Trzeba to gdzieś zapisać dla potomnych! We mnie, w Margo Cook, wpatrywał się taki przystojniak. Ależ to cud!

Rodzice nie byli zachwyceni, kiedy im powiedziałam, że przez cały weekend będę się włóczyła z jakimś nieznanym im chłopakiem po cmentarzach. Hm... rzeczywiście to trochę głupio brzmi. Ale w końcu musieli się z tym pogodzić – pała z historii sztuki to byłby dopiero obciach...

Następnego dnia, w piątek, podczas ostatniej lekcji zaczęłam się zastanawiać, jak my właściwie dotrzemy do urzędu miasta. Nie miałam pojęcia, gdzie to może być. Tak, wiem, że istnieje coś takiego jak plan miasta, ale wcześniej jakoś na to nie wpadłam. Zresztą nigdy nie twierdziłam, że jestem szalenie błyskotliwa. Ktoś taki jak ja do szybko myślących raczej nie należy. Wiecie, dlaczego nie lubię matematyki? Bo nie potrafię liczyć w pamięci. OK, działania na liczbach dwucyfrowych jeszcze przeprowadzę, ale nie wymagajcie ode mnie niczego więcej. Liczenie to moja pięta Achillesowa...

Gdy tylko zabrzmiał ostatni dzwonek, wyszłam z Ivette przed szkołę i

zaczęłam rozglądać się w tłumie uczniów, szukając wzrokiem Maksa.

– Pomóż mi go znaleźć – jęknęłam do Iv.

– Nie widzę go tu – stwierdziła tylko. – Szkoda, że nie masz historii sztuki z Peterem. Może zostalibyście przydzieleni do tej samej grupy.

– Taak... O, jest tam. To cześć – powiedziałam szybko i pomknęłam w stronę Maksa.

A on znowu usiłował mi uciec. Ale mnie wcale nie jest tak łatwo się pozbyć. Dogonię go, choćby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobię w życiu! Lv. byłoby tak naprawdę, bo pędząc za nim, o mało nie wpadłam pod samochód.

Max szedł właśnie w kierunku parkingu i rozmawiał z jakimś chłopakiem. Szybko do niego podeszłam, ale taktownie poczekałam, aż skończą gadać.

– Tylko nie zapomnij, dzisiaj o północy – dobiegł mnie przyciszony głos znajomego Maksa.

Hm, ciekawe... co oni mogą robić o północy? Grać w karty? Czytać komiksy? A może jakieś „mocniejsze pisemka”?

– Okay – mruknął w odpowiedzi Max.

Jego kumpel akurat odwracał się w moją stronę, dlatego udałam, że właśnie do nich podeszłam. Nie chciałam, by uznali, że podsłuchiwałam, a ja przecież zupełnie przypadkowo usłyszałam strzęp ich rozmowy.

– Cześć. To jak, jedziemy? – powiedziałam na powitanie.

– Dobra – mruknął Max i westchnął.

Jego towarzysz spojrzał na mnie przelotnie i odszedł. Ale gbur, nawet nie powiedział mi „cześć”. Po prostu udał, że mnie nie widzi, i sobie poszedł. Ciekawe, czy wszyscy znajomi Maksa tak się zachowują?

Natomiast sam Max wyglądał tak, jakby miał nadzieję, że ja rzeczywiście nie zdążę go złapać, i spokojnie zwieje do domu.

– Przyjechałem samochodem, więc twój rower możemy schować do bagażnika – mruknął niezadowolony.

A niech mnie! To było zdanie! Powiedział pełne zdanie! Jak tak dalej pójdzie, to się może jeszcze rozkręci. Ha!

Przytaszczyłam mój rower, a Max władował go do bagażnika. No proszę, zmieścił się, a do autka Ivette nie chciał wejść (z tego akurat bardzo się cieszę).

Gdy już siedzieliśmy w samochodzie, powiedziałam:

– Możesz mi mówić Margo. – Uznałam po prostu, że on pewnie nawet nie wie, jak mam na imię.

– Jestem Max – mruknął, nawet na mnie nie patrząc.

– Od dawna tu mieszkasz? – spytałam w nadziei, że może dowiem się o nim czegoś ciekawego.

– Hm... – mruknął tylko.

– Pewnie od urodzenia, co?

– Hm...

Jak człowiek siedzi w takim towarzystwie, to zaczyna się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem nie mówi za dużo. Tak na wszelki wypadek przestałam go więc wypytywać o jego życie. Wyraźnie nie lubił tego tematu.

Słabo jeszcze znam miasto, dlatego gdy jechaliśmy, pytałam go, co znajduje się w niektórych mijanych przez nas budynkach. No co? To w końcu neutralny temat. Chyba byłam nieco namolna, ale w ten sposób zdołałam go wreszcie zmusić do mówienia.

– A to? – spytałam, wskazując na niskie budynki, otoczone wysokim ogrodzeniem zakończonym drutem kolczastym.

– To Instytut – mruknął.

– Aaa, no tak. Moja mama tam pracuje – powiedziałam. – Wygląda jak więzienie.

– Masz rację – odparł i uśmiechnął się pod nosem. Uśmiechnął się!!! Ale numer! Czyżby miał poczucie humoru?

No, czego to się człowiek dowiaduje w takich chwilach...

Niestety, chwilę później dojechaliśmy na miejsce, więc musiałam porzucić te rozmyślenia.

Hm, budynek urzędu miasta okazał się niepozorną kamieniczką, zbudowaną dobre pół wieku wcześniej. Gdybym przechodziła tędy sama, pewnie w ogóle nie zwróciłabym na niego uwagi.

Urzędnik ubrany w nieco wyblakły garnitur chyba strasznie się nudził, bo gdy tylko się pojawiliśmy, od razu do nas podbiegł, pytając, w czym może pomóc. Wyjaśniliśmy mu, o co nam chodzi (a raczej ja wyjaśniłam, bo Max w ogóle się nie odzywał), po czym urzędnik zniknął w archiwum.

Po paru chwilach wrócił. Przyniósł nam mapkę i kilka skserowanych kartek, zawierających historię tutejszych cmentarzy. W tym mieście są, na szczęście, tylko dwa dość stare, ale dla mnie to i tak o dwa za dużo.

Super, spędzę uroczno weekend, usiłując nie wdepnąć w czyjś grób. Już nie mogę się doczekać...

Kiedy byliśmy na ulicy, spytałam:

– To co teraz robimy? Wstąpimy jeszcze do biblioteki po jakieś informacje, czy dajemy sobie spokój i idziemy do domu?

– Wszystko jedno – mruknął Max.

Jak miło, cała inicjatywa po mojej stronie...

– No, to może chodźmy jeszcze do biblioteki. Chociaż część roboty będziemy mieli z głowy – stwierdziłam.

Spędziliśmy bardzo miło prawie dwie godziny, siedząc w dusznym pomieszczeniu i usiłując wyczytać coś z wyblakłych kartek jakichś starych książek. Pasjonujące zajęcie... aż się człowiekowi chce ziewać...

– To może się przydać – mruknął Max, podając mi kolejny wolumin.

– Miejski cmentarz bla, bla, założony przez bla bla... No, dobra. Nadaje

się na wstęp – powiedziałam i zaczęłam notować.

Nie umawialiśmy się wcześniej, ale wygląda na to, że ja piszę, a on znajduje. Fajnie...

Gdy wyszliśmy wreszcie z biblioteki, okropnie wynudzeni, Max spytał:

– Podrzucić cię do domu?

– Nie – odpowiedziałam. – Pojadę na rowerze, zresztą i tak muszę jeszcze wpaść do koleżanki. – Obiecałam Iv, że do niej przyjadę i wszystko jej opowiem... jakby było co opowiadać. – To o której jutro się spotykamy?

– Może o dwunastej, na tym starszym cmentarzu – mruknął i podszedł do bagażnika, żeby wyjąć mój rower.

– Okay. To twój samochód? – spytałam, wskazując brodą na granatowe auto.

– Ojca – mruknął. Ależ on rozmowny...

– Trudno jest dostać prawo jazdy w Wolftown?

– Nie masz prawa jazdy? – zdziwił się.

No, nie. Zaczynam na poważnie czuć się inna. Wszyscy się tu dziwią. Najpierw Ivette, a teraz Max. Czy w tym mieście to przestępstwo, że ktoś nie umie prowadzić samochodu?! Po prostu, jak rany, nigdy tego nie potrzebowałam!

– Nie, ale chciałabym je zrobić – dodałam szybko.

– To nie jest trudne. Musisz zapisać się na kurs jazdy i zdać egzamin z teorii i praktyki – mruknął i zerknął w stronę swojego auta. Najwyraźniej miał ochotę już się stąd zmyć.

– Aha. To cześć – powiedziałam i wsiałam na rower.

A co tam. Nie będę go już dręczyć moją, jak widać denerwującą dla niego, obecnością.

Wkrótce minął mnie samochodem i zniknął. Hm, Max jest dziwny, ale nie taki zły i co najważniejsze, odkryłam, że potrafi się uśmiechać. Ciekawe tylko, o co chodziło z tym spotkaniem o północy? Eee tam, to nie moja sprawa, nie zamierzam zawracać tym sobie głowy.

Następnego dnia, z samego rana, musiałam się zerwać na te głupie sobotnie zajęcia na basenie. Kurczę, powoli zaczynam nienawidzić pływania. Pijawka potrafi skutecznie obrzydzić człowiekowi życie. Jak na mój gust, to świetnie nadawałaby się na kaprala w wojsku. Ale pewnie jej tam nie przyjęli, bo była za niska...

Na basenie spotkałam oczywiście Maksa, ale nie rozmawialiśmy ze sobą. Zresztą i tak mieliśmy się spotkać za parę godzin. Na cmentarzu.

Kiedy wróciłam do domu po zajęciach, zjadłam śniadanie. Tak, tak. Rano nie zdążyłam, zresztą i tak pewnie dostałabym kolki, pływając zaraz po posiłku. Ach, te uroki pływania...

Rodziców, jak zwykle o tej porze, nie było już w domu, więc musiałam

jechać rowerem. Nie miałam nic przeciwko temu, tylko że niebo wyglądało tak, jakby zaraz miało zacząć padać.

Super... Będę w strugach deszczu zwiedzać bagnisty cmentarz. Życie nie umierać, no nie? Wrzuciłam do koszyka zawieszzonego na ramie kierownicy zeszyt i składaną parasolkę. Przy moim szczęściu na pewno lunie.

Właśnie byłam gdzieś tak w połowie drogi, gdy zagrzmiało. No... nieźle się zapowiada... Prawdziwa burza z piorunami, albo coś gorszego.

Na miejsce dojechałam za wcześnie, Maksa jeszcze nie było. Przypięłam rower do jakiejś sztachety i otworzyłam parasolkę. Właśnie zaczęło padać, dobrze przynajmniej, że deszcz nie złapał mnie podczas jazdy.

Po kilku minutach, ciągnących się w nieskończoność (zwłaszcza że moje dzinsy, które pod wpływem wody farbują, powoli nasiąkały deszczem; parasolki są do bani!), pod bramę cmentarza podjechał samochodem Max. Nie miał ze sobą własnego parasola, więc chociaż uparcie twierdził, że deszcz mu nie przeszkadza, staliśmy razem skuleni pod moją lichą parasolką. Mam za miękkie serce, powinnam była pozwolić mu zmoknąć, może wtedy chociaż trochę uratowałabym dzinsy, a raczej moje nogi. Pewnie potem nie będę mogła ich domyć. Będą sinoniebieskie...

Najpierw chwilę spacerowaliśmy, próbując znaleźć jakieś wymyślne nagrobki, albo miejsca spoczynku ważnych osobistości, ale bądźmy szczerzy, nie znaleźliśmy ani tego, ani tego. Widać w Wolftown nie mieszkał nikt sławny, a rodziny wszystkich tutaj „poległych” zupełnie nie miały wyobraźni...

Po godzinie miałam spodnie ubłocone prawie do kolan. Super... mogłoby tu przecież wybrukować ścieżki. No ale sama sobie wykrakałam ten bagnisty cmentarz.

Wręczyłam parasol Maksowi, wyjęłam z kieszeni długopis i zaczęłam notować, mówiąc na głos:

– „Po dokładnym obejrzeniu nagrobków na miejskim cmentarzu stwierdziliśmy, że są one bardzo zaniedbane i okropnie brzydkie”...

– Nie przesadzasz? – mruknął Max, nawet na mnie nie patrząc.

– Przecież są brzydkie – odpowiedziałam i jeszcze raz spojrzałam na pobliski szary, obdrapany nagrobek, na którym już nawet nie było widać, gdzie kiedyś wryto napis z nazwiskiem.

– No tak, ale profesorowi może się nie spodobać, że tak to krytykujemy – mruknął, zerkając w mój przemoczony zeszyt.

– Niech ci będzie: „...stwierdziliśmy, że są bardzo zaniedbane i nie grzeszą urodą. Według nas urząd miasta powinien odrestaurować zabytkowe nagrobki i tablice”...

– A one są zabytkowe?

– Powiedzmy, że tak. No, więc: „...zabytkowe nagrobki i tablice, które szpecą swoim obecnym wyglądem piękno otoczenia”...

– Piękno otoczenia?

Przez ten jego dumny sceptycyzm krew mnie zaraz zaleje...

– A co mam napisać? „Równie wstrętny krajobraz”? Musimy to trochę ubarwić.

– No dobra – mruknął, wzruszył ramionami i zaczął się rozglądać, usiłując coś dostrzec przez strugi deszczu.

Widać było mu wszystko jedno, co piszę, puściłam więc wodze wyobraźni:

– „W strugach deszczu cmentarz sprawiał wrażenie opuszczonego i był to bardzo przygnębiający widok”...

I tak dalej, i tak dalej... Przez kolejne trzy godziny zwiedzaliśmy drugi cmentarz, który wyglądał niemal tak samo jak ten poprzedni. Tylko kałuż i błota było tam jeszcze więcej.

Niestety deszcz cały czas przybierał na sile. W zasadzie to już nie był deszcz, to nie była nawet ulewa, to było urwanie chmury. Parasolka nie na wiele się zdała, bo i tak byliśmy cali mokrzy, a mnie czekała jeszcze szalenie miła jazda powrotna do domu. Ekstra, już nie mogę się doczekać...

– Może dzisiaj przepisalibyśmy ten esej na czysto w bibliotece? – zaproponował Max.

– Dobra – zgodziłam się.

Jeszcze było wcześniej, więc czemu nie? Poza tym miałabym wolną niedzielę. Chociaż z drugiej strony nie mam pojęcia, na co mi ona. Nie mam tu znajomych urządzających cotygodniowe imprezy, ale mniejsza o to. Najwyraźniej to Max miał jakieś plany.

Podjechaliśmy tam samochodem Maksa (mój rower czekał cierpliwie w bagażniku, idealnie suchy – szczęściarz).

Zaparkowaliśmy po drugiej stronie ulicy. Nawet nie otwieraliśmy parasolki, i tak byliśmy cali mokrzy (współczuję tapicerce i siedzeniom w aucie Maksa, będzie miał co czyścić). A co tu dopiero mówić o widoczności. Widziałam raptem na jakieś dwa metry przed sobą, a potem wszystko zacierało się w strugach deszczu.

Byłam pełna podziwu dla umiejętności Maksa i tego, że nie wpakował się na jakąś latarnię, prowadząc samochód przy takiej pogodzie.

Przed przejściem na drugą stronę rozejrzałam się, czy nic nie nadjeżdża, a ponieważ nie zauważyłam żadnych świateł, śmiało weszłam na jezdnię. Ten deszcz był naprawdę wkurzający. Włosy ociekały mi wodą, i ledwo widziałam asfalt pod stopami, a co tu dopiero mówić o bibliotece po drugiej stronie.

Nagle ktoś złapał mnie w pasie i zostałam gwałtownie wciągnięta z powrotem na chodnik. Upuściłam parasolkę, a ta wpadła w kałużę w miejscu, w którym przed chwilą stałam. W chwilę potem tuż przede mną przejechał na pełnym gazie samochód z wyłączonymi światłami, obryzgując mnie i swojego

wybawcę od góry do dołu wodą zmieszana z błotem. Byłam tak zaskoczona, że nie od razu zorientowałam się, co się stało. Spojrzałam na ulicę i coś ścisnęło mnie w gardle – parasolka była całkiem zmiądzona...

– Matko! – wyrwało mi się i spojrzałam na Maksa, który nadal mnie trzymał w ramionach. Zaczerwieniłam się. Uświadomiłam sobie, że wygląda to, jakbyśmy się do siebie przytulali.

– Nie zauważyłam go – dodałam, czując, że muszę się jakoś wytłumaczyć.

– Nie miał włączonych świateł – mruknął Max, puścił mnie zakłopotany i ruszył przez ulicę. – Jechał nieprzepisowo.

Szybko pobiegłam za nim, czujnie się rozglądając na boki.

– Dziękuję – powiedziałam, chwytając go za ramię. – Jakbyś mnie nie złapał, to on by mnie potracił!

– Nie ma sprawy – mruknął i spojrzał jeszcze bardziej zakłopotany na swoje ramię, które kurczowo ściskałam.

„Nie ma sprawy”? Ten człowiek właśnie uratował mi życie! Kurczę! Mam wobec niego dług nie do spłacenia.

Puściłam jego rękę, co go wyraźnie ucieszyło, ale nadal czułam, że muszę coś jeszcze powiedzieć.

– Jak ty go zauważyłeś? Ja niczego nie widziałam. W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

O rany, mogłam zostać przejechana! To straszne! W takich momentach człowiek zaczyna sobie zdawać sprawę, jakie jego życie jest kruche. I pomyśleć, że moje mogło się tak nagle skończyć!!! Przecież ja naprawdę nie widziałam tego samochodu! Gdyby nie Max...

Bibliotekarka prawie dostała zawału na nasz widok, kiedy ociekający wodą weszliśmy do jej schludnej i suchej biblioteki. Pozwoliła nam jednak zostać i nawet dała za darmo papier podaniowy, bylebyśmy tylko szybko się wynieśli. To było miłe z jej strony, zwłaszcza że swojego nie wzięliśmy.

Nawet sprawnie się uwinęliśmy. Max mi dyktował, a ja notowałam. Ciekawe, czy nauczyciel mnie odczyta? No bo ja mam dysleksję, dysgrafię, dysortografię i te wszystkie inne tałatajstwa, które sprawiają, że człowiek ma brzydkie pismo. Zaproponowałam, żeby to Max pisał, ale się okazało, że bazgrze jeszcze gorzej ode mnie. Coś takiego...

Ponieważ, co wydawało się niemożliwe, pogoda wciąż się pogarszała, Max odwiózł mnie pod sam dom. Nie wiem, jak bym wróciła rowerem. Chyba musiałabym gdzieś przeczekać.

Na początku jechaliśmy w milczeniu, ale nie mogłam tego długo znieść. Ja po prostu lubię, kiedy wokół mnie jest chociaż trochę hałasu.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedziałam, patrząc na jego profil (ma zgrabny nos, naprawdę).

- Nie ma za co – mruknął zmieszany.
- Jakim cudem go zobaczyłeś? – drążyłam dalej.

W odpowiedzi mruknął coś niezrozumiałego. Uparcie wpatrywał się w szosę przed nami, nawet na mnie nie zerknął. Chociaż akurat przy tej pogodzie lepiej, że tego nie zrobił.

- Jak go zauważyłeś? – powtórzyłam jeszcze raz.
- Usłyszałem – mruknął wymijająco i z niechęcią.
- Przecież przez ten deszcz i pioruny nic nie słychać – stwierdziłam i wsłuchałam się w otaczające mnie dźwięki.

Istna kakofonia.

- Mam wyćwiczony słuch – mruknął jeszcze ciszej.
- Jak?

Tak, wiem, że może przesadzam z tymi pytaniami, ale mógłby się w końcu otworzyć i cokolwiek o sobie powiedzieć.

- Czasem gram z kolegami – powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszałam.

– Naprawdę? – zainteresowałam się. – Masz zespół? No, nareszcie jakiś przełom!

- Nie, po prostu gram ze znajomymi.
- To zespół rockowy?

Tak, wiem, że to pytanie jest po prostu idiotyczne, ale mi się wymknęło. No bo w jakim niby zespole mógłby grać metal?

- To nie jest zespół – mruknął pod nosem.

On mnie dobija... Ale i tak zaczynam go lubić. Jest jakiś taki dziwny, ale fajny na swój sposób. I taki tajemniczy.

W każdym razie już więcej nie rozmawialiśmy. Dałam mu spokój i też wpatrzyłam się w monotony i szary krajobraz za oknem.

Zanim wysiadłam z samochodu, jeszcze raz mu podziękowałam. Znowu się zmieszał, ale musiałam to zrobić. Gdyby nie on, nie wiem, co by ze mną było.

W następnym tygodniu oddaliśmy esej (cztery kartki mojej weny twórczej), a potem, na kolejnej lekcji, nauczyciel czytał na głos nasze oceny:

– Bardzo spodobała mi się praca Margo Cook i Maksa Stones – powiedział. – Szczególnie ciekawe były ich odczucia w związku z wyglądem cmentarzy w naszym mieście i propozycja, żeby je odrestaurować. Tak, to była bardzo ciekawa praca. Uważam, że ten esej powinien zostać wysłany do urzędu miasta i tak też zrobię. Gratuluje dzieciaki, wspaniała praca. Obydwoje dostajecie najwyższe oceny. Natomiast, co do pracy...

No proszę. Nasza praca była najlepsza? Po takiej przemowie wybaczę mu nawet te „dzieciaki”. Ha!

Spojrzałam wymownie na Maksa i uśmiechnęłam się z satysfakcją.

– A nie mówiłam?

– Przyznaję ci rację i cofam wszystko, co wcześniej powiedziałem – mruknął i też się uśmiechnął.

Mimo że w pewnym sensie się z Maksem zaprzyjaźniliśmy (no i, jakkolwiek by na to patrzeć, uratował mi życie), wcale nie stał się bardziej rozmowny. Tych parę zdań, które rzucił w czasie naszej wspólnej pracy i jego dzisiejsza wypowiedź to nieliczne wyjątki. Raczej ze sobą nie rozmawiamy. Najwyżej rzucamy do siebie: „cześć” na szkolnym korytarzu. Czasem do niego zagaduję, ale przeważnie mi nie odpowiada.

W ogóle trudno go złapać na przerwie. Ciągle gdzieś znika ze swoimi kumplami. Ale cóż, może kiedyś znowu pogadamy...

To głupie, ale zauważyłam, że zaczynam zachowywać się jak Ivette. No, ale fajnie byłoby mieć chłopaka. Móc z nim pogadać, przytulić się do niego. Poza tym... ja jeszcze nigdy się nie całowałam. Chciałabym się dowiedzieć, jak to jest. Czy to źle?

Jak na razie, to tylko Peter zauważa moją obecność. Inni (oczywiście poza Ivette) ciągle mnie w irytujący sposób ignorują. To wkurzające. Czuję się jak taki ludzki cień. Jestem, ale mnie nie ma.

## 4.

Cud. Prawdziwy cud.

W niecały tydzień później zdarzył się cud, inaczej tego nie można nazwać. Tak, tak, wiem, co mówię, jeszcze nie oszalałam, chociaż jak o tym usłyszałam, byłam bliska szaleństwa. The Calling, zespół, który ubóstwiam (a zwłaszcza wokalistę, ale mniejsza o szczegóły), da koncert w miasteczku oddalonym od Wolftown zaledwie o piętnaście kilometrów.

**KONCERT THE CALLING!!! NA ŻYWO!!!**

Muszę tam pojechać. Po prostu muszę. To prawdopodobnie jedyna okazja, by zobaczyć ich na żywo. Muszę więc, muszę, muszę, muszę, muszę, MUSZĘ!!!

Rok temu, w Nowym Jorku, przegapiłam ich koncert, bo byłam chora i z gorączką nie mogłam iść. Pamiętam to i do dziś sobie tego nie darowałam. A teraz mam drugą szansę!!!

Taak... Tylko najpierw powinnam zastanowić się nad rozwiązaniem dwóch podstawowych problemów. Po pierwsze: jak przekonać rodziców, żeby mnie puścili, po drugie: jak zdobyć bilety i z kim pójść na ten koncert. Hm, to w zasadzie trzy problemy, z czego pierwszy jest najpoważniejszy. Chociaż zdobycie biletów też może się okazać bardzo trudne. Co najmniej pół mojego liceum wybiera się na ten koncert.

Rano przeczytałam w gazecie artykuł (kiedy dotarł do mnie jego sens, to aż się zakrztusiłam), w którym była informacja o tym, gdzie można kupić bilety. Od razu przystąpiłam do ataku:

– Tato, ja muszę iść na ten koncert, mogę? – zawsze trzeba najpierw pytać o wszystko tatę, bo jak usłyszysz, że mama się na coś nie zgadza, to za nic nie zdoła się go przekonać. Czy mnie się zdaje, czy u nas w domu wszyscy jesteśmy pod pantofelkiem (hm, a w zasadzie kapciem) mamy? Ciekawe...

– Jaki koncert? – odpowiedział, nie zwracając na mnie uwagi (i o to mi właśnie chodziło).

Rozumiecie, wybrałam najbardziej taktyczny moment dnia – śniadanie. Kiedy tata czyta gazetę, to można mu wszystko powiedzieć, a on przytakuje bez szemrania. Tak, uwielbiam, jak czyta tę swoją gazetę.

– Wiesz tato, The Calling ma dać wkrótce koncert! Odbędzie się w jakimś klubie, w Lorat, w tym miasteczku niedaleko Wolftown. Można tam już kupić bilety. Poproszę Ivette, żeby ze mną pojechała, to sobie kupię. Nie musisz mi dawać pieniędzy. Zostało mi jeszcze trochę od dziadków, wiesz, te które dostałam na gwiazdkę – powiedziałam szybko, w obawie, że mama może pokazać się na horyzoncie.

– Aha – mruknął tata.

- To jak, mogę iść?
- Tak, tak... – powiedział, nadal wpatrując się w jakiś tekst.
- Dzięki tato! – prawie krzyknęłam.
- A o co chodzi? – spytał nieprzytomnie, ale już mu nie odpowiedziałam,

cel został osiągnięty!

Ha! Poszło zadziwiająco łatwo. Co do mamy, to stwierdziłam, że poinformuję ją dopiero po fakcie dokonanych, czyli po kupnie biletów. Tak, wtedy mi już chyba nie zabroni... w każdym razie mam taką nadzieję.

Od razu po śniadaniu wsiadłam na rower i szybko pojechałam do szkoły. Oby tylko Ivette mogła mnie podwieźć! Poza tym chciałabym, żeby pojechała ze mną na ten koncert. Głupio by było oglądać go samej.

Chociaż... nawet jak nie będzie chciała, to i tak nie przepuszczę takiej okazji. Muszę zobaczyć Aleksa Banda na żywo! I zrobię to, albo nie nazywam się Margo Cook!!!

Przed szkołą dotarłam w rekordowym czasie. Szybko przypięłam rower i pobiegłam na parking, by sprawdzić, czy autko Iv już tam stoi. No dobra, przyznaję się. Byłam tak podekscytowana, że się nie rozejrzałam i wbiegłam prosto pod samochód (tak, zauważyłam, że to u mnie częste, mam nadzieję, że nie będzie już następnego razu).

Samochód zahamował z piskiem opon, zatrzymując się jakieś pół metra ode mnie. Uff... Chłopak siedzący za kierownicą zaczął się na mnie wydierać, ale raczej nie przytoczę tego, co powiedział... Natomiast z miejsca pasażera szybko wyskoczył... (werble proszę)... Peter!

- O, rany! Margo, nic ci się nie stało? – spytał, podbiegając do mnie.

Kurczę, znowu się wpakowałam. Ale obciach...

- Nie, nic, sorry... – powiedziałam speszona.

Gdy tylko chłopak w samochodzie zauważył, że znam Petera, od razu przestał się na mnie drzeć i jeszcze przepaszająco się uśmiechnął. Ivette miała rację, mówiąc, że jeśli tylko któreś z nich mnie polubi, to będą mnie lubić wszyscy. To jakiś horror!!!

– Na pewno wszystko jest okay? Wybacz, nie zauważyliśmy cię – tłumaczył się dalej Peter.

– To raczej ja wbiegłam wam pod koła – powiedziałam i zauważyłam z niechęcią, że zaczęłam się czerwienić.

Samochody stojące za ich wozem już zaczęły trąbić, więc przesunęliśmy się na chodnik, a tamten chłopak (nadal przepaszająco się do mnie uśmiechając) pojechał dalej.

- Gdzie ci się tak spieszyło? – spytał Peter.
- Eee, w zasadzie, to szukałam przyjaciółki, Ivette – wytłumaczyłam.
- Tej od różowego samochodu? – upewnił się.

Dlaczego? Dlaczego wszyscy ją kojarzą z tym jej obrzydliwym, różowym

autem?! A jeżeli mnie też zaczną z nim kojarzyć??? No nie!!!

– Taa... – mruknęłam.

– Przyjechałaś na rowerze? – Peter dzielnie starał się podtrzymać rozmowę, bo muszę szczerze przyznać, jakoś nam się nie kleiła.

– Tak.

– Mnie podrzucił kumpel, David – powiedział, wskazując na chłopaka, który omal mnie nie przejechał. – Mój samochód jest w warsztacie, ale za parę dni powinni go naprawić.

– Aha – mruknęłam, no bo co w końcu miałam powiedzieć? Raczej nie znam się na samochodach.

W tym momencie zauważyłam różowy samochód Ivette, powoli wtaczający się na parking.

– O, już jedzie moja przyjaciółka. Jeszcze raz przepraszam, że wbiegłam wam pod koła, byłam zamyślona...

– Ależ nic się nie stało – przerwał mi i uśmiechnął się. Na jego policzkach pojawiały się znowu te niesamowite dołeczki. Hm, są naprawdę fajne!

– O, eee... to cześć – wydusiłam.

– Cześć – odpowiedział i odszedł.

O matko, jak to dobrze, że Iv już przyjechała. Zupełnie nie wiedziałam, o czym miałabym z nim rozmawiać! Nawet nie wiem, jaki on ma samochód, a co tu dopiero mówić o naprawach w jakimś warsztacie. Pewnie pomyślał, że jestem pomyłona.

– O, już jesteś? – zdziwiła się Ivette, wysiadając z samochodu.

– Słuchaj, mam do ciebie prośbę. Zawiozłabyś mnie dzisiaj po lekcjach, żebym mogła kupić bilety? – od razu przystąpiłam do rzeczy.

– Jakie bilety? Aa, chodzi ci o ten koncert? – szybko skojarzyła.

– No właśnie. Bo widzisz, ja jestem fanką The Calling, muszę więc ich zobaczyć.

– Dobrze, zawiozę cię – zgodziła się.

– Świetnie! Ale... mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Nie chciałabyś pójść ze mną na ten koncert? – Za pierwszym razem poszło całkiem dobrze, może i teraz się uda?

– No, nie wiem – odpowiedziała z wahaniem. A niech to licha!

Muszę ją jakoś przekonać. To jej „no, nie wiem” brzmiało tak, jakby już zaczynała mieć ochotę na wspólną wyprawę, ale nie była tego do końca pewna. Już ja się postaram, żeby nabrała większej ochoty!

Kiedy chcę, to potrafię być strasznie namolna. Po jakiejś godzinie przekonywania Ivette się wreszcie złamała.

Na następnych lekcjach po prostu nie mogłam spokojnie usiedzieć. A co będzie, jeśli się okaże, że wszystkie bilety wyprzedali? Co ja wtedy zrobię?! To byłoby straszne!!!

Kiedy podczas którejś przerwy rozważałam możliwość urwania się z zajęć, Iv dźgnęła mnie łokciem pomiędzy żebra.

– Co? – jęknęłam i pomasowałam obolałe miejsce. Ivette ma bardzo kościste łokcie...

– Peter znowu na ciebie patrzy – mruknęła, spoglądając gdzieś ponad moim ramieniem.

– Taak? – spytałam i szybko się rozejrzałam.

Ha, rzeczywiście. To już drugi raz. Tylko że tym razem się nie odwrócił, gdy na niego spojrzałam. Uśmiechnął się. Tak, Peter się do mnie uśmiechnął.

– On się chyba w tobie buja – powiedziała Iv.

Że co? We mnie? Ja nie mogę...

– Tak sądzisz? – spytałam. Czyżbym usłyszała w swym głosie nadzieję? O, przepraszam, ale mnie się to nie zdarza! To działka Iv.

– Sądzę.

No proszę, ktoś się we mnie buja! I to nie byle kto! Peter! Hm, a w mojej poprzedniej szkole to ja ciągle się w kimś podkochiwałam, ale bez wzajemności. W zasadzie to tamci chłopcy chyba nawet nie wiedzieli, że w ogóle istnieję. To było absolutnie beznadziejne...

Po chwili jednak wróciłam myślami do koncertu. Zapytałam Ivette, czy nie chciałaby zwać ze mną z lekcji, żeby pojechać po bilety, ale ona tylko stwierdziła, że chyba brak mi piątej kleпки – tak więc musiałam cierpliwie czekać, aż skończymy zajęcia.

Już na parkingu okazało się, że mamy mały problem. Przypomniałyśmy sobie, że mój rower nie mieści się do bagażnika Iv. Co miałam teraz z nim zrobić? Eeech! W końcu zdecydowałyśmy, że go tu po prostu zostawimy. Na początku miałam pewne wątpliwości, ale Iv stwierdziła, że przecież nikt go stąd nie ukradnie. No, tak. Bez komentarza...

Musiałymy jeszcze po drodze wpaść do domu Iv po pieniądze, bo nie miałam przy sobie tyle gotówki, żeby jej pożyczyć. Aż wreszcie dotarliśmy na miejsce. Co za ulga!!! Wsiadłyśmy z samochodu i podeszłyśmy do kasy.

Nie uwierzycie, na kogo wpadłyśmy w wejściu. No? Nie, nie na Petera. Nie tym razem. Teraz wpadłyśmy na Maksa! Zatkanęło mnie. Nie podejrzewałam, że słucha rocka. Myślałam, że może czegoś mocniejszego. W końcu, jak rany, jest metalowcem!

– O, kupiłeś bilety na koncert? – spytałam szalenie inteligentnie.

– Tak – mruknął. Też był zdziwiony naszym spotkaniem. – A ty?

– Rety, czemu się tak dziwicie? – przerwała nam Iv miłą pogawędkę. – Połowa naszego liceum idzie na ten koncert. W końcu w Wolftown nie ma zbyt wielu rozrywek, prawda?

Czy ona zawsze musi się wtrącać? Po tym jak się odezwała, Max mruknął tylko „cześć” i podszedł do swojego motoru. A gdyby nie Iv, to może bym z nim

jeszcze pogadała.

No ale cóż, znowu uciekł. Wzięłam się więc w garść i z westchnieniem podeszłam do kasy. Bileterka podała nam... ostatnie dwie wejściówki. Spojrzałam wymownie na Ivette.

– A nie mówiłam?

– Kto by pomyślał... – mruknęła tylko.

Potem odwiozła mnie na pusty szkolny parking. Mojego roweru rzeczywiście nikt nie ukradł. Hm, w Nowym Jorku to by się nie udało. Ale tutaj? Wolftown to naprawdę dziwne miasto...

Wiecie, co jest tu najgorsze? To, że wszyscy są tacy okropnie mili (oczywiście poza cheerleaderkami). Poważnie. Wchodzisz do sklepu, a sprzedawczyni się do ciebie uśmiecha, mijasz na ulicy nieznanych ci ludzi, a oni się do ciebie uśmiechają, nawet twój sąsiad, którego nie cierpisz, uśmiecha się do ciebie! Aż ciarki chodzą po plecach. To nie jest normalne...

W domu szybko się okazało, że mój sposób na przekonanie mamy do koncertu The Calling, nie był dobry. Bilety już miałam, ale mama...

Pamiętacie, jak mówiłam, że o koncercie powiadomię mamę dopiero, jak kupię bilety?

To był błąd. Błąd przez duże B. Mama wściekła się jak nie wiem co. Jeszcze nigdy nie miałam takiej awantury. Chociaż nie... Jak byłam mała i wycięłam kawałek materiału z jej najlepszej sukienki na ubranka dla lalek, efekt był podobny. W każdym razie mam szlaban (a gdzie ja wychodzę po lekcjach?).

Na szczęście pozwoliła mi pójść na sam koncert, ale tylko po to, żeby bilety się nie zmarnowały. Mówię wam, kamień spadł mi z serca. Ale te dwa tygodnie poprzedzające występ The Calling były dla mnie po prostu nie do wytrzymania. Myślałam, że nie wysiedzę na miejscu.

Ja naprawdę jestem fanką Aleksa Banda, chociaż z całą pewnością nie mam na jego punkcie obsesji. To, że przez cały tydzień byłam kiedyś zła, ponieważ się ożenił, jeszcze o niczym nie świadczy. Zresztą każdy, kto widział teledysk do *Wherever you will go* czy choćby ten ostatni, *Anything*, przyzna mi rację. Alex jest po prostu świetny!

Dlatego tak bardzo nie mogłam się doczekać dnia, w którym zobaczę go z bliska i poproszę o autograf. To się dopiero nazywa beznadziejna miłość...

W końcu ten dzień nadszedł! Dziś, właśnie dziś, zobaczę go i usłyszę na żywo!!!

Na miejsce miałyśmy dojechać samochodem Ivette. Trochę mnie zdziwiło, że moi rodzice się na to zgodzili. Koncert zaczynał się dopiero o dziewiątej wieczorem, a potem jeszcze będziemy musiały same wrócić. A to przecież dość daleko. No, ale cóż, nie będę się przecież z nimi kłócić. To nawet

lepiej, nie narobią nam obciachu, czekając na nas przed salą koncertową. Taaaak, a są do tego zdolni.

Długo zastanawiałam się, co na siebie włożyć. Doszło do tego, że nawet poprosiłam Iv o radę. I chyba nie muszę dodawać, że się do niej nie zastosowałam:

– Ślicznie by ci było w różowym!

Prędzej bym chyba umarła, niż pozwoliła, żeby ktoś zmusił mnie do włożenia czegoś różowego. Już i tak przeżywam tortury, siedząc w tym jej cukierkowym samochodzie.

W końcu się zdecydowałam: czarna spódniczka, biała bluzka i czarne botki na obcasie. Trochę szkolnie, ale tworzyło świetny efekt. Wyglądałam szalowo! (No, co? Zbyttna skromność obniża nasze poczucie wartości, przynajmniej tak mówi mój tata). Do małej torebki wrzuciłam komórkę, pamiętnik na autografy, długopis, błyszczczyk, chusteczki i aparat fotograficzny. Ważyła tonę, nie żartuję.

Ale wreszcie, wreszcie siedziałam obok Iv w tym jej okropnym samochodzie i wreszcie ruszyliśmy!!!

– Ciekawe, czy przyjdzie Peter. Nie mówił ci? – spytała Ivette.

– Nie – odpowiedziałam i wpatrzyłam się w krajobraz za oknem.

– Wiesz, męczy mnie od rana, że miałam coś ważnego zrobić, ale nie mogę sobie przypomnieć, co – mówiła dalej.

– Ja też nie wiem – mruknęłam.

Ivette naprawdę wzorowo przestrzega przepisów drogowych. Ale chyba tylko ona to robi. Co chwilę mijały nas rozpędzone samochody. A my wlokłyśmy się w żółtym tempie. To było dobijające. Gdy dotarliśmy w końcu na miejsce, oczywiście nie miałyśmy gdzie zaparkować.

Kiedy wreszcie wysiadłyśmy z samochodu, okazało się, że mamy jakiś kilometr do sali koncertowej i musimy tam dojść na piechotę. Koszmar – zwłaszcza w tych moich bucikach.

W klubie było już strasznie tłoczno. Szybko zaczęłyśmy się przepychać w stronę sceny, chciałam być jak najbliżej. No i na kogo wtedy wpadłyśmy? I to dosłownie? Tak! Na Petera! Ja to mam szczęście. On oczywiście bardzo się ucieszył (choć stopa go chyba bolała, bo moje obcasy są dość ostro zakończone) i przepchnął się razem z nami na sam przód, do swoich znajomych. Tym sposobem stałyśmy przy samej scenie.

Koncert był wspaniały. Alex Band dał z siebie wszystko. Rany, jak ja kocham jego głos... Jest taki... taki, bez dwóch zdań, cudowny. Ach... A jak wyglądał! Oczu nie mogłam od niego oderwać...

Potem razem z innymi fanami stałam w dłuuuugiej kolejce po autograf i zdjęcie, ale je mam!!! Nawet uścisnęłam mu rękę!!! Uścisnęłam jego rękę!!! To najszczęśliwszy dzień w moim życiu! Serio!!! Nie umyję tej ręki!

Koncert trwał o wiele dłużej, niż to było zaplanowane, a poza tym jeszcze godzinę czekałam na ten autograf, więc dopiero dobrze po północy dotarliśmy do samochodu. Byłyśmy wyczerpane, ale szczęśliwe. No, przynajmniej ja.

– I jak ci się podobało? – spytałam Ivette, wsiadając do środka.

– Było super! – zawołała. – Miałaś rację, Alex Band naprawdę jest świetny.

– A nie mówiłam? – Uwielbiam to zdanie.

– No to jedziemy – powiedziała i włączyła silnik.

Powoli ruszyłyśmy. Nie rozumiem Ivette. Jeśli przed nami jest pusta szosa, to po co się tak wlec? Podejrzewam, że wszyscy policjanci siedzą teraz w domach albo nawet już śpią. Większość mieszkańców Wolftown już dawno nas minęła i z zawrotną prędkością mknęła ku naszemu miasteczku, a my? Ciągnęłyśmy się gdzieś z tyłu.

Oczywiście nie wszyscy wracali teraz do domów. Zanim wyszłyśmy, Peter spytał nas, czy nie chcemy razem z jego przyjaciółmi iść do pubu. Taak, już lecę... Grzecznie odmówiłyśmy i w tył zwrot. Też mi rozrywka, no nie? Poza tym podobno mam szlaban, więc dobrze by było wrócić do domu na czas. Już nawet dzwoniłam do rodziców, że koncert się przedłużył i trochę się spóźnię.

W każdym razie właśnie w najlepsze sobie jechałyśmy i rozmawiałyśmy o tym, jaki to ten koncert był wspaniały, gdy samochód Iv zaczęła wydawać dziwne dźwięki i nagle stanął na środku drogi. Zdumione zamilkłyśmy, jakby to miało sprawić, że znowu ruszy. No, ale cóż, nie pomogło. Kto by się spodziewał?

– Co się stało? – spytałam.

No nie, jak rany. Nie dość, że ten samochód jest różowy, to jeszcze kaprawy.

– Właśnie mi się przypomniało, co miałam zrobić z samego rana – westchnęła z rezygnacją Ivette.

– Co? – zapytałam, chociaż i tak znałam już odpowiedź, bo spojrzałam na wskaźnik poziomu benzyny.

– Miałam zatankować – powiedziała jeszcze ciszej. Ekstra! Jest druga w nocy, a my stoimy na środku szosy, bo Iv zapomniała zatankować! Ja naprawdę mam pecha do samochodów. Super. Jak teraz zadzwonię do taty, to już nigdy nie pozwolą mi nigdzie jechać, a zwłaszcza z Ivette. Po prostu świetnie.

– To... co zrobimy? – spytała niepewnie Iv.

– Masz zapasowy kanister w bagażniku?

– Nie.

I właśnie w takich momentach człowiek ma ochotę się rozplakać albo kogoś zabić. Taak... co do zabijania, to rodzice uśmiercą mnie. To jest więcej niż pewne.

– Może zatrzymamy jakiś samochód? – zaproponowała Ivette i wysiadła z

auta.

Poszłam za jej przykładem i rozejrzałam się. Otaczał nas las. Po obu stronach szosy był jakiś metr pobocza, a dalej zaczynała się ściana lasu. Już dawno wyminęły nas wszystkie samochody, a ci, co zostali, prawdopodobnie nadal siedzieli w pubach. Dookoła nie było żywej duszy, otaczały nas drzewa i było ciemno, bardzo ciemno, a Ivette chciała zatrzymać jakiś samochód...

– Przecież żaden samochód tędy nie jedzie!!! – wrzasnęłam.

– Eee, no tak – mruknęła. – Przepraszam.

A jeszcze godzinę temu było tak przyjemnie...

– To co zrobimy? – spytała znowu Iv.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam i usiadłam na masce.

– Może zadzwonimy po rodziców?

– Nie! – zaprotestowałam gwałtownie. – Jeśli to zrobimy, to już nigdy nie pozwolą nam nigdzie jechać.

– To jak się stąd wydostaniemy?

Prawdopodobnie musiałybyśmy w końcu do nich zadzwonić, ale akurat wtedy zza zakrętu wyjechał jakiś motocykl! Wstałam i spojrzałam w tamtą stronę. Światła szybko się do nas zbliżały.

Nie uwierzycie, kto jechał na tym motocyklu. Co? Czy to jest aż tak oczywiste? No dobrze, tak, to był Max. W końcu to mógł być przecież jakiś morderca, jak na horrorach. Wykończyłby nas, a ciała ukrył w lesie... Wiem, wiem, mam zbyt wybujałą wyobraźnię...

Max zatrzymał się obok nas, ściągnął kask i spojrzał pytająco.

– Cześć – powiedziałam. – Mógłbyś nam pomóc? Skończyła się nam benzyna.

Popatrzył na nas jak na wariatki. Zresztą nic dziwnego. Bo kto jeździ na pustym baku? Aha, no tak: Ivette.

– Zapomniałam zatankować – wyjaśniła z zażenowaniem Iv, podchodząc do nas.

– Aha – mruknął Max i zsiadł z motoru. – Mam zapasowy kanister.

No i tym sposobem znowu mogłyśmy jechać. Ciekawe, co by było, gdyby Max się nie pojawił? Bardzo szybko się tego dowiedziałyśmy. W momencie, gdy Max wlewał nam benzynę do baku, obok nas zatrzymał się džip. W środku, pomijając siedem innych upchniętych jak śledzie osób, siedział Peter.

– Co się stało? – zapytał i wysiadł, cały czas patrząc czujnie na Maksa.

Hm, czyżby się nie lubili?

– Skończyła się nam benzyna, ale już jest wszystko dobrze – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się.

– Aha – mruknął. – Bo wiesz, możemy cię podwieźć. Spojrzałam na wypchanego po brzegi czarnego džipa. Ciekawe, czemu powiedział „cię”? A co z Ivette?

– Nie, dzięki. Zaraz ruszamy. Max pożyczył nam benzynę – powiedziałam.

Gdy tylko skończyłam, Peter spojrzał wrogo na Maksa. Taak, oni z pewnością się nie lubią.

– W porządku – mruknął Max i wsadził pusty kanister do swojego bagażnika w motorze.

– Dzięki – powiedziałam.

– Zwrócimy ci tę benzynę – dodała Iv.

– Nie ma sprawy – mruknął i zapadła dość niezręczna cisza, którą przerywał jedynie szum wiatru i cichy, pijacki chichot, dochodzący z wnętrza dżipa.

– Musimy już jechać, bo rodzice mnie zabiją – stwierdziłam w końcu.

– Okay – powiedział Peter, ale nie wszedł do dżipa.

To ciekawe, ale Max też nie ruszył. Stał obok swojego motoru i wyglądał, jakby na coś czekał. Hm, Peter też tak wyglądał. I obaj jakoś tak patrzyli na siebie wilkiem.

W każdym razie mnie się spieszyło. Nie zamierzałam dociekać w tamtym momencie, o co tym dwóm chodzi. Powiedziałam im więc „cześć” i wsiałam do samochodu Iv.

Hm, dopiero gdy włączyliśmy silnik i ruszyliśmy, Max wszedł na motocykl, a Peter do dżipa. Ciekawe... Nigdy nie zrozumieję chłopców. To zupełnie inny gatunek, ich zwoje mózgowie muszą jakoś inaczej funkcjonować.

Na szczęście do domu wróciłam na czas. Chociaż mama i tak narzekała, no bo w końcu mam ten szlaban. A niech to!

Dzisiejszy wieczór był jednak wspaniały, oczywiście poza historią z samochodem Ivette. Kiedy się położyłam, nie mogłam zasnąć, cały czas miałam przed oczami scenę, na której grał mój ulubiony zespół, a w uszach wciąż brzmiało romantyczne zawrośnięcie wokalisty i słodki dźwięk gitary.

A później długo myślałam o sytuacji na drodze. To, że się chyba podobam Peterowi, wiedziałam, ale czyżby Max też się mną interesował? Kurczę, a którego z nich ja lubię bardziej?

Sama nie wiem... Max od początku mi się podobał, poza tym już go trochę znam po tej naszej „cementarnej” pracy domowej. A Peter? Jest fajny, ale czy ja wiem... A niech to, nie wiem.

Następne dwa tygodnie minęły mi nawet spokojnie – jeśli do spokojnych zdarzeń można zaliczyć to, że Peter coraz częściej zaczepiał mnie na korytarzu i zagadywał. Max, niestety, w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Nie to, co Peter...

– Cześć Margo, co słychać?

– Eee... nic ciekawego.

- Cześć Margo, byłaś dzisiaj świetna na treningu.
  - Dzięki, ty też.
  - Cześć Margo, podrzucić cię do domu?
  - Nie, dzięki, jadę z Ivette.
  - Cześć Margo, jaką masz teraz lekcję?
  - Angielski.
- Itepe, itede. Nie można się od niego odczepić...

Nie uwierzycie, co się stało pewnego dnia. Jak to usłyszałam, to po prostu... Nie, tego się nie da wyrazić słowami.

– Cześć – przywitał się jak zwykle, podchodząc do mnie po środowych zajęciach na basenie.

– Cześć – odpowiedziałam.

Dzisiaj na basen zawiózł mnie tata i obiecał, że po mnie przyjedzie. Jak zwykle się spóźniał, ale to u niego normalne, więc cierpliwie czekałam.

– Moi przyjaciele urządzają w sobotę imprezę nad jeziorem. Pomyślałem, że może poszłabyś ze mną, co?

No i w tym momencie mnie zatkało. Patrzyłam na niego, jakbym go zobaczyła pierwszy raz w życiu. Wiecie, w ogóle nie podejrzewałam go o coś takiego. Po prostu zagadywał do mnie na korytarzu, ale żeby zapraszać na randkę? I to tak szybko?

W końcu wydusiłam z siebie:

– Eee, czemu nie.

– To świetnie. Wpadnę po ciebie koło dziewiątej wieczorem, dobrze? Podrzucić cię teraz do domu?

Na szczęście samochód taty już podjeżdżał, więc powiedziałam szybko:

– Nie, mój tata już jedzie.

– Aha – mruknął zawiedziony. – To cześć.

– Cześć – odpowiedziałam, muszę to przyznać, z ulgą. Pozostało tylko pytanie: jak przekonać rodziców, żeby mnie puścili na tę imprezę? To może być bardzo trudne. Oj, bardzo...

W zasadzie to nawet nie wiedziałam, czy chcę tam iść. A jeśli nikt ze znajomych Petera mnie nie polubi? Co wtedy zrobić?

Gdy Ivette się o tym wszystkim dowiedziała, o mało nie padła ze szczęścia. Chociaż nie rozumiem, z czego ona się tak cieszy. To raczej ja się powinnam cieszyć, no nie? Trochę dziwnie się czuję. Zaprasza mnie na imprezę prawdziwy przystojniak, a ja nie skaczę z radości. Może dlatego, że nie wiem, o czym z nim gadać. Kiedy się spotykamy w szkole, to ja tylko potakuję, a jemu buzia się nie zamyka. On i jego ego (ciągle opowiada o sobie) są momentami przytłaczające. Naprawdę.

Z rodzicami sprawa poszła wyjątkowo gładko. Przełknęli wiadomość o

imprezie, tak jakbym im powiedziała, że wychodzę na pięć minut do sklepu na rogu. Coś im się stało! To nie mogą być moi rodzice! Moi nigdy się tak nie zachowywali...

Poza tym liczyłam trochę na to, że może się jednak nie zgodzą. Miałabym przynajmniej wymówkę. Boję się tej randki, bo nie wiem, czego się spodziewać po znajomych Petera.

Tak, wiem, jestem dziwaczką. Powinam się cieszyć, że ktoś się mną zainteresował, a ja marudzę. Ale czy to moja wina, że on mnie już tak bardzo nie interesuje?

No, może i moja...

## 5.

Niesamowite, jak szybko informacja o tym, że idę w sobotę na imprezę z Peterem, rozeszła się po całej szkole. Cheerleaderki są dla mnie przemiłe. Nie do wiary! Tych dwóch dni, bo dzisiaj czwartek, chyba nie zdołam normalnie przetrwać. Gdy tylko weszłam do szkoły, od razu zaczęły się ich wredne pytania i uszczypliwości:

– Zobacz, to ta głupia, z którą umówił się Peter. Myśli, że zrobił to, bo mu się spodobała. Naiwniaczka. – To oczywiście była ta dziewczyna, której pierwszego dnia mojego pobytu w szkole powiedziałam, co o niej myślę. Teraz się odwdzięcza... Chyba nie wyjdę jutro z domu. Dlaczego moje prywatne życie stało się nagle sprawą publiczną?! Ktoś coś musiał powiedzieć! Na pewno nie zrobiłam tego ja, zostają więc tylko dwie możliwości: Peter albo Ivette. Dobiorę się im do skóry!

Ivette przydybałam parę minut później w łazience, jak czesała się przy lustrze. Na początku byłam bardzo miła:

– Przyznaj się! Komu wypaplałaś, że idę na randkę z Peterem?!

– Ja? – szczerze się zdziwiła.

– Nie rób ze mnie idiotki! – warknęłam. – Usiłuję być miła! Komu powiedziałaś?!

– Jeżeli teraz jesteś miła, to wolę być daleko od ciebie, jak będziesz zła – stwierdziła. – Ja nikomu o tym nie powiedziałam.

– W takim razie, kto? – spytałam trochę spokojniej. No właśnie, kto? Iv raczej nie kłamie.

– A kto wiedział poza mną? – spytała, wracając do rozczesywania włosów.

– Peter i moi rodzice – odpowiedziałam. – Nikomu więcej poza tobą nie mówiłam.

– W takim razie musiał to być Peter – zauważyła. – Powiedział jakiemuś swojemu kumplowi i plotka się rozeszła.

Oparłam się ciężko o umywalkę i wpatrzyłam w swoje odbicie. Z wiekiem moje życie coraz bardziej się komplikuje. Aż tęsknię do tych beztrudnych lat, kiedy moim jedynym problemem było, w co ubrać lalkę Barbie. Żadnych poważnych decyzji, żadnych zmartwień. A teraz? Moje życie to jedno wielkie pasmo nieszczęść...

– Nie martw się – powiedziała Ivette, odwracając się do mnie. – Powiedz szczerze, co się stało?

– Cheerleaderki nie dają mi spokoju. Cały czas się ze mnie śmieją, że Peter robi to tylko dla żartu – powiedziałam, opierając czoło o chłodną tafelę szkła.

– I ty się tym przejmujesz? Nie poznaję cię. Kiedyś byś im tylko nawtykała, że są głupie, a teraz się przejmujesz? – dziwiła się. – Musisz być silna! Gdzie się podziała ta Margo, która przed chwilą o mało co nie wydrapała mi oczu za rzekomą zbrodnię? Walcz!

Muszę przyznać, że podniosła mnie nieco na duchu. Ale i tak byłam markotna. W zasadzie wolałabym, żeby moje życie wyglądało trochę inaczej.

Następną lekcją miała być historia sztuki. Cała godzina obok Maksa. Bo już nie wspomnę o tym, że na te same zajęcia chodzi też ta wredna zołza, która cały czas się mnie czepia. Boże, przecież ja nawet nie wiem, jak ona się nazywa, a ta nie chce mi dać spokoju.

W zasadzie to nie rozumiem, czego ode mnie chce. W końcu mam prawo iść z Peterem na randkę! A ona na pewno mnie przed tym nie powstrzyma!

Wredna, głupia jędza...

Trochę się opanowałam i ruszyłam korytarzem na lekcję. „Nic mnie nie powstrzyma”, powtarzałam sobie cały czas w myślach.

Na historii sztuki siedzę w ostatniej ławce, musiałam więc przejść przez całą klasę. Koszmarne przeżycie. Zwłaszcza że tamta... siedzi mi na drodze. Dobrze, że za rok skończy tę szkołę. Będę miała święty spokój.

Gdy przechodziłam obok niej, rzuciła mi wszechwiedzące spojrzenie. Miałam ochotę przywalić jej łokciem w ucho, udając, że zrobiłam to przypadkiem.

– Cześć – rzuciłam, siadając obok Maksa.

W odpowiedzi mruknął coś niezrozumiałego, nawet na mnie nie patrząc. Bazgrał coś w zeszycie. Nawet on mnie nie zauważa!!! Życie jest okropne...

Powoli zaczęłam wypakowywać wszystko, czego używam na historii sztuki, czyli zeszyt, długopis, ołówek, blok do rysowania i kredki. Wiem, że to trochę dziecinne, ale ja naprawdę lubię rysować. Zwłaszcza portrety. A ta lekcja doskonale się do tego nadaje.

– Co, znowu będziesz bazgrolić? – usłyszałam nad głową kpiący głos.

Oczywiście, to była ona. W jakiś niezwykły sposób podeszła do mnie niesamowicie cicho, a przecież nosi szpilki, które obrzydliwie zgrzytają na szkolnej podłodze.

– Wiesz, co przed chwilą powiedział mi Peter? Że umówił się z tobą dla zakładu – rzuciła.

– Jesteś pewna? Bo wydawało mi się, że przez całą lekcję siedziałaś w klasie, mizdrząc się przed lustrem, a ja dopiero co widziałam go przed salą gimnastyczną na parterze – wycedziłam. – Masz wielką wyobraźnię. Powinnaś pisać książki.

– Och... – Spojrzała na mnie wściekła, że odkryłam jej kłamstwo.

Mogłam przez dłuższą chwilę wpatrywać się w nią, zanim wymyśliła

jakaś ripostę. Co za pustelnia...

– On i tak się w tobie nie zakochał, czy co ty tam sobie ubzdurałaś – dodała i odeszła, potykając się o nogi Maksa. – Uważaj! – powiedziała do niego z wściekłością.

– Bo co? – warknął, patrząc na nią jak na jakiegoś robaka. Dziewczyna nie chciała się z nim kłócić, po prostu odeszła, zgrzytając tymi swoimi butami. Zresztą o ile mi wiadomo, nikt nie zaczyna z żadnym metalowcem. Wszyscy trzymają się od nich z daleka, jak od zarazy. To pewnie przez ten ich wygląd...

A jeśli chodzi o Maksa, to sama też nieraz o mało nie wybiłam sobie zębów przez te jego kopyta wyciągnięte na całą długość. Jednak zauważyłam, że tym razem wystawił je dopiero wtedy, gdy ta jędza odchodziła.

Teraz z powrotem wsunął je pod ławkę.

Patrzyłam na jej plecy, z całego serca żałując, że nie mogę wzrokiem wypalić jej w nich dziury. Miałam ochotę albo zacząć głośno wrzeszczeć, albo się rozplakać. Chociaż, szczerze mówiąc, byłam bliższa tego drugiego.

– Uspokój się. Jeśli wybuchniesz, to ja pierwszy oberwę. A chciałbym dożyć momentu, kiedy dostanę się na jakieś studia – usłyszałam obok siebie cichy i spokojny głos.

Zerknęłam na Maksa, który patrzył na mnie uważnie tymi swoimi zabójczo zielonymi oczami. Gdyby tak patrzył na mnie cały czas...

Jego uwaga pewnie miała mnie rozbawić. No cóż, rzeczywiście trochę podniosła mnie na duchu.

– Zamiast się złościć, czemu po prostu się na niej nie zemścisz? – spytał.

– Nie wiem jak – odpowiedziałam niechętnie.

– Znajdź jakiś jej słaby punkt i uderz w niego.

– Poza brakiem mózgu nie widzę żadnych słabych punktów. Oczywiście można by ją zepchnąć ze schodów. W tych szpilkach w życiu by nie złapała równowagi...

Mruknął coś pod nosem i spojrzał na mnie znudzonym wzrokiem. Widocznie nie o to mu chodziło.

– Pomyśl, co jest dla niej najważniejsze.

Zastanawiałam się przez chwilę, nawet nie rejestrując wejścia do sali profesora Hawka. Ona przecież musi coś takiego mieć. Tylko co?

– Sława, tak? – spytałam. – Jakby tak jej połamać nogi, to nie mogłaby być cheerleaderką!

– Nie o to mi chodzi. Spójrz na nią. Co teraz robi? Spojrzałam na jej wredną, pustą głowę.

– Czesze się – odpowiedziałam.

– No właśnie. Rozumiesz już, co mam na myśli?

Albo jestem jakaś ciemna, albo on mówi zagadkami, bo naprawdę nie potrafiłam zrozumieć.

– Nie – odpowiedziałam szczerze.

– Jezu – mruknął pod nosem. – Gumę do żucia bardzo trudno usunąć z włosów, prawda? A jak się ją jeszcze klei blisko skóry, to jedynym wyjściem jest je obciąć.

– Rzeczywiście – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się, patrząc na te jej idealnie proste, sięgające pasa włosy.

Sama też miałam kiedyś taki problem, jak w podstawówce mój złośliwy kolega kleił mi gumę. Tylko że on to zrobił na końcówkach, więc po prostu wsadziłam włosy do zamrażarki, poczekałam, siedząc obok lodówki, godzinę, a następnie stłukłam gumę młotkiem.

Tylko skąd Max wie o czymś takim?

– Świetny pomysł. Dzięki – powiedziałam.

Ale on tylko wzruszył, swoim zwyczajem, ramionami i powrócił do pisania w zeszytcie.

Mniejsza z nim. Zaczęłam grzebać w plecaku w poszukiwaniu paczki gumy do żucia. Powinnam ją gdzieś tu mieć. Ale to rzeczywiście jest świetna zemsta. Wszystkie cheerleaderki mają długie włosy. To taka ich umowa. Więc jeżeli ta zołza będzie miała krótkie, to może ją wywalą z zespołu!

Kiedy wreszcie znalazłam paczkę mojej miętowej zemsty, aż zaczęłam nucić pod nosem. Zerknęłam na Maksa. Słyszając mój głos, uśmiechnął się pod nosem, ale na mnie nie spojrzał.

Szkoda...

Tak, wiem. Sama nie wiem, czego chcę.

Gdy zabrzmiał dzwonek na przerwę, szybko się zerwałam, żeby tylko mi nie uciekła. Max czujnie śledził każdy mój ruch, czułam jego spojrzenie na swoich plecach, kiedy szłam pomiędzy rzędami, zmierzając w stronę swojej ofiary.

Jeszcze siedziała. To było naprawdę przyjemne uczucie. Przechodząc, rąbnęłam ją w potylicę i przykleiłam gumę do żucia. A następnie, przyznając się, przysnęłam. Jak już byłam na korytarzu, to dobiegły mnie jej histeryczne krzyki. Nie mogłam się powstrzymać. Zatrzymałam się, żeby trochę tego posłuchać.

Ach, zemsta jest słodka!

– Z miejsca zbrodni się ucieka – mruknął Max, przechodząc obok i mrugnął do mnie.

Mrugnął do mnie!!! Max Stone puścił do mnie oko!!! Jestem w niebie...

Zgodnie z jego poleceniem ruszyłam jak gdyby nigdy nic przed siebie. Tak, dzisiejszy dzień nie był jednak taki zły!

Dacie wiarę?! Ta jędza zwolniła się z lekcji po moim ataku!!! Przed chwilą dowiedziałam się tego od Ivette. Wieści szybko się rozchodzą. Już cała szkoła wie, że tamta cheerleaderka ma gumę we włosach. Nie wiedzą tylko, kto

to zrobił, bo histeryzująca żółta nic nie powiedziała, tylko rozryczała się i wybiegła ze szkoły. Ale... co będzie, jeśli ona powie dyrektorowi, że to ja? Zawieszają mnie w prawach ucznia? Rodzice by się wściekli. Zaczynam mieć poważne wątpliwości. Takie przez duże W.

– Uwierzysz, ktoś jej nienawidzi prawie tak mocno jak ty!

– paplała Ivette, kiedy razem wychodziłyśmy ze szkoły.

– Iv, obiecujesz, że nikomu nie powiesz? – spytałam, gdy zatrzymałyśmy się już obok stojaków na rowery.

– Czego mam nikomu nie mówić?

– To ja jej wkleiłam tę gumę po tym, jak mnie obraziła na historii sztuki.

Zatkało ją. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Zwariowałaś?! – wykrzyknęła wstrząśnięta. Też zaczynam siebie o to podejrzewać...

– Musiałam się jakoś na niej zemścić. Nawet nie wiesz, co ona mi mówiła

– zaczęłam się bronić.

Ivette chwilę się zastanawiała, a następnie śmiertelnie poważnie powiedziała:

– Mama na mnie czeka, bo mamy razem iść na zakupy, więc nie mogę teraz z tobą rozmawiać, ale wpadnę do ciebie wieczorem, żeby o tym pogadać. Dobrze?

– Jasne – odparłam lekko.

Zmyje mi głowę. Czuję, że to będzie jak plagi egipskie. A może nawet jeszcze gorsze...

No i miałam rację. Gdy tylko parę godzin później Ivette przyszła, od razu zaciągnęła mnie do mojego pokoju, posadziła na łóżku i kazała mi ze szczegółami opowiedzieć wszystko po kolei.

No to powiedziałam jej, co się stało, najdokładniej jak potrafiłam. Ominięłam tylko fragment z nogami Maksa.

– No, a potem Max podsunął mi ten pomysł z gumą do żucia – zakończyłam, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

Ups, wiedziałam już, co mi teraz powie. Według niej to pewnie wszystko wina Maksa.

– No tak! – wykrzyknęła. – To wszystko jego wina! A nie mówiłam?

– Czemu go posłuchałaś?! Przecież to metal, Margo! Nikt nie wie, co oni robią ani kim są! Może co tydzień obrabiają gdzieś jakieś banki! A ty słuchasz takiego kryminalisty? Przez niego będziesz miała kłopoty!

– Dlaczego czepiasz się Maksa? – spytałam rozzłoszczona. – On nic nie zrobił. To ja jej wkleiłam tę gumę, a nie on.

– I właśnie o to chodzi! Cała wina spadnie na ciebie! – powiedziała dobitnie. – Zwłaszcza że tamta jęzda cię nie cierpi! Metale są nietykalni, bo

wszyscy się ich boją!

Moje życie jest pasjonujące, prawda? Czy ja mam wrodzoną zdolność pakowania się w kłopoty...?

– A co będzie, jeśli cię zawieszą? – Iv wydawała się tym wstrząśnięta.

– To jest możliwe, ale... – przerwałam jej.

– Do reszty zgłupiałaś – stwierdziła. – I jeszcze bronisz tego chłopaka. A może to narkoman! Nie pomyślałaś o tym? Oni wszyscy wyglądają, jakby cały czas coś brali. Są bladzi, wiecznie niewyspani i wściekli. Gdzie ty masz oczy?! A jeśli mi powiesz, że ten Max ci się podoba, to chyba zacznę krzyczeć.

– W takim razie tego ci nie powiem – odparłam.

W odpowiedzi Iv zawyła i rzuciła się na łóżko obok mnie, a potem zaczęła wpatrywać się w sufit.

Nawet jak mnie zawieszą, to co? Nie umrę od tego, natomiast będę miała parę dni wakacji. Co prawda, może to trochę zmniejszyć moje szanse na dostanie się na jakieś fajne studia... ale kto by się tym teraz przejmował? Najwyżej za dwa lata będę siebie przeklinać.

Dobrze, że jej tego nie powiedziałam. Uznałaby mnie za kompletnie rąbniętą...

– Nie potrafię cię zrozumieć – powiedziała zrezygnowana.

– Może cię pocieszy, że ja samą siebie też nie do końca rozumiem – odpowiedziałam, także wpatrując się w sufit.

– Umówiłaś się na randkę z chłopakiem, który jest uważany za najprzystojniejszego w szkole, a tobie wciąż coś nie pasuje – ciągnęła dalej, nie zwracając uwagi na to, co powiedziałam.

– Ja na twoim miejscu skakałabym ze szczęścia.

Kiedy Iv to powiedziała, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego ja właściwie nie skaczę ze szczęścia. Bo powinnam się cieszyć, prawda? Peter jest przystojny, popularny, ma własny samochód... Tylko, czy właśnie o to mi chodzi?

– Czego ty w zasadzie chcesz? – spytała Ivette i odwróciła do mnie głowę.

Miałam już odpowiedzieć, że szczęścia, ale się powstrzymałam.

– Nie wiem – powiedziałam tylko.

– Przyznaj szczerze, zakochałaś się? – drążyła dalej.

– No coś ty! – obruszyłam się. – Po prostu lubię Maksa i nie rozumiem, czemu się go czepiasz.

– Zakochałaś się w nim od pierwszego wejrzenia. O rety!

– dodała i usiadła. – Zupełnie jak w książkach!

– Ja się w nim nie zakochałam – powiedziałam powoli i podparłam się na łokciu.

– Przecież to od razu widać. Na przerwach ciągle się na niego gapisz.

– Nie zakochałam się w nim – powtórzyłam z naciskiem.  
– A ja, czytając romanse, zaczęłam już wątpić, czy coś takiego jest możliwe. Jakie to uczucie?  
– Nie zakochałam się w nim – powtórzyłam jeszcze raz wolno i wyraźnie.  
– Kiedy to nic strasznego – pocieszyła mnie Iv.  
Ja z nią kiedyś nie wytrzymam i wybuchnę. Ja naprawdę nie zakochałam się w Maksie. Ja go po prostu... lubię.  
Ale to nie dociera do Ivette. Uparła się, że tak jest szalenie romantycznie.  
– Tylko cały czas nie mogę uwierzyć, że to właśnie Max ci się podoba – powtórzyła, wychodząc.  
Nawet nic nie zdążyłam jej odpowiedzieć, bo już wybiegła. Widocznie nie chciała znowu usłyszeć tego, że nie zakochałam się w Maksie.  
No, bo się w nim nie zakochałam!  
We względnie dobrym humorze poszłam w końcu spać.

A co zobaczyłam następnego dnia? Po prostu mnie zatkało. Tamta zołza, jak gdyby nigdy nic, przyszła dzisiaj do szkoły! I wcale nie ścięła włosów! Jak ona to zrobiła?!

Przecież to jest niemożliwe!!! To jest fizycznie niemożliwe!!!

Nie mogłam w to uwierzyć, więc przed basenem cichaczem podeszłam w szatni bliżej do grupy, w której stała, żeby przyjrzeć się jej dokładniej.

To po prostu niesamowite. Ma wszystkie włosy i to swoje własne! Nie wiem, jak ona to zrobiła. Musiała chyba przez całą noc trzymać głowę w zamrażalniku, bo nie widzę innego wyjaśnienia.

Te włosy są dla niej naprawdę bardzo ważne...

– Czego się gapisz?! – warknęła i pociągnęła nosem. Najwyraźniej ma katar. Ona... naprawdę musiała trzymać głowę w zamrażalniku! O matko... to się dopiero nazywa silna wola!

– Jeszcze mnie popamiętasz! – warknęła do mnie i włożyła czepek.

Szybko odwróciłam się na pięcie i zwiałam. Bałam się, że tak rozwścieczona dziewczyna jak ona może się posunąć nawet do morderstwa.

– Margo, nie grzeb się, bo Pijawka się wkurzy – powiedziała Iv i pociągnęła mnie w stronę wyjścia.

Taak... Pijawka naprawdę się potem wkurzy. Ale wcale nie dlatego, że się trochę spóźniłyśmy... A teraz siedzę w gabinecie dyrektora w samym kostiumie kąpielowym.

I wypraszam sobie wszelkie podejrzenia, że to była moja wina!

Bo nie była.

Prawie nie była.

Dobra. Troszkę to może była moja wina. Ale nie całkiem!

To przez Maksa.

I tę cheerleaderkę.

Po prostu chciałam się lepiej przyjrzeć Maksowi. Nie, nie, dlatego, że był w samych kąpielówkach. Choć przyznaję, zagapiłam się. Ale to się chyba każdemu może zdarzyć, no nie? Po prostu szłam sobie i to jakoś tak samo wyszło. Nie potrafię powiedzieć, jak ja to zrobiłam. Poza tym noszenie dwuczęściowych kostiumów powinno być zabronione.

Taaak... może jednak opowiem wszystko od początku...

Wpadłam razem z Ivette do hali. Tak jakoś wyszło, że przed nami stała już grupa osób z rocznika Maksa. Ale naprawdę nie wiem, jak ja to zrobiłam. Po prostu... zagapiłam się na Maksa.

Stał przede mną przy samym brzegu basenu, obok tej żoły, która mnie cały czas dręczy. No... i chciałam mu się lepiej przyjrzeć, ale widok zasłaniały mi dziewczyny, które właśnie wyszły przede mną z szatni. Swoją drogą, to albo ja jestem taka niska, albo one są strasznie wysokie...

Stałam na palcach i zapaściłam żurawia ponad nimi. No i w tym momencie odjechała mi noga.

Na tych tabliczkach, które są porozwieszane dookoła basenu, jest napisane, że nie wolno biegać. Ale o staniu na palcach nie ma nawet słówka. I kto by podejrzewał, że te antypoślizgowe kafelki są tak naprawdę śliskie i że trudno utrzymać na nich równowagę?

Po prostu odjechała mi noga i poleciałam na dziewczynę przede mną. Ta z kolei przewróciła się na tę przed nią i... dalej poszło jak w dominie. Wszyscy padli na ziemię. Najgorsze jest to, że ja sama złapałam równowagę. A ci przede mną leżeli na podłodze.

Ale to nie wszystko. Na samym końcu tej kolejki ludzi, których przewróciłam, stała moja cheerleaderka. A że była przy samym brzegu basenu, z piskiem poleciała prosto do wody.

To jednak jeszcze nie koniec. Było znacznie gorzej.

Nie wiem, może Max jest w głębi duszy samarytaninem, ponieważ usiłował ją złapać. To był chyba jakiś odruch bezwarunkowy, bo o ile mi wiadomo, to on jej nie lubi. W każdym razie złapał ją...

...za ramięczko góry od dwuczęściowego kostiumu.

I właśnie dlatego ona, wrzeszcząc okropnie, wpadła do tej wody, a jej stanik... został w jego ręku...

W tym momencie Ivette dostała ataku śmiechu. Zresztą jak wszyscy inni, którzy nie leżeli przede mną. Bo to chyba rzeczywiście wyglądało zabawnie. Ja stoję, przede mną na podłodze leży prawie pół klasy, a jakieś dziesięć metrów ode mnie stoi Max wpatrzony w stanik, który trzyma w ręku.

Cheerleaderka zaczęła wrzeszczeć, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry w tym basenie. Nie dziwię się jej. Gdybym to ja znalazła się w takiej sytuacji, chyba do końca życia nie pokazałabym się ludziom na oczy. Zwłaszcza że właśnie

wszyscy chłopcy szybko podbiegli do brzegu basenu, żeby ją dobrze zobaczyć. Ale ona już zdążyła się zasłonić.

Matko, teraz to ona chyba naprawdę mnie zabije.

– To wszystko przez nich!!! – zaczęła histerycznie wrzeszczeć. – Margo Cook (ooo, to ona wie, jak ja się nazywam? niedobrze...) i ten metal to ukartowali!!! Oni to zrobili specjalnie!!!

Pijawka, rzecz jasna, uwierzyła jej.

Dlatego teraz siedziałam obok Makska przed biurkiem dyrektora i słuchałam długiej mowy o tym, że musi nas, niestety, zawiesić w prawach ucznia.

Kiedy dyrektor na chwilę przerwał, żeby zaczerpnąć tchu, Max szybko się wtrącił:

– Panie dyrektorze. Jak na razie wysłuchał pan tylko oskarżeń jednej rozhisteryzowanej dziewczyny, Debbie, czy jak tam ona się nazywa...

– Debbie Ellroy – wtrącił się dyrektor.

– No właśnie, a co z naszym konstytucyjnym prawem do obrony? Wolność słowa i wypowiedzi jest zapisana w naszych prawach – zakończył swoje przemówienie Max.

W tym momencie dyra zatkało. Najwyraźniej nie podejrzewał, że chłopak w kąpielówkach, a na dodatek metal (a wszyscy wiedzą, że to przecież narkomani i sataniści), potrafi sklecić poprawne zdanie na jakikolwiek temat.

– Więc mówcie – rzucił, patrząc na nas uważnie.

Max spojrzał na mnie, jakby chciał przez to powiedzieć: „Ty nas w to wpakowałaś, ty się tłumacz”. Dobrze, już dobrze...

– Panie dyrektorze – zaczęłam. – Po pierwsze my niczego nie zrobiliśmy specjalnie. To był czysty przypadek. Przy wyjściu z szatni był tłok. Przyznaję, powinnam była poczekać. No, ale się pospieszyłam i poślizgnęłam się. Popchnęłam dziewczynę, która stała przede mną, a ona z kolei popchnęła osobę, która stała przed nią, a tamta osoba...

– Powiedzmy, że tę część rozumiem – przerwał mi dyrektor.

– Taak... – mruknęłam i znowu zaczęłam mówić. – Po prostu wszyscy zaczęli się przewracać, a na samym końcu stała tamta dziewczyna i wpadła do basenu. Max ją tylko usiłował złapać. A to, że miała nieprzepisowy dwuczęściowy kostium kąpielowy (dłużyło mi się oczekiwanie, aż nas przyjmie, więc czytałam wszystko, co było wywieszane na tablicach w sekretariacie, łącznie z regulaminem szkolnym), to już nie jest nasza wina. Bądźmy szczerzy, ten kawałek szmatki z troczkami ledwo się na niej trzymał.

To ostatnie zdanie powiedziałam z niemałą satysfakcją. Przyznaję.

– Rozumiem. Powiedzmy, że uwierzyłem w to, że poślizgnęłaś się na antypoślizgowych kafelkach – powiedział wyraźnie znudzony dyrektor. – Tym razem was nie zawieszę, ale macie przeprosić waszą koleżankę i obiecać, że

nigdy więcej takie zdarzenie nie będzie miało miejsca. Jasne?

– Jasne – odpowiedzieliśmy razem.

I to wszystko. Dyrektor najwyraźniej gdzieś się spieszył, bo było aż podejrzane, że nas nie zawiesił.

I tyle krzyku o zwykły stanik. Kto by pomyślał...

Gdy już szliśmy z Maksymem korytarzem w stronę szatni, żeby się przebrać (w końcu ja byłam w kostiumie kąpielowym, a on w samych spodenkach), Max spytał:

– Naprawdę przypadkiem się potknęłaś? – I uśmiechnął się pod nosem.

– Naprawdę! – powiedziałam oburzona, a następnie rzuciłam złośliwie: –

A ty ją przypadkiem złapałeś za stanik?

– Ty byłeś za daleko – mruknął i puścił do mnie oko, a następnie zniknął za drzwiami do męskiej szatni.

Zaraz dostanę ataku serca. Czy on to powiedział?! Czy on to naprawdę powiedział??? MAX MNIE ZAUWAŻA??? Bóg istnieje!

...i właśnie tak mniej więcej minęły dni dzielące mnie od imprezy nad jeziorem, na którą zaprosił mnie Peter. Dlaczego to nie był Max? Życie potrafi być wredne...

Ależ ten czas szybko leci, no nie? W jednej chwili człowiek się zastanawia, jak się wytłumaczyć przed dyrektorem, jakim cudem jednej z dziewczyn spadł stanik, a chwilę później kombinuje, w co się ubrać na randkę.

Właśnie! W co ja mam się ubrać?! Nie zdążę!!! Zostało mi już strasznie mało czasu!!!

## 6.

Na szczęście zdążyłam się zdecydować i nawet wyprasowałam bluzkę! Jak na mnie to już naprawdę coś. Z natury jestem raczej taka powolna: zanim coś wreszcie wybiorę, a wcześniej kilka razy zmienię zdanie, mija naprawdę dużo czasu. Chociaż w zasadzie tu chyba nawet nie chodzi o powolność, tylko o niezdecydowanie. Ale cóż... każdy ma jakieś wady.

Punktualnie, co do minuty, pod mój dom zajechał Peter. Nie uwierzycie, jakim przyjechał samochodem – ja też na początku nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Aż braknie słów...

Nie dość, że srebrny metalik, błyszczący jak gwiazda w świetle lamp ulicznych, to na dodatek był to porsche, kabriolet ze złożonym dachem. Wspaniały! Niesamowity! Po prostu cudo!

Peter wyjaśnił mi potem, że chciał pożyczyć od ojca czarne BMW, ale jego tata się nie zgodził. Kim z zawodu jest jego ojciec? Szefem mafii???

Na litość boską, to ja mam stary, poobijany rower, a on jeździ sobie srebrnym porsche, w dodatku kabrioletem?! Gdzie tu jest sprawiedliwość na tym świecie? No, gdzie?! Bo ja jej absolutnie nie widzę!!!

Jakoś się wkrótce z tego otrząsnęłam, chociaż to, co zobaczyłam, zrobiło na mnie naprawdę duże wrażenie. Nie muszę chyba wspominać, że rodzice byli jeszcze bardziej zaskoczeni niż ja. Nawet powiedzieli, że mogą wrócić, kiedy chcę. O, matko, to jeden drogi samochód potrafi zdziałać coś takiego... Muszę o tym pamiętać na przyszłość.

Pogoda na przyjęcie była wspaniała. Wieczornego nieba nie zasłaniała nawet najmniejsza chmurka. Nie było też zimno, mimo że panowała wczesna wiosna. Hm, pewnie gdybym to ja organizowała takie przyjęcie, od rana by padało...

Gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że impreza nad jeziorem trwała już w najlepsze. Na wąskim pasku plaży przed jeziorem rozpalone były dwa duże ogniska (jasne, kto by się przejmował, że od nich może się zająć cały las). Jednak był to bardzo ładny widok, wręcz romantyczny. Aż przykleiłam nos do szyby, chłonąc wszystkimi zmysłami tę niesamowitą atmosferę. W Nowym Jorku nie było takich przyjęć.

Ci, którzy przyjechali przed nami, już tańczyli przy głośnej muzyce. Zauważyłam z niesmakiem, że słuchali popu, ale w końcu czego innego można się po nich spodziewać?

Max raczej by tu nie pasował...

– Chodź – powiedział Peter, parkując obok kilkunastu innych samochodów. Wszystkie wyglądały na bardzo drogie. Kurczę, jakimś cudem wkręciłam się w niezłe towarzystwo!

Gdy tylko wysiedliśmy, od razu podbiegła do nas grupka rozchichotanych dziewczyn i, niestety, lekko podpitych chłopców. Zaciągnęli nas do ogniska, przy którym bawili się już pozostali.

Całe życie myślałam, że te przyjęcia organizowane przez szkolne gwiazdy, na które tacy zwykli śmiertelnicy jak ja nigdy nie mają wstępu, są świetne. No i co? Wcale nie są świetne. To prawda, oni chyba dobrze się bawili, ale ja raczej nie przepadam za tańczeniem w rytm piosenek Britney Spears i piciem zimnego piwa, które przywiózł w swej przenośnej lodówce David (to ten chłopak, który kiedyś prawie mnie przejechał na parkingu za szkołą).

Gdy spytałam, czy mają do picia coś bez procentów, wyśmiali mnie i wcisnęli do ręki puszkę piwa. Ekstra... Puskę demonstracyjnie wręczyłam jakiemuś chłopakowi i odeszłam, no bo co miałam zrobić?

Właśnie świetnie się bawiłam, siedząc na masce czyjegoś samochodu i patrząc, jak banda podpitych idiotów zakłada się, który z nich przeskoczy przez płomień ogniska i się nie przypali, gdy podszedł do mnie Peter.

No, wreszcie się znalazł. Już zaczynałam się zastanawiać, gdzie zniknął. Podejrzewałam, że może razem z innymi pływał po ciemku w jeziorze (chyba nago, dlatego w ogóle się nie zbliżałam do wody), ale nie, nie zrobił tego – był suchy.

– Chodź ze mną – powiedział i wyciągnął rękę.

– Gdzie? – spytałam podejrzliwie. Był już nieźle wstawiony, chociaż przyjechaliśmy tu może ze dwie godziny temu. To się nazywa tempo.

– Gdzieś z dala od tego hałasu – odpowiedział. – Chciałbym z tobą pogadać.

– Dobrze, chodźmy – mruknęłam.

Miałam ochotę zapytać go, jak odwiezie mnie do domu, skoro po pierwsze sam pił, po drugie wszyscy poza mną pili i po trzecie ja nie posiadam prawa jazdy, więc pewnie od razu wpakowałabym się tym jego pięknym samochodem na drzewo. Poza tym byłam ciekawa, czy któryś z tych bałwanów, których wcześniej obserwowałam, w końcu się poparzy. To mogłoby być naprawdę zabawny widok. Ale jednak ruszyłam za nim.

Peter wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą w stronę zarośli, z dala od jeziora. I ja głupia teraz pytam: po kiego grzyba z nim polazłam? No po co? Czyżbym w ogóle nie oglądała telewizji? W każdym filmie o nastolatkach jest taka scena i wiadomo, czym się ona skończy. Więc czemu tego nie skojarzyłam?!

Zanim się spostrzegłam, odeszliśmy dość daleko od reszty imprezowiczów. Otaczał nas jedynie las i prawie głucha cisza – w oddali jeszcze słychać było dźwięki muzyki i czyjś śmiech.

Peter nagle zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. Wziął mnie za rękę i

patrzac mi prosto w oczy (no, nie całkiem, miał chyba problemy ze skupieniem wzroku w jednym, nieruchomym punkcie – ciekawe, czy poza piwem nie brał czegoś jeszcze), powiedział:

– Margo, bardzo... eee... mi się podobasz.

Następnie złapał mnie jedną ręką za pośladek, a drugą za ramię, przyciągnął do siebie i pocałował prosto w usta!

To było obrzydliwe!!! Nie dość, że śmierdziało od niego piwem, to jeszcze było... brutalne.

Nie tak wyobrażałam sobie mój pierwszy pocałunek. Bo to był mój pierwszy pocałunek! A ten głąb wszystko popsuł!!!

Wściekłam się. Szybko mu się wyrwałam i... zrobiłam to.

Gdyby na moim miejscu była któraś z cheerleaderek, pewnie tylko by się roześmiała i odeszła. Ivette prawdopodobnie zaczerwieniłaby się i uderzyła go otwartą dłonią w twarz. A ja...

No cóż, zamachnęłam się i z całej siły przywaliłam mu w szczękę prawym sierpowym. Na swoją obronę powiem tylko tyle, że zrobiłam to, zanim w ogóle zdążyłam pomyśleć. Na dodatek zapomniałam, że miałam na palcu mój szczęśliwy pierścionek. Ups, chyba nie wybiłam mu nim zęba? Chociaż, jakby się tak dłużej zastanowić, to ciekawie by wtedy wyglądał...

Jeszcze nigdy nikogo świadomie i z premedytacją nie uderzyłam. No, chyba że za akt przemocy uznamy to, iż wcześniej przypadkiem przywaliłam mu w nos drzwiami do damskiej szatni. Ale to był naprawdę mój pierwszy raz.

Hm, ciekawe doświadczenie...

Peter aż zatoczył się do tyłu, ale musiał być porządnie znieczulony piwem, bo jeszcze nie dotarło do niego, że go boli. A musiało boleć okropnie. Już pewnie zaczynała się pojawiać wybroczyna. Za parę godzin będzie miał ogromnego siniaka na pół twarzy. A to pech...

– Ożeż ty! – wrzasnął i ruszył chwiejnie w moją stronę.

Co miałam robić? W tym momencie cała moja odwaga zupełnie wywietrzała. Odwróciłam się i wzięłam nogi za pas. Po prostu wbiegłam między drzewa. Jeszcze przez parę chwil słyszałam za sobą jego kroki i pokrzykiwania, ale wszystko po pewnym czasie ucichło. Mimo to nie zatrzymałam się, choć nie było to zbyt inteligentne z mojej strony.

Mało kto potrafi się zgubić w centrum handlowym, tyle w nim drogowskazów. No cóż, mnie się to udało całkiem niedawno. Więc nic dziwnego, że teraz już po paru minutach biegu i ja, i moja orientacja w terenie kompletnie się zagubiłyśmy.

Do licha! Jedenasta w nocy, a ja błąkam się po ciemnym lesie – zupełnie sama! Przystanęłam i rozejrzałam się dookoła. Już dawno zostawiłam za sobą światła ognisk i odgłosy muzyki. Otaczała mnie jedynie ciemność i drzewa.

Dosłownie. Bo jedynym dźwiękiem, który przerywał tę absolutną ciszę, było głośne bicie mojego serca i urywany oddech (nigdy nie byłam dobrą biegaczką).

Zupełnie jak w tanim horrorze. Okropność.

Nagle poczułam ból w ręku. Suuuper! Pewnie połamałam sobie wszystkie palce na tępej gębie Petera. Szybko zdjęłam pierścioneł, na wypadek gdyby dłoń mi zaczęła puchnąć. Jeśli przez niego będę się musiała męczyć w gipsie, to przysięgam – zemszczę się, a zemsta będzie dla niego bolesna!

To straszne! Jestem sama w lesie, boli mnie ręką, a ten głupi Peter spartaczył najważniejszą rzecz w moim życiu – pierwszy pocałunek! Nic dziwnego, że zachciało mi się płakać. Jakiej dziewczynie w tym momencie nie stanęłyby w oczach łzy?

Zauważyłam, że podczas biegu porwałam sobie rajstopy. Musiałam gdzieś zahaczyć o jakąś gałązkę i poszły mi oczka. Kurczę, lubiłam te rajstopy. Były takie ładne, a teraz się porwaaaaaaały!!!

No i rozbeczałam się na dobre.

Całe szczęście na rękach mam wodoodporny tusz – przynajmniej nie będę wyglądała jak potwór, bo nic mi się nie rozmaże.

Przez łzy spjrzałam na zegarek – dochodziła jedenasta w nocy. Jeśli teraz wrócę do domu, to rodzice chyba nie powinni się zbytnio zdziwić. Tylko... jak ja wrócę?

Przecież się zgubiłam!!!

Kiedyś gdzieś przeczytałam, że na drzewach mech zawsze rośnie od północy. To by mi pewnie bardzo pomogło, gdybym tylko wiedziała, czy mój dom też znajduje się na północy. Stwierdziłam więc, że jeśli cały czas będę szła przed siebie, to pewnie po jakimś czasie wyjdę gdzieś z tego lasu. Taak... tylko najpierw dobrze byłoby się zdecydować, w którą stronę iść. Przystanęłam i rozejrzałam się dookoła. Na prawo drzewa, na lewo drzewa, przede mną drzewa, za mną drzewa... Dlaczego to nie jest iglasty las? Przez te liście zupełnie nic nie widać. Ciemno jak w grobie – o, znowu się straszę.

Tutaj nie ma nawet ścieżki! To jest tak dobijające, że aż śmieszne.

Nie mogłam się powstrzymać i wybuchnęłam śmiechem przez łzy. Musiałam to jakoś odreagować, jak by pewnie powiedział mój tata.

Otarłam łzy i ruszyłam dalej. Po paru minutach marszu przypomniałam sobie mój koszmar – już przestało być tak śmiesznie. Widok ciemnego lasu i wspomnienie wilka odżyły w mojej pamięci. Uch, aż mam dreszcze.

Początkowo szłam powoli, ale po chwili przyspieszyłam. A jeśli zaatakuje mnie wilk? Przecież podobno jest ich tu mnóstwo! Co wtedy zrobię?

Wiem, wejdę na drzewo!

Zaraz, czy wilki potrafią wchodzić na drzewa?

A jak ja się tam wdrapię?! Przecież nie umiem!!!

Powoli zaczęłam wpadać w histerię. To nie jest przyjemne uczucie. Serce

miałam w gardle, nogi miękkie i cały czas chciałam krzyczeć – najlepiej o pomoc.

Nagle coś usłyszałam.

Co to było?! Co to, do licha, było???

Przystanąłam i zaczęłam nasłuchiwać, ale dźwięk się nie powtórzył. Powoli odwróciłam się i spojrzałam pomiędzy drzewa. Usiłowałam przeniknąć wzrokiem otaczającą mnie ciemność, ale było to tak samo bezsensowne, jak myśl o tym, że Pijawka kiedykolwiek się ode mnie odczepi.

Już miałam ruszyć dalej, gdy po swojej prawej stronie znowu usłyszałam cichy szelest. Szybko spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam... wiewiórkę. Uff! Kamień z serca, aż głośno westchnęłam i powiedziałam sama do siebie:

– To tylko wiewiórka, spokojnie. Już wszystko dobrze... Ale gdy kończyłam to zdanie, poczułam, że ktoś łapie mnie za ramię!!!

Zaczęłam wrzeszczeć jak opętana! Chociaż nie, to mało powiedziane – krzyczałam, jakby ktoś mnie obdzierał ze skóry.

Szybko odskoczyłam od swojego prześladowcy i odwróciłam się do niego śmiertelnie przerażona.

Przede mną stał Max. Zaraz, Max? Tak, to tylko Max!!!

Tak mi ulżyło, że aż osunęłam się na ziemię i usiadłam. Boże, moje serce, moje serce. Chyba właśnie przeżyłam zawał...

– Nic ci nie jest? – spytał i ukucnął obok mnie. No proszę, odezwał się...

– Nic mi nie jest?! Mało nie dostałam zawału, oczywiście o ile go nie dostałam!!!! – krzyknęłam, oddychając ciężko. – Musiałeś mnie straszyc?!

– Sorry – mruknął tylko w odpowiedzi.

Sorry?! SORRY?! Mało nie zemdlałam ze strachu, a może nawet nie umarłam, a on mówi „sorry”?! Matko! Serce mi chyba zaraz wyskoczy z piersi. W życiu się tak nie przestraszyłam! To było gorsze niż oglądanie samej w domu wszystkich części *Krzyku* (a wiem, co to znaczy, bo zrobiłam to parę miesięcy temu).

– Czemu krzyczałaś? – spytał spokojnie, przyglądając mi się uważnie.

– „Czemu krzyczałam?” – powtórzyłam z niedowierzaniem i spojrzałam na niego jak na idiotę. – A ty byś nie krzyczał, gdyby ktoś w środku nocy podszedł do ciebie w ciemnym lesie i bez ostrzeżenia złapał za ramię?

– Hm, może. Co tu robisz?

– Zgubiłam się – odpowiedziałam i wstałam. Rany, jeszcze trzęsą mi się nogi. – A co ty tu robisz?

– Nie tylko sportowcy robią imprezy – stwierdził krótko, też wstając.

Na to ja rzuciłam bardzo inteligentną i błyskotliwą odpowiedź godną Einsteina: – Aha.

– Zaprowadzę cię do domu. To niedaleko – mruknął i ruszył przed siebie.

Nie zostało mi nic innego, jak pobiec za nim. Musiałam truchtać, żeby iść w jego tempie. Nie żebym miała na sobie szpilki, byłam w bardzo wygodnych czarnych sandałach. Problem w tym, że jestem dość niska. Mam jakieś metr sześćdziesiąt, a Maksowi sięgam czubkiem głowy do brody. Stawiam więc mniejsze kroki niż on. A to było wkurzające, bo szedł bardzo szybko.

Nie dość, że otaczał mnie ciemny las, parę minut temu o mało nie dostałam zawału, to teraz jeszcze musiałam biec, a na dodatek ręka coraz bardziej mnie bolała. I jeszcze te oczka w rajstopach! Czułam się po prostu okropnie.

Max chyba zauważył, że ściskam kurczowo dłoń, bo zwolnił i spytał:

– Co ci jest?

– Eee, chyba połamałam sobie palce – powiedziałam i zerknęłam na niego.

W reakcji na moje oświadczenie podniósł tylko brew. Tak przy okazji, choć może odbiegam od tematu, ale czy mówiłam już, że Max jest przystojny? Jakoś to właśnie w tym momencie do mnie dotarło...

– No, uderzyłam Petera Deepa. W twarz – dodałam, czując, że się czerwienię. – Sierpowym.

– Zaczynam się czuć zagrożony w twoim towarzystwie. Zawsze bijesz chłopaków? – spytał i uśmiechnął się lekko, a jego brew podjechała jeszcze wyżej.

– Eee, nie... No, bo widzisz... Peter... Eee, to znaczy ja... Nie, raczej to on... No, więc on... – zaczęłam się jąkać, myśląc gorączkowo, jak mu to wytłumaczyć. No, bo bądźmy szczerzy, jak można coś takiego wytłumaczyć?

– No dobra, pokaż tę rękę – mruknął, przerywając mi. Wdzięczna, że przestał oczekiwać ode mnie odpowiedzi, podałam mu dłoń. Gdybym wiedziała, co zamierza, Chybabym tego nie zrobiła. Max ścisnął ją okropnie mocno, a następnie wygiął, że aż łzy pociekły mi po twarzy.

– Auaa... – jęknęłam i próbowałam wyszarpnąć moją biedną, małą, obolałą rączkę.

– Jeszcze ci nie spuchła, więc chyba nie złamałaś żadnej kości. Obłóż ją w domu lodem – mruknął i w końcu mnie puścił.

Natychmiast skuliłam swą dłoń przy policzku i spojrzałam na niego ponuro. Udał, że nie zauważył moich łez. Przynajmniej ma trochę taktu.

Jednak najwyraźniej moje cierpienie nie przeszkadzało mu w szybkim marszu przez las. Znowu musiałam za nim biec.

Cisza wkrótce stała się przytłaczająca, więc spytałam:

– Co robiłeś sam w lesie?

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. On ma niedorozwój strun głosowych, czy co?

– Ale czemu oddaliłeś się od kumpli? – próbowałam dalej, jednak on

znowu wzruszył ramionami.

Ależ taki potrafił człowieka wkurzyć! Nie, to nie. Nie chce ze mną gadać, to nie muszę się odzywać. Możemy iść w ciszy. No i dobrze, bardzo mi to odpowiada. Mogę w ogóle nic nie mówić!

Szkoda tylko, że jest mi tak okropnie zimno. Chętnie bym sobie trochę ponarzekąca. Nie przewidziałam, że odejdę od ciepłego ogniska, więc zostałam tylko w cienkiej czarnej bluzce bez rękawów i czarnej spódnicy, które zupełnie nie chroniły mnie przed zimnem. Ba, wiatr przewiewał przez nie, jakby miały jakieś specjalne wywietrzniki.

Przypomniałam sobie, jak wyglądam. Matko... podarte rajstopy i rozmazany makijaż (a kto by dowierzał producentom kosmetyków i temu, co piszą na opakowaniach!). Wyglądam strasznie. Co Max sobie o mnie pomyśli?

W pewnym momencie Max, bez słowa, zdjął z siebie swoją czarną, skórzaną kurtkę i zarzucił mi ją na ramiona.

– Dzięki, nie musisz – powiedziałam, by wiedział, że jestem dobrze wychowana, a potem poprawiłam ją na sobie i mocniej się nią opatulłam.

– Przecież się trzęsiesz – mruknął, nawet na mnie nie patrząc.

„Przecież się trzęsiesz”... a ja głupia oczekiwałam jakiejś romantycznej odpowiedzi w stylu: „Proszę, mam nadzieję, że ogrzeje twe zmarznięte ramiona. Poza tym dla ciebie wytrzymam wszystko”. Ale jak widać się przeliczyłam – zero romantyzmu i wycucia...

W końcu wyszliśmy z lasu. Bardzo mnie zdziwiło, że mój dom jest tak blisko. Najwyraźniej Max znał jakiś skrót.

W milczeniu (a jakżeby inaczej) podeszliśmy do furki prowadzącej na tyły mojego ogrodu. Jak zauważyłam, nie była zamknięta na klucz. Wystarczyło tylko nacisnąć klamkę, żeby ją otworzyć. Nie żebym miała jakąś obsesję na punkcie złodziei, ale otwarta furka to chyba już lekka przesada! Czy moi rodzice uważają, że w Wolftown nie ma złodziei? Chociaż w zasadzie to... kto wie... Przecież to zapadła dziura.

Otworzyłam furkę i odwróciłam się do Maksa.

– Dzięki za wszystko – powiedziałam, podając mu kurtkę.

Muszę dodać, że z żalem się z nią rozstawałam. Jest fantastyczna, a poza tym... pachniała Maksem. Używał delikatnego mydła o takim fajnym zapachu. Tak, wiem, że to brzmi głupio, ale nic nie mogę poradzić. To jakoś tak samo ze mnie wychodzi.

– Nie ma sprawy – mruknął i zarzucił kurtkę na ramiona. Nagle zza moich pleców wyskoczyła ruda kupa futra, stanęła przede mną i zaczęła wściekle warczeć na Maksa.

– Sweter! Spokój! – krzyknęłam, łapiąc psa za obrożę w obawie, że może rzucić się na chłopaka.

Myślałam, że Max odskoczy przerażony i nakrzyczy na mnie, że

powinnam uwiązywać psa, skoro jest taki agresywny, ale on stał jak gdyby nigdy nic, całkowicie ignorując głucho warczenie wydobywające się z gardła Swetera. Tylko spojrzał prosto w jego bursztynowe ślepia.

Sweter niespodziewanie podwinął pod siebie ogon, potem wyrwał mi się i uciekł, skomląc, do ogrodu. Zdziwiona spojrzałam w ciemność, w której zniknął.

Jeszcze nigdy tak się nie zachowywał.

– Co ty zrobiłeś? – spytałam, wpatrując się teraz w Maksa, ale on znowu tylko wzruszył ramionami.

– Cześć – mruknął i odwrócił się, idąc z powrotem do lasu.

– Cześć – odpowiedziałam, patrząc za nim, na jego plecy. Już nie odwrócił się do mnie...

Co on zrobił Sweterowi? A może to nie jest wina Maksa, może Sweter jest chory? Nigdy się tak nie zachowywał. Zawsze leciał do wszystkich z wywieszonym językiem i chciał, żeby go głaskać. A teraz?

Może powinnam iść z nim do weterynarza? Hm. Tylko że jutro jest niedziela. Pójdę w poniedziałek...

W poniedziałek jak zwykle pojechałam do szkoły na rowerze. Tata chciał co prawda podwieźć mnie samochodem, ale stwierdziłam, że muszę przemyśleć parę spraw.

Sprawa pierwsza: Peter. Zachował się wobec mnie jak ostatnia świnia. Dobrze, że mu przywaliłam. Problem jednak w tym, że chyba powinnam go unikać – może być na mnie wściekły. Tak, będę go ignorować, to dobry pomysł. Ciekawe, czy został ślad po moim uderzeniu? Mam nadzieję, że tak, i to duży.

Sprawa druga: Max. Bardzo ciekawi mnie, co robił sam w lesie o tak późnej godzinie. Nie zaatakował mnie, więc raczej nie jest mordercą czyhającym na bezbronnych ludzi w potrzebie. Jest dziwny, ale go lubię. No i ten lód rzeczywiście mi pomógł – dłoń już prawie wcale mnie nie boli. Hm, Max jest prawdziwą zagadką... i trochę mnie intryguje.

Sprawa trzecia: Sweter. Nadal nie mogę zrozumieć, co mu się wtedy stało. Przez całą niedzielę zachowywał się normalnie. W zasadzie nie mam po co iść do weterynarza. Najpierw podejrzewałam, że może Max ma w domu kota i Sweter poczuł jego zapach, ale to i tak niczego nie wyjaśnia. Nie wiem, co mam robić. Chyba nic. Poczekać na rozwój wypadków.

Gdy tylko podjechałam pod szkołę, od razu podbiegła do mnie Ivette.

– Margo! Co się stało w sobotę na tym przyjęciu? Całe miasto aż huczy od plotek!

– Tak? – zdziwiłam się i przypięłam rower do stojaka.

– Tak! Szybko, opowiadaj!

Opowiedziałam jej więc o tym, co zrobił Peter (jaki z niego zimny drań),

jak go uderzyłam, i o tym, że zwiałam do lasu i że Max pomógł mi wrócić do domu.

– To niewiarygodne! – powiedziała Iv. – Ale że go uderzyłaś?

– A co miałam zrobić?

– Nie wiem.

– No właśnie. Inaczej do takiego nie dociera – stwierdziłam krótko.

W szkole ciągle ktoś mnie zaczepiał i pytał, co się stało, a ja wyjaśniałam. Większość dziewczyn mnie popierała, natomiast chłopcy patrzyli jak na wariatkę. Super... teraz to już pewnie nigdy nie znajdę sobie chłopaka w tym przeklętym Wolftown! A dlaczego? Dlatego że taki głupi Peter się do mnie przyczepił!

O właśnie, o wilku mowa. Gdy zobaczyłam Petera, to aż mnie zatkało. Miał siniaka na pół twarzy, a pośrodku ciemniejszy odcisk w kształcie węża. Myślałam, że padnę! Ależ to zabójczo wyglądało! Gdy mijaliśmy się na korytarzu, spojrzał na mnie wrogo, a ja (szczerze się przyznaję) ledwo powstrzymałam się, by nie wybuchnąć śmiechem.

Gdy razem z Iv wychodziłyśmy po zajęciach ze szkoły (miałam jeszcze jakieś dwie godziny wolności do męczarni z Pijawką), spytała:

– Chciałabyś wpaść do mnie jutro i przenocować? – A potem szybko dodała: – Mogłabyś opowiedzieć mi wszystko dokładnie jeszcze raz.

– Dobra, ale muszę zapytać rodziców – odparłam.

– Wiesz, do mnie raczej nikt nigdy nie wpadał i nie mam przyjaciół, bo zawsze się ze mnie śmiali, że lubię różowy kolor – wyznała.

– Bardzo chętnie zostanę twoją przyjaciółką i nie przeszkadza mi twój ulubiony kolor – odparłam.

Bądźmy szczerzy, kogo ja chcę oszukać? Przecież nie cierpię różowego. Ale Ivette ma prawo lubić, co chce. Ciekawe, co jeszcze – poza samochodem, kostiumem kąpielowym, czepkiem i ubraniami – ma różowe? Aż się boję spytać... chyba wolę tego nie wiedzieć.

– Dzięki – odparła i uśmiechnęła się szeroko.

W domu zdążyłam tylko zjeść obiad i już musiałam lecieć z powrotem na basen. W ogrodzie zatrzymałam się przy Sweterze. Teraz zachowywał się normalnie, ale nadal nie mogłam zrozumieć, czemu tak dziwnie zareagował na Maksa.

Nie chciało mi się szybko jechać, więc na miejsce dotarłam prawie jako ostatnia. Zostawiłam rower i weszłam do środka. Nie uwierzycie, jaką radochę sprawiła mi dzisiaj Pijawka:

– Peter! Spóźniłeś się! – wrzasnęła. – Jesteś nieodpowiedzialny! Co ci się stało w twarz?! Zresztą nie mów, nie interesują mnie twoje porachunki z mafią! Do wody!

O kurczę, z mafią? Stać mnie na aż tak wiele? Ja cię kręcę...

Strasznie szybko minęły mi te dwie godziny pływania. Nawet Pijawka była jakaś taka znośniejsza. A po tej dzisiejszej uwadze to chyba nawet zaczynam ją trochę lubić.

W dobrym humorze poszłam do szatni, żeby się przebrać. Szybko wysuszyłam włosy i skocznym krokiem wyszłam z budynku. Nucąc pod nosem, zeszałam po schodach i minęłam Maksa majstrującego coś przy swoim motorze.

Nagle stanęłam jak wryta. Mój rower, a raczej to, co z niego zostało, leżał na ziemi. Cały był powykręcany, a opony i dętki miał poprzebijane gwoździami jeszcze sterczącymi w niektórych miejscach. Wolno podeszłam do mojej Błyskawicy (tak pieszczotliwie nazwałam go trzy lata temu) i ukucnęłam przy szczątkach.

Nic się już nie da z nią zrobić. Ktoś celowo ją zniszczył. Moja początkowa rozpacz zamieniła się w złość. Ten ktoś mi za to zapłaci! Odwróciłam się do Maksa i spytałam:

– Kto to zrobił? – Jednak on w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami i przyglądał mi się z zaciekawieniem.

Nagle mnie olśniło.

– Peter – szepnęłam, rzuciłam plecak obok roweru i pobiegłam za róg na parking dla samochodów.

Jednak jedyne, co zobaczyłam, to tablice rejestracyjne jego porsche. Zresztą może lepiej, że go nie dogoniłam. Bo co mogłabym mu zrobić? Nakrzyknąć?

Stałam tak, kipiąc ze złości, kiedy usłyszałam za sobą cichy warkot motocykla. Max zaparkował obok mnie i podał mi mój plecak i kask do jazdy na rowerze.

– Podrzucę cię – mruknął. – Ale musisz włożyć kask.

– Eee, dzięki – odpowiedziałam i usiadłam na siodelku za jego plecami.

– Złap się mnie, bo spadniesz – mruknął i ruszył.

W ostatnim momencie, zanim zleciałam na jezdnię, zdążyłam schwycić go w pasie. Dobrze, że mnie ostrzegł, chociaż mógł to zrobić trochę wcześniej...

Jazda była bardzo przyjemna. Mknęliśmy, mijając drzewa i światła latarni rozpraszające wieczorny mrok, a ja, cóż, w pewnym sensie siedziałam przytulona do Maksa.

Hm, przy okazji odkryłam, że Max ma niezłe mięśnie brzucha – pewnie od pływania. No, co? Czulałam to przez jego podkoszulek i kurtkę, a w końcu musiałam się go trzymać, czyż nie? Bo inaczej bym spadła.

Teraz rozumiem też, czemu nosi tę swoją skórzaną kurtkę – pęd wiatru przewiewa ubranie. Bardzo łatwo można zmarznąć.

Mimo to było super, ta chwila mogłaby trwać wiecznie. Niestety, szybko dotarliśmy pod mój dom. A niech to! Dlaczego mieszkam tak blisko?! Sześć

kilometrów to naprawdę niewiele!

– Dziękuję – powiedziałam, schodząc z siodełka. – Gdyby nie ty, to nie wiem, co bym zrobiła.

– Nie ma sprawy – mruknął. – Ale następnym razem nie denerwuj większych od siebie. To cześć.

Następnie odjechał kawałek i zawrócił, wzniecając tuman kurzu, a potem ruszył. No tak. Myślałam, że sobie z nim pogadam, ale on znowu uciekł. Naoglądał się *Ściganego*, czy co? Chwilę tak jeszcze stałam, ale zaraz światła motocykla zniknęły w ciemności. Powłokłam się więc do domu, ale jeszcze nie wiedziałam, jakie piekło mnie tam czeka...

– Co to był za motocykl?! – warknęła mama, otwierając mi drzwi.

– Mnie też miło cię widzieć – odpowiedziałam, zdejmując buty.

– Co to był za motocykl?! – powtórzyła głośniej i widać po niej było, że przeciągam strunę.

– Kolega mnie podwiózł, bo mój rower miał mały wypadek – powiedziałam.

– Wypadek?! O Boże, Margo nic ci nie jest? – krzyknęła i zaczęła oglądać moją głowę w poszukiwaniu jakichś ran (instynkty macierzyńskie są czasem denerwujące, no nie?).

– To mój rower miał wypadek, a nie ja! – powiedziałam, usiłując się wyswobodzić.

– Jak to rower miał wypadek? – spytał tata, wychodząc z kuchni.

– Jak byłam na zajęciach na basenie, to chyba jakiś samochód po nim przejechał – wyjaśniłam.

W pewnym sensie to była prawda. Wyglądał, jakby znęcała się nad nim ciężarówka, albo nawet dwie.

– Jak to przejechał? Przecież tam są stojaki na rowery. Nie przypięłaś go?

– Przypięłam – odpowiedziałam, myśląc szybko. – Ale może ten samochód cofał i go nie zauważył – dodałam.

– Aaa, możliwe – mruknął tata. – Pamiętam, jak szesnaście lat temu wjechałem tak na latarnię. To doskonały przykład rozchwiania emocjonalnego. Byłem wtedy bardzo zdenerwowany, bo twojej matce właśnie odeszły wody i wiozłem ją do szpitala. Spieszyło ci się na ten świat.

– Aha, pasjonujące – mruknęłam. – Tato, mógłbyś pojechać po Błyskawicę? Może jeszcze da się ją naprawić.

– Dobrze. Mam nadzieję, że nie przejęłaś się tym za bardzo. Młodzi ludzie, tacy jak ty, są skłonni do częstych ataków złości i niepotrzebnej huśtawki nastrojów...

– Tak, tak – powiedziałam szybko i pobiegłam do kuchni. Jak tata się nakręci, to może tak gadać i gadać. Ciekawe, jak ja się jutro dostanę do szkoły? Rano pewnie odwiezie mnie tata, ale jak wrócę? O nie! Pewnie Ivette się

zaoferuje. Super, już nie mogę się doczekać. W końcu przejażdżka różowym samochodem to szczyt moich marzeń...

Właśnie siedziałam, w swoim pokoju i słuchałam The Rasmus, gdy do drzwi zastukała mama:

– Margo, zapomnieliśmy ci wcześniej powiedzieć. Jutro z samego rana jedziemy na symposium. Tata będzie miał wykład na temat „Problemy emocjonalne dzisiejszej młodzieży a coraz większe zapotrzebowanie na narkotyki i środki pobudzająco-odurzające w środowisku szkolnym” – powiedziała z dumą.

– Aha – specjalnie mnie to nie obeszło, ciągle jeżdżą na jakieś wykłady o podobnie bzdurnych tytułach.

– Problem w tym, że ten wykład odbędzie się w Nowym Jorku, więc nie wrócimy na noc. Chociaż w zasadzie może się okazać, że zostaniemy tam jeszcze dłużej, bo to będzie cykl wykładów. Pewnie w środę rano będziemy już z powrotem, chyba że właśnie zostaniemy dłużej. Ale wtedy do ciebie zadzwonimy. Słyszysz? Będziesz musiała sama sobie przygotować wszystkie posiłki.

– Aha, okay – odparłam tylko.

– Dobranoc – powiedziała mama i zamknęła za sobą drzwi.

Hurra!!! Mam całą chatę dla siebie przynajmniej na jeden wieczór! Niech żyją sympozja naukowe!

Zaraz, ale czym ja się tak podniecam?

Przecież mam tylko jedną przyjaciółkę, Ivette. Nie urządę więc żadnej imprezy. Zostaję sama w domu na całą dobę i nie wiem, co miałabym ze sobą zrobić. To straszne!

Właśnie postanowiłam się położyć, gdy zadzwoniła Ivette.

– Cześć – przywitałam ją.

– Cześć. Sorry, że dzwonię tak późno, ale mam do ciebie bardzo ważne pytanie.

– Eee... jasne, o co chodzi?

– Margo, jak pokazać chłopakowi, że się nim interesuję? Ale wiesz, żeby to nie wyglądało, jakbym się narzucała.

I ona mnie o to pyta? Przecież ja to pytanie zadaję sobie od lat...

– Nie wiem – powiedziałam po prostu. – Wiesz, ja nigdy nie miałam chłopaka.

– No tak, ale może masz jakiś pomysł?

– Może zadzwonisz do swojej siostry? – zaproponowałam. Jakiś czas temu mi o niej wspominała. Mówiła, że Brigitte mieszka na stałe we Francji i tam studiuje. Ona to ma dopiero fajne życie.

– Dlaczego miałabym dzwonić do swojej siostry? – zdziwiła się.

– Przecież ona ma męża – przypomniałam jej. – Sama mówiłaś mi o tym nie dalej niż wczoraj.

– No i co z tego?

Czy mi się zdaje, czy ona jest dzisiaj taka... niedomyślna?

– Nie sądzisz, że w jakiś sposób musiała go najpierw poznać, zanim stanęła sobie naprzeciwko niego w kościele? – spytałam lekko zirytowana. Na serio chciało mi się już spać.

– Aaa... rzeczywiście, masz rację! – Olśniło ją. Nawet nie słyszała ironii w moim głosie.

– Możesz mi powiedzieć, o kogo ci chodzi? – spytałam.

– No, nie wiem... bo wiesz, to trochę głupie – mruknęła.

– A słyszałaś kiedyś o mądrej miłości? – spytałam.

– Niby nie, ale to... skomplikowane.

– Wyduś to z siebie – wręcz warknęłam.

– Eee, no w zasadzie to trochę się tego wstydzę. Może powiem ci o tym jutro, co? No dobra, to cześć! – zakończyła rozmowę i rozłączyła się, zanim zdążyłam zareagować.

Ciekawe, o kogo jej chodziło? Kurczę, teraz nie będę mogła zasnąć. Hm, na pewno nie chodziło jej o Petera, w końcu był prawdziwym draniem. Więc o kogo? W zasadzie Iv podobają się sportowcy, więc to pewnie któryś z nich. Tylko który?

## 7.

Biegłam przez las. Dookoła mnie panowała niczym niezmacona cisza. Nagle za plecami usłyszałam kroki. Przyspieszyłam. Moje serce ze strachu prawie wyskoczyło z piersi. Choć jeszcze niczego nie widziałam, to podświadomie czułam, że o n gdzieś tam jest.

Zobaczyłam przed sobą wzgórze. Majaczyło w ciemności ledwo widoczne poprzez otaczającą je szarą, nienaturalną mgłę. Szybko zaczęłam się na nie wspinać.

Gdy dotarłam na szczyt, przystanęłam... Przedemną na szeroko rozstawionych łapach stał czarny wilk. Zwierzę zawył do księżyca, a następnie spojrzało na mnie, obnażając białe kły. Wilk zamierzał się na mnie rzucić!

Nagle poczułam, jak ktoś łapie mnie za ramię i gwałtownie ciągnie do tyłu. Krzycząc, wyrwałam się i odwróciłam. W ciemności dojrzałam błysk księżycowego światła w oczach mojego prześladowcy...

Przeżrana usiadłam, szamocząc się z kołdrą, a krzyk zamarł mi w gardle. Sen znowu się zmienił! Prawie zobaczyłam jego twarz! W zasadzie to widziałam tylko oczy, bo reszta ukryta była w cieniu, ale to i tak coś. Jeszcze parę takich okropnych nocy i pewnie dowiem się, kto mnie goni. Jeżeli wytrwam psychicznie do tego momentu...

Nie mogąc wciąż opanować drżenia ramion, zapaliłam światło. Czułam, że ono daje mi pewnego rodzaju siłę, żeby przepędzić strach.

Dlaczego ten koszmar mnie prześladowuje? O co w nim chodzi? Jednak, co było do przewidzenia, odpowiedzi na te pytania nie znalazłam.

Zrezygnowana położyłam się i próbując o wszystkim zapomnieć, zapadłam w głęboki sen.

Gdy obudziłam się rano, rodziców już nie było. Zjadłam śniadanie i nakarmiłam Swetera, nadal czujnie go obserwując. Jednak od tamtej nocy zachowywał się całkowicie normalnie.

Dochodziła już pora mojego wyjścia z domu, więc zaczęłam się zbierać i nagle to do mnie dotarło: jak ja dojadę do szkoły?! Przecież mój rower jest kompletnie zniszczony. W każdym razie tak wczoraj stwierdził tata, kiedy go przywiózł. Miałam nadzieję, że odwiezie mnie mama, ale przecież oboje już dawno wyjechali.

Właśnie wpadłam na wspaniały pomysł, uznałam, że z braku i środków transportu zostanę w domu, gdy zauważyłam kartkę przyklejoną do drzwi lodówki.

*Nie możemy podwieźć cię do szkoły, więc zadzwoniliśmy wczoraj do mamy Ivette i spytaliśmy, czy mogłaby cię podrzucić. Wpadnie po ciebie o wpół*

*do ósmej.*

*Całuję.  
Mama*

A niech to!!! Już wyobraziłam sobie, że oddam się słodkiemu lenistwu i wreszcie na cały regulator posłucham muzyki. A teraz co? Muszę jechać do szkoły – i to w pojeździe lalki Barbie!!!

Punktualnie o siódmej trzydzieści pod dom zajechał samochód Iv.

Tylko że wyglądał zupełnie inaczej. Jego karoseria nie lśniła już jaskrawym różem, była po prostu czarna! Z każdej strony zniknął ten obrzydliwy różowy kolor. Wiem, bo go obeszłam dookoła! Wreszcie zdziwiona wsiadłam do środka i zawołałam:

– Co się stało?

– Podoba ci się? – spytała Ivette uśmiechnięta od ucha do ucha. – Wczoraj go przemaalowali.

– Ale dlaczego? – spytałam.

– Stwierdziłam, że różowy już przestał mi się podobać. Czemu masz taką dziwną minę?

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć! – Ocknęłam się. – Aha, nie mogę dzisiaj u ciebie nocować. Rodziców nie ma w domu, więc...

– Okay, nie tłumacz się – odpowiedziała nadal uśmiechnięta. – Zawsze możemy to zrobić kiedy indziej.

– Dobra.

Rany! Co się stało z Ivette? Ciekawe, jakie jeszcze niespodzianki mnie dzisiaj spotkają? O, właśnie coś mi się przypomniało!

– O jakim chłopaku mówiłaś wczoraj wieczorem? – spytałam, jakby od niechcenia.

– Aaa... – zaczerwieniła się. – Nazywa się Aki. Jest od nas starszy, ma siedemnaście lat.

Hm, pierwszy raz słyszę takie dziwne imię.

– Nie mam z nim historii sztuki – stwierdziłam i w myśli szybko przebiegłam listę osób z moich zajęć.

– Ja mam – odpowiedziała. – Siedzę koło niego.

Aaa, to wiele wyjaśnia. No proszę, Ivette się zakochała! Ciekawe, czy dlatego przemaalowała samochód? Czyżby chciała mu się przypodobać? Matko... koniecznie muszę się dowiedzieć, jak ten Aki wygląda. Ciekawe, czy jest sportowcem?

Pewnie tak, skoro Iv cały czas mówi tylko o tym, co trzeba zrobić, żeby się z nimi choć trochę zintegrować.

– Musisz mi go pokazać na korytarzu – dodałam.

– Eee, no dobra – mruknęła zakłopotana.

Jeszcze chwilę gadałyśmy, jadąc, ale niestety prędko dotarliśmy na parking. Znowu szalenie ciekawe godziny z nauczycielami...

W szkole było dość nudno (no kto by pomyślał?). Na szczęście nie miałam dzisiaj żadnych zajęć na basenie. Gdybym miała, musiałabym spotkać się z Peterem, a on chyba wciąż ma do mnie żal. Dzisiaj nabijają się z niego jeszcze bardziej. Ha, ha! Dobrze mu tak! Po tym, co zrobił z moim rowerem, jestem na niego śmiertelnie obrażona.

Poza tym myślę o małej zemście. Z koła mojego roweru wyjęłam jeden gwóźdź, a że nasz szkolny parking jest strasznie ciasny, przeciskając się obok takiego srebrnego porsche (model z otwieranym dachem), można łatwo o niego zahaczyć, no nie? I zrobić dłuuuuuugą rysę. Och, to by było straszne! Pewnie bulnąłby kupę forsy za nowy lakier. Jaki to pech, że jestem na niego zła, mam gwóźdź i nie zawaham się go użyć, prawdziwy pech...

Hm, może powinnam o tym całym zajściu powiedzieć rodzicom? Przecież to nie jest normalne (mam na myśli zachowanie Petera – moje jest całkowicie zrozumiałe, zresztą jeszcze nic nie zrobiłam, i jak znam swoje tchórzostwo, pewnie niczego nie zrobię). Ale jeśli on coś mi zrobi? W końcu wszystko jest możliwe. Muszę się nad tym zastanowić.

Właśnie szłam z Ivette na biologię (jak na razie to jedyny przedmiot, na którym nie ziewam – oczywiście poza WF-em, bo pod wodą ziewać się nie da) i opowiadałam jej o tym, że wczoraj do domu odwiózł mnie Max, gdy drogę zagroził nam Peter. Siniak przybrał piękny, fioletowy odcień, ha, ha!

– To ci nie ujdzie na sucho! – warknął do mnie. Widocznie na serio mu dzisiaj dopiekli. Kurczę, kiedy on się wreszcie ode mnie odzepi?! I ciekawe, co by było, gdybym naprawdę użyła tego gwoździa?

– Co mi nie ujdzie na sucho? – spytałam zaczepnie. – To, że się broniłam? Czy może to, że wszyscy się z ciebie nabijają, bo uderzyła cię dziewczyna?

Tak. Wiem, że to nie było mądre. Zważywszy na to, że on jest koszykarzem, a ja nie sięgam mu nawet do brody. Ale jak zwykle byłam odważna nie w tym momencie, co trzeba.

– Ty! – krzyknął i zamachnął się.

Skuliłam się, oczekując ciosu i zamknęłam oczy. Rany!!! On mnie zaraz uderzy!!! Pomocy!!! Czy na tym korytarzu nie ma nikogo, kto by mi pomógł?! Iv!!! Gdzie jesteś?!

– Zostaw ją – usłyszałam cichy, ale silny głos tuż przed sobą. Szybko otworzyłam oczy, ale jedyne, co zobaczyłam, to plecy Maksa (poznałam po tej jego zabójczej motocyklówce), który stał przede mną.

Delikatnie wyjrzałam zza mojej żywej tarczy. Max trzymał Petera za rękę, którą tamten chciał mnie uderzyć!

– Co ci do tego?! – warknął Peter, wrywając dłoń z uścisku.

– Drażni mnie, kiedy ktoś bije dziewczyny! – odpowiedział tym samym tonem Max.

– To twoja dziewczyna, że jej tak bronisz, metalu? – spytał, uśmiechając się drwiąco, Peter.

– A co, przeszkadza ci to? – zgasił go Max.

– Że co? – spytał głupio Peter.

– Że co? – zapytałam w tym samym momencie.

– Max! Chodź! – jeden z jego kumpli zawołał go z drugiego końca szkolnego korytarza.

– Spadaj stąd! – warknął Max do Petera. – Albo pożałujesz!

– Też coś! – prychnął Peter i odszedł, mrużąc coś pod nosem. Widocznie przestał być odważny, gdy zauważył, że kumple Maksa się do nich zbliżają. Co za tchórz! Choć w zasadzie to mu się nie dziwię. Dziewięciu wysokich, ubranych w skórzane kurtki chłopaków to może być przerażający widok. Max odwrócił się i też odszedł.

– Czekaj! – zawołałam za nim, ale nie zareagował. A niech to!

Czy ja dobrze słyszałam, czy mam omamy? Czyżby Max przed chwilą powiedział, że jestem jego dziewczyną? Zaraz, czemu ja o niczym nie wiem?! Może ktoś by mi to wyjaśnił?! Co tu się dzieje, do diaska?!

– To niewiarygodne! – wyrwał mnie z zadumy pisk Ivette, – Jesteś dziewczyną Maksa?

– Eee, nie – mruknęłam. – A w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo...

– Świetnie! – krzyknęła Iv, gdy dzwonek zadzwonił nad naszymi głowami, dając wszystkim znak, że lekcja już się zaczęła.

– Spóźnimy się na biologię i Bakteria nas zabije.

Co miałyśmy zrobić? Pobiegłyśmy szybko na lekcję.

Do końca dnia nie zdołałam już złapać Maksa, mimo że, na wszystkich przerwach przeszukiwałam korytarze jak pies gończy. Nigdzie nie mogłam go znaleźć. Nie było go ani w sali, w której powinien mieć lekcję, ani na korytarzu przed salą, ani nawet w męskiej ubikacji, do której wtargnęłam zdesperowana – tak, wiem, że to obciach. Niestety, zostałam wygwizdana przez znajdujących się wewnątrz chłopców i niczego nie zyskałam. Max zapadł się pod ziemię.

Gdy zabrzmiał ostatni dzwonek, szybko wybiegłam na parking, ale zobaczyłam już tylko tuman kurzu wzniesiony przez koła oddalającego się w pośpiechu motocykla. Spóźniłam się i znowu mi uciekł. Teraz będę musiała czekać aż do jutra, żeby się dowiedzieć tego, co mnie męczy.

– To jak, jedziemy? – spytała Iv, podchodząc do mnie.

– Jedziemy, jedziemy – odparłam wściekła.

Już w samochodzie Ivette spytała:

– To o co chodzi z tobą i Makssem?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparłam.  
– Ale on przecież po coś to powiedział – nie dawała za wygraną.  
– Pewnie chodziło mu tylko o to, żeby Peter się odczepił.  
– Aaa... – mruknęła zawiedziona Iv, widocznie tak jak ja wyobrażała sobie nie wiadomo co. – Szkoda. Hej! A może on w ten sposób dał ci do zrozumienia, że chce z tobą chodzić?

Aha, nadzieja matką głupich.

– Nawet jeśli, to i tak bym się nie zgodziła – stwierdziłam.  
– Dlaczego?  
– Bo według mnie to było bardzo nieromantyczne i mi się nie podobało – powiedziałam cierpko. – Zresztą nie ma o czym mówić.

– Tak, ale może...

– Iv, daj spokój!

– Dobrze, już dobrze – powiedziała i więcej już nie rozmawialiśmy.

No proszę, gdy wchodziłam do domu, przypominałam sobie, że nie spytałam Iv o tego jej tajemniczego Akiego. Obejrzałam się szybko, ale już odjechała. Szkoda. No cóż, zrobię to jutro, przecież ten Aki nie zniknie...

Cały czas słyszałam słowa Maksa. Na dodatek nie mogłam się przez to na niczym skupić. Usiłowałam odrabiać lekcje, ale skończyło się na tym, że siedziałam w swoim pokoju, gapiąc się bezmyślnie w okno.

Co on chciał przez to powiedzieć???

Czy zrobił to tylko po to, żeby ten durny Peter mnie zostawił?

Może skrycie coś do mnie czuje, tylko boi się to okazać? Może miał nieszczęśliwe dzieciństwo?

No bo przecież Max jest i przystojny, a do tego tajemniczy, trochę „mroczny”. I jeździ na motorze, i nosi skórzaną kurtkę, i słucha metalu. Może to dość dziwny ideał, ale jak dla mnie – w sam raz.

Koniecznien muszę dorwać Maksa jutro na basenie. Chociaż z drugiej strony, jeśli rodzice nie wrócą, to chyba wcale nie pójdę na te zajęcia. W takim razie muszę go złapać na jakiejś przerwie, a ostatecznie dopiero na historii sztuki pojutrze.

Włączyłam na full ostrego rocka i tym spróbowałam odwrócić swoją uwagę od tego drażliwego tematu.

Taak... jutro rano Ivette pewnie znowu po mnie wpadnie.

Tylko w co ja się ubiorę? Muszę ładnie wyglądać. Nie, to wcale nie dla Maksa.

Och, dobrze, dla niego.

Godzinę wcześniej.

Obudziłam się godzinę wcześniej. Dlaczego?

Bo dotarło do mnie, że nie wiem, w co mam się ubrać... Naprawdę jest ze

mną coraz gorzej. Nie mogę spać przez chłopaka, który w zasadzie nic nie powiedział. A może jednak powiedział?

Matko, znowu zaczynam...

W końcu jednak się przygotowałam i w jakiś nadprzyrodzony sposób zdołałam nawet coś zjeść. A przecież na myśl, że muszę się spotkać z Maksym, żołądek zawiązuje mi się w supeł.

Tak, tak, wiem, wcale nie muszę go o nic pytać, jeśli aż tak bardzo tego nie chcę. W tym jednak problem, że ja bardzo chcę. I jeśli tego nie zrobię, to do końca życia będę żałować. No, bo kto wie, co Max mi odpowie?

Ubrana jak na wystawę, wyjątkowo nie całkiem w czerni, siedziałam na ganku, czekając na Ivette. Bogu dzięki przyjechała punktualnie, bo sama nie wiem, czybym nie stchórzyła i nie została w domu.

– Co masz jakąś taką niewyraźną minę? – spytała, kiedy siadałam obok niej.

– Iv, sama nie wiem – zaczęłam. – Mam pytać Maksa, dlaczego wczoraj tak powiedział, czy udać, że nic się nie stało?

– A chcesz się od niego dowiedzieć?

– No... chcę.

– To spytaj – odparła lekko.

Tak, łatwo jej mówić. Ja chyba jednak nie dam rady. Czuję się zupełnie tak jak wtedy, w lesie. Po prostu nie wiem, jak się zachować.

Jakoś przeżyłam ten bardzo nerwowy dzień, bo nie było okazji, żeby w ogóle podejść do Maksa. Cały czas łąził z jakimiś ciemnymi typkami. O, przepraszam, ze swoimi przyjaciółmi. W każdym razie prędzej dałabym się pokrajać, niżbym do nich podeszła i spytała, czy może ze mną chwilę porozmawiać.

Dlaczego chłopcy to zwierzęta stadne?! Czy Max nie może chociaż przez chwilę być sam?! Wystarczyłoby mi jakieś pięć minut. Pięć minut. Czy proszę o dużo?

Ale nie, on przez cały dzień łąził ze swoimi kumplami.

Poza tym znowu przyczepiła się do mnie ta cheerleaderka. Chyba już zapomniała o gumie do żucia i staniku na basenie. Albo chce się na mnie zemścić...

– Jaka ty jesteś głupia – powiedziała do mnie kpiąco na przerwie. – Przecież oczywiste było, że tylko o to chodziło Peterowi. A ty myślałaś, że on się w tobie zakochał? Naiwniaczka.

– Odwal się, albo wepchnę ci te twoje pompony do gardła – warknęłam swoją ulubioną groźbę.

– Uważaj, bo to raczej ja mogę coś zrobić tobie – powiedziała, jak jej się wydawało, złowieszczo. – Mam wielu znajomych, możemy cię tak urządzić, że już się nie pozbierasz.

– Naprawdę? – spytałam i spojrzałam na nią jak na robaka.

– Chciałabym to zobaczyć.

Wiem, że to było prawie tak głupie, jak machanie bykowi czerwoną płachtą przed oczami. Ale cóż... nigdy nie grzeszyłam rozważą. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że mogę to popamiętać...

Maksa postanowiłam zaatakować następnego dnia, podczas historii sztuki. Dokładnie to sobie obmyśliłam. Prawie. Mój plan przewidywał głównie, że usiądę obok niego i wezmę go w krzyżowy ogień pytań.

I... prawie się udało.

Weszłam do sali tuż po dzwonku, bo musiałam się do tego spotkania trochę przygotować. Przesiedziałam całą przerwę w toalecie, zastanawiając się, czy to jest na pewno dobry pomysł...

Otworzyłam drzwi i zaczęłam przechodzić pomiędzy stolikami. Kiedy mijałam ławkę Debbie (to ta moja ulubiona cheerleaderka), ona przejechała sobie po szyi palcem, w geście starym jak świat. Że niby: zginiesz, albo coś w tym rodzaju. Zaczyna się robić ciekawie...

Na wszelki wypadek ominęłam ją więc szerokim łukiem. Przeszłam nad nogami Maksa, które jak zwykle ułożył na podłodze, i usiadłam na swoim miejscu. Max nawet mnie nie zauważył, pisał coś w zeszycie.

– Cześć, Max – powiedziałam.

– Mhm – mruknął w odpowiedzi i nawet na mnie nie spojrzał. Eee... no to jeszcze raz.

– Max, mogłabym cię o coś spytać?

– Taak... – mruknął, bazgrząc coś w zeszycie.

– No, więc... – zaczęłam, ale przerwało mi wejście profesora Hawka.

Na jego lekcjach nigdy nie jest cicho, ale jakiś tak głupio mi było teraz rozmawiać z Maksem. Choroba...

Wzięłam kartkę papieru i prawie pięć minut zastanawiałam się, jak napisać to głupie pytanie, które tak mnie dręczy.

*Max, czy mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego powiedziałeś Peterowi, o co Ci wtedy chodziło? Wiesz, przedwczoraj.*

Tak, graficznie to trochę nie za bardzo. Zwłaszcza przez skreślenia. No ale mówi się: trudno. Złożyłam wiadomość i rzuciłam Maksowi na ławkę.

Upadła mu akurat przed samym nosem, na zeszyt, w którym pisał. Spojrzał na mnie zdziwiony, ale ponieważ odwróciłam wzrok, skierował uwagę na kartkę.

Szybko przeczytał wiadomość, jeszcze raz na mnie spojrzał, nabazgrał coś pod spodem i rzucił w moją stronę.

*Kiedy przedwczoraj?*

Zatkało mnie. To on nawet nie pamięta, co się wtedy stało?!

*Wtedy, kiedy Peter chciał mnie uderzyć. O co Ci chodziło?*

Parę sekund później odpisał:

*O to, żeby się od Ciebie odczepił. Tylko nie mów, że sama chciałaś mu wydrapać oczy...*

No nie, nie da się z nim dogadać...

*W zasadzie to chodziło mi o to, co mu wtedy powiedziałaś. Wiesz, jak on powiedział, że... Oj, przypomnij to sobie!*

Spojrzał na mnie zaintrygowany i odpisał:

*Chodzi Ci o to, kiedy spytał, dlaczego Cię bronisz?*

Rany, chyba nigdy nie spojrzę mu w oczy. Już teraz jestem czerwona.

Mimo to odpisałam krótko:

*Tak.*

Ponieważ moja kartka już się skończyła, więc wyrwał kawałek ze swojego zeszytu i napisał odpowiedź, którą nie za bardzo potrafię zinterpretować...

*Więc chodzi Ci o to, co wtedy powiedziałem... No cóż, w zasadzie to miałem zamiar tylko go uciszyć, a to jakoś tak samo mi się wymknęło.*

*Co rozumiesz przez „wymknęło”?* – odpisałam.

Max siedział teraz przodem do mnie, a bokiem do profesora. Całkowicie go ignorował. Zresztą ja też. Z zapartym tchem czekałam na odpowiedź.

*Po prostu wymknęło. A co?*

Nie całkiem chodziło mi o coś takiego...

Mc. *Tak po prostu pytam.*

W następnej chwili odrzucił mi kartkę:

*Tak tylko „po prostu”, Margo? O co Ci chodzi?*

Przewyciężyłam samą siebie i spojrzałam mu prosto w oczy. A, co tam. Raz kozie śmierć.

*A ty byś się na moim miejscu nie zastanawiał? Gdybym na przykład ja coś takiego powiedziała?*

Uśmiechnął się pod nosem i odpisał:

*Chyba tak. Ale powiedz, dlaczego pytasz? Musisz mieć jakiś powód. Bo ja bym pytał, chociażby z czystej ciekawości.*

Chce grać? To proszę bardzo!

A jakbym powiedziała, że też pytam z ciekawości?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

*To poważnie zastanowiłbym się, czy nie chodzi Ci jeszcze o coś. O coś pomiędzy wierszami.*

Spojrzałam na niego, miał teraz na twarzy taki lekki uśmiezek. Trochę kpiący. Ale on zawsze się tak właśnie uśmiecha.

Choroba, on wie, o co mi chodzi! Tylko cały czas się ze mną drażnił! A niech go!

*Nie wiem, o czym mówisz – nabazgrałam wściekła.*

*Wiesz, wiesz – odpisał. – Tak przy okazji, uważaj na Debbie. Coś na Ciebie szykuje.*

W następnej chwili zadzwonił dzwonek i wszyscy zerwali się ze swoich miejsc. Max także.

Nawet się nie odwrócił. Nawet na mnie nie spojrzął. Rany... znowu się czerwienię.

Czy to było coś w rodzaju flirtu? Bo ja tego jeszcze nigdy nie robiłam. To znaczy, nie flirtowałam. Chyba że można było zaliczyć tu moje rozmowy z Peterem. No więc, czy to było to?

A co może szykować na mnie tamta jędra? Bez przesady... Już widzę, jak ona wymyśla coś, co by zdołało mnie zaskoczyć.

Bądźmy szczerzy, przecież ona ma absolutną pustkę w miejscu mózgu.

Kiedy już po lekcjach jechałam z Iv do domu, dopadły mnie wątpliwości. Może to jednak wcale nie był flirt? Może on tylko sobie ze mnie żartował?

– O czym myślisz? – spytała Ivette.

Szybko opowiedziałam jej przebieg mojej rozmowy z Maksem. Tak ją to wszystko zdziwiło, że aż oderwała oczy od jezdni, a przecież wiadomo, jakim ona jest wzorowym kierowcą.

– Żartujesz?! – wykrztusiła z siebie tylko.

– Nie – odpowiedziałam.

– Ale numer! – pisnęła.

Taaak... strasznie fajnie. Już sobie wyobrażam, co on teraz o mnie myśli. Boże...

– Problem w tym, że strasznie trudno coś od niego wyciągnąć. Jest taki... taki... niedostępny – zakończyłam kulawo.

– Jak góra lodowa – zaśmiała się Ivette. – Tylko że musiałby być jeszcze do tego zimny.

– Chyba jest... – westchnęłam.

– Ale wpadłaś – zaśmiała się Ivette. – Zakochałaś się w nim! Że co?! Że niby ja?! Jeszcze czego! Jak mogłabym się zakochać w kimś takim?! Ja go tylko... lubię.

– Nie zakochałam się w nim! – wycodziłam.

– To co teraz zrobisz? – spytała roześmiana Ivette, udając, że nie słyszy tego, co przed chwilą powiedziałam. – On się z tobą droczy.

– Naprawdę? – ucieszyłam się.

– Tak – odpowiedziała zde gustowana. – I ty twierdzisz, że się w nim nie zakochałaś?

Mieliście kiedyś ochotę udusić najlepszą przyjaciółkę? Bo mnie się czasami ręce same do tego wyciągają. Ivette potrafi być wkurzająca jak nikt inny.

– To co zrobisz? – popędziła mnie.

– Nie wiem – odpowiedziałam niechętnie, a następnie dodałam: – Może jeszcze spróbuję coś z niego wyciągnąć. Skoro, jak twierdzisz, dzisiaj się ze mną droczył.

Taaak. Teraz to już widzę. Znowu go pomęczone. Może na basenie w sobotę? Albo może dopiero na następnej historii sztuki...

– Będę Titanikiem, który skruszy górę lodową – zaśmiałam się.

– Taaak... – mruknęła Ivette cicho. – Tylko że Titanic przy tym zatonął.

Puściłam jej słowa mimo uszu.

Może Max rzeczywiście chociaż trochę mnie lubi. Super! Już nie mogę się doczekać następnego spotkania!

## 8.

Tydzień jakoś tak mi przeleciał... Max ciągle trzyma się swoich znajomych, więc nie mam okazji, żeby z nim pogadać. To straszne!

Co prawda zauważa mnie, bo zawsze kiedy przechodzę obok, to kiwa głową albo puszcza do mnie oko. A to oznacza, że musi mnie w jakiś sposób lubić!!!

Miałam nadzieję, że zdołam go złapać na basenie, ale kiedy przyszedłam, on był już w wodzie. Choroba! A przy Pijawce wszystkie rozmowy są, niestety, zabronione...

Wybrałam pas obok niego i wsunęłam się do wody. Nawet ta despotka mnie nie powstrzyma! Przeplłynęłam delfinem całą długość basenu, żeby znaleźć się obok Maksa. Taak... kiedy tam dopłynęłam, on był gdzieś tak w połowie długości. Tylko że w drugą stronę. Przez cały trening się z nim mijałam. Już naprawdę zastanawiam się, czy on to robił specjalnie, czy był to tylko przypadek. Bo nawet usiłowałam poczekać, żeby mnie dogonił, ale wtedy z kolei Pijawka na mnie krzyczała.

Po jakichś dwóch godzinach usłyszałam gwizdek Pijawki oznajmiający koniec zajęć. Zerknęłam szybko w stronę Maksa. Kiedy wchodził po drabince, woda spływała strumyczkami po jego plecach. Jednym ruchem zerwał z głowy czepek i wilgotne włosy rozsypały mu się po twarzy. Dokładnie widziałam ruch jego mięśni, kiedy przeczesywał włosy dłonią...

Ekhm, to znaczy... o, Max już wychodzi z wody!

Niech to! Znowu mi uciekł. Wręcz pobiegł do szatni. A przecież nie wejdę za nim do męskiej przebieralni. Nie jestem aż tak zdesperowana. Chociaż...

Nie, no bez żartów, nie weszłam tam. Mimo że miałam ochotę.

Ale jak się okazuje, wcale nie musiałam. Gdy weszłam do pustej szatni (wiecie, jestem jedyną dziewczyną w tej szkole, która przychodzi na dodatkowe zajęcia z Pijawką – jedyną na tyle głupią), zauważyłam na swoim ręczniku jakąś kopertę.

Wzięłam ją do ręki.

Hm, nie ma nadawcy. Za to z przodu jest moje imię wydrukowane na komputerze.

Rozerwałam kopertę i przeczytałam także wydrukowaną, krótką wiadomość:

*Spotkajmy się dziś o dziesiątej wieczorem, przy jeziorze.*

*Max*

Nie muszę chyba mówić, że mnie trochę zatkało.

Max napisał do mnie list! Sposób wypowiedzi, że tak powiem, pasuje do niego. Nigdy nie mówi zbyt dużo. Ale że chce się ze mną spotkać? A po co?

Nie żebym miała jakieś zastrzeżenia, o nie! Ja po prostu jestem ciekawa. Czy tylko z czystej uprzejmości odpowiada na moje nachalne „cześć”. A że pomógł mi wtedy, kiedy wyżywał się na mnie Peter i Debbie? Wtedy też robił to z uprzejmości?

Nie wiem, jak to jest, ale nigdy nie interesują się mną ci faceci, którymi ja się interesuję. To jakiś pech...

Spotkanie dzisiaj przy jeziorze... Pewnie chodzi mu o to miejsce, gdzie odbyło się tamto nieszczęsne przyjęcie, na które poszłam z Peterem... Zresztą nie znam innego miejsca. Wokół sam las...

Co mam zrobić? Pójść?

A zresztą, po co te pytania? To chyba oczywiste, że pójdę! Gorzej, że nie wiem, jak się wydostanę z domu bez wiedzy rodziców. Może przez kuchnię?

Rzeczywiście, wyszłam przez kuchnię. Chociaż muszę wam powiedzieć, że drogo mnie to kosztowało.

Gdy już się przebrałam... tak, zdążyłam i to wcale nie jest śmieszne... No więc, jak już się przebrałam i z butami w ręku wyszłam z pokoju, to na kogo omal nie wpadłam? Na swojego własnego ojca, który się musi snuć wieczorami po domu. Dobrze, że nie dostałam zawału, kiedy wyszedł nagle z ciemnego korytarza. W ostatniej chwili wskoczyłam do łazienki. Jakby nie mógł w tym momencie siedzieć w miejscu. Ale nie, jemu się zebrało na spacer po nocy! Bogu dzięki, że mnie nie zauważył... Następnym razem zejść po pergoli, bo bezpieczniejszego wyjścia nie widzę.

Jakoś w końcu wymknęłam się z domu. Czekał mnie dłuugi spacer (w końcu mój rower został przecież totalnie zniszczony), bo jakoś niestety nie potrafię tak łatwo znaleźć drogi po ciemku jak Max. A szkoda...

Byłam w adidasach, więc jakoś tam dotarłam. Szłam przez godzinę!!! No i tym razem nie zmarzłam, bo włożyłam kurtkę.

Taaak... pusty parking. Nigdzie nie ma Maksa. Ale z drugiej strony jeszcze nie ma dziesiątej.

Jest za pięć.

Oho, widzę jakieś światła. Może to jego auto?

Stałam w zasięgu reflektorów. Za samochodem, który trochę mnie w tym momencie oślepił, ukazały się... światła następnego. Więc to chyba nie jest jednak Max...

Lampy pogasły, a ja zobaczyłam mroczki przed oczami. A potem usłyszałam czyjś złośliwy śmiech. Otworzyłam oczy. Przede mną stała Debbie

w otoczeniu kilku cheerleaderek i sportowców. Petera nie dostrzegłam.

Ależ ja jestem głupia. Przecież to oczywiste, że zastawili na mnie pułapkę. Max w życiu by do mnie nie napisał takiego liściku. No, fajnie... Ciekawe, co mi chcą zrobić? Zaczęli mnie już okrażać.

Albo przed chwilą widziałam nożyczki w ręku którejś dziewczyny, albo mi się przywidziało. Oby mi się przywidziało.

– Pewnie zastanawiasz się, co ci zrobimy? – krzyknęła do mnie Debbie.

– Nie – odpowiedziałam spokojnie, mimo że w środku cała aż dygotałam.

– Zastanawiam się jak w najboleśniejszy sposób wybić ci zęby.

Wiem, wiem wpakuję się przez to w jeszcze większe kłopoty. Jednak dziewczyna nie wiedziała, co mi odpowiedzieć. Zaskoczyłam ją.

W końcu ocknęła się i zawołała:

– Łapcie ją!

Rzecz jasna, zaczęłam uciekać. Ale przed sobą miałam tylko jedną drogę – w stronę jeziora. Usiłowałam skręcić, ale cały czas ktoś mnie przeganiał i musiałam robić uniki. Po paru minutach osaczyli mnie przy samej linii wody, na plaży.

Zmoczyłam adidas, cholera...

– Teraz już nam nie uciekniesz – zaśmiała się Debbie i jej równie pustogłowe przyjaciółki.

– Co chcecie mi zrobić? – spytałam, usiłując grać na zwłokę. Nie wiem tak naprawdę, po co, ale...

– Najpierw obetniemy cię na łyso! – zawołała dziewczyna z nożyczkami.

Czyli zgadłam?

– Potem zabierzemy ci ubranie! – dodał jakiś chłopak.

O...

– Pomalujemy farbą.

...rany...

– Zrobimy zdjęcie.

...boskie...!

– I zostawimy tutaj, a zdjęcia rozwiesimy w całej szkole. Uciekam. To więcej niż pewne. Pytanie tylko: jak? Jedyna droga ucieczki prowadzi do wody. Super, czyli jednak całkiem zmoczę adidas...

– Ty to wymyśliłaś, czy ktoś musiał ci w tym pomóc? – spytałam jeszcze Debbie.

– Sama to wymyśliłam – odparła wściekła.

Niech mi ktoś wyjaśni, po co ja ją jeszcze bardziej wkurzam?

– Biercie ją! – krzyknęła w końcu Debbie, wskazując na mnie olbrzymim tipsem.

A niech to, nowiutkie adidas... Odwróciłam się na pięcie i wbiegłam do wody. Oczywiście oni wbiegli za mną. Ale kiedy woda sięgała mi już do pasa,

dali sobie spokój. Zatrzymali się w miejscu, gdzie była tylko po kolana.

– Boicie się, że się rozpuścicie? – zaśmiałam się.

– Nie – odpowiedziała Debbie. – Po prostu poczekamy, aż wyjdiesz.

I dopiero w tej chwili zauważyłam, że jestem w pułapce. Ekstra... i to w dodatku mokrej i zimnej pułapce. To się wkopałam...

Sportowcy rozsiedli się na maskach samochodów. Najwyraźniej rzeczywiście mieli zamiar czekać, aż wyjdę. Wspaniale, po prostu cudownie... Rozejrzałam się. Znikąd żadnej pomocy.

Lodowaty dreszcz przebiegł mi po plecach. Jak tak dalej pójdzie, to albo tu zamarznię i dostanę zapalenia płuc, albo poddam się i wyjdę.

– To jak?! – wykrzyknęła Debbie. – Siedzisz tam już pół godziny! Wychodzisz?

– Odwal się – warknęłam pod nosem i potarłam dłonią o drugą dłoń.

Okropnie mi zimno. Muszę się stąd wydostać. Ciekawe, czy kiedy zanurkuję, to złapie mnie skurcz? No cóż, nie dowiem się, jeśli nie spróbuję. Zaczęłam iść głębiej w wodę.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła wściekła Debbie.

– Idę się utopić, a co masz przeciwko temu?! – odkrzyknęłam hardo.

– Wracaj tu!!!

– A udław się pomponem!!! – zawołałam najgłośniejszym głosem, jak potrafiłam i zanurkowałam.

Początkowo przeżyłam lekki szok i zachłysnęłam się lodowatą wodą, ale zaraz wypłynęłam na powierzchnię i uspokoiłam oddech. Jest dobrze, chyba nie utonę. Tylko te dzinsy ciągną mnie cały czas w dół. Wzięłam zamach i spróbowałam płynąć kraulem. Jednak mokra kurtka nie była teraz wygodna, więc nie podniosłam za wysoko ramienia i tylko poszłam jeszcze głębiej pod wodę.

Po jakiejś minucie szamotania się pod powierzchnią wystawiłam głowę i zaczęłam się krztusić. O Boże, ja chyba jednak tonę!

– Wracaj tu!!! – krzyknęła znowu Debbie, ale tym razem jakoś tak histerycznie.

– Ta idiotka się utopi – przestraszył się jakiś chłopak. Oby tylko nie miał racji. Zebrałam w sobie jeszcze trochę siły i zaczęłam niemrawo płynąć. Skręciłam w bok, żeby jak najszybciej dostać się do brzegu, który otaczały prawdziwe chaszczki. Może mnie tu nie znajdą.

Dzinsy i kurtka coraz bardziej ciągnęły mnie pod wodę. A może to ja opadałam z sił? Znowu zanurzyłam się, połykając przy okazji dużo wody. Już myślałam, że to koniec, wierzcie mi, ale wiecie, co się stało? Idąc znowu pod powierzchnię, uderzyłam kolanami w dno! Byłam uratowana!!!

Bogu dzięki, że w tym miejscu jezioro jest tak płytkie!

Szybko wczołgałam się na kamienisty brzeg. Po chwili zaczęłam płuć

litrami wody, którą połknęłam. I właśnie w takich chwilach mogę dziękować za to, że Pijawka się nade mną znęca. Gdyby nie ona, za nic bym nie dopłynęła.

– Gdzie jesteś?!

– I tak cię znajdziemy!!!

– Utopiłaś się?!

To ostatnie pytanie wykrzyczała oczywiście Debbie. Boże, czy można być aż tak głupim? Przecież gdybym się utopiła, to Chybabym jej i tak nie odpowiedziała, no nie?

Ciężko oddychając, usiadłam na kamieniu i spojrzałam na drugą stronę jeziora. Nie wiem, jak to zrobiłam, ale przepłynęłam całą jego szerokość! Na drugim brzegu w świetle samochodowych reflektorów doskonale widziałam miotające się na wszystkie strony postacie. W panice usiłowali mnie znaleźć. Najwyraźniej mieli też ze sobą latarki, bo snopy światła zaczęły w następnej chwili przeczesywać krzaki.

– Będziemy na ciebie czekać!!! – Usłyszałam czyjś krzyk.

– Ale najpierw okrążymy jezioro!

Ciszę nocy przerwały ich nerwowe śmiechy i odgłosy silnika. No to fajnie... Nie mogę teraz obejść jeziora i dostać się do drogi, bo przecież mnie zobaczą. Jak tu zostanę, to też będzie po mnie. Światła latarek już powoli zbliżyły się z dwóch różnych stron. Wstałam. Genialnie, czyli muszę iść przez las. Zakład, że albo się zgubię, albo zjedzą mnie wilki.

W chwili, gdy to powiedziałam, niedaleko mnie rozległo się przeraźliwe wycie. Aż podskoczyłam.

Boże! To wilk!!!

Światła latarek zawahały się. Usłyszałam krzyki:

– Hej, tu są wilki! Spadamy stąd!

– A co z nią? – krzyknęła Debbie.

– Jeśli się utopiła, to jej problem, a przed wilkami też nie mam zamiaru jej ratować!

– Ale nie możemy jej tu tak zostawić! – powiedziała przerażona. To ona jednak jest człowiekiem?

– Przecież taki był plan! Mieliśmy ją tu zostawić!

– Ale nie z wilkami!

– Mówię, że spadamy stąd! Poczekamy przy drodze! Jeśli jest chociaż trochę inteligentna, to nie będzie się pchała do lasu, tylko trafi prosto na nas. Jasne?!

– Jasne – przytaknęła kwaśno Debbie.

No, dzięki, że mnie zostawiacie! Choroba, zostanę sama w lesie! A na dodatek tu są wilki! Dlaczego zdarza mi się to już drugi raz?! Życie jest wredne!

Wycie rozległo się tym razem z głębi lasu. Jeśli nie chcę wpaść prosto na

jakieś parszywe stado futrzaków, to muszę kierować się w stronę drogi. Matko, oczami wyobraźni zobaczyłam obrazy z mojego snu. A co będzie, jeśli on się spełni?! Sny się nie spełniają, prawda? Prawda?!

Powoli zaczęłam iść przed siebie, usiłując robić jak najmniej hałasu. Ale oczywiście, co chwilę się potykałam o korzenie albo nogi wpadały mi w jakieś dziury. Poza tym woda w moich adidasach tak głośno chlupała, że nawet głuchy by to usłyszał. Muszę jak najszybciej się stąd wydostać.

Swoją drogą, jaka ja jestem głupia... Od razu uwierzyłam, że Max chce się ze mną spotkać, i nawet niczego nie podejrzewałam. Jestem naiwna. I to bardzo...

Dlaczego Max nie lubi mnie tak, jak ja jego? To niesprawiedliwe. Co ja robię źle?

Życie jest po prostu okrutne. Zwłaszcza dla mnie.

Zatrzymałam się, bo zdałam sobie sprawę, że się zamyśliłam i troszkę zoczyłam z trasy. Na szczęście nie odeszłam zbyt daleko i pomiędzy drzewami widziałam jeszcze taflę jeziora. Tylko tego by brakowało, żebym się tu zgubiła, mokra, przerażona i przez nikogo niekochana. Bo rodzice się przecież nie liczą...

Otacza mnie idealna cisza. Sportowcy już odjechali. Pewnie czekają na mnie gdzieś przy drodze. Muszę przejść blisko pobocza, ale w cieniu drzew. Ciekawe, czy uda mi się minąć ich niepostrzeżenie?

Już miałam ruszyć, kiedy parę metrów od siebie usłyszałam jakiś szelest.

Jezu, to wilki! Szybko schyliłam się i złapałam w rękę jakąś gałąź leżącą na ziemi. Ja nie chcę umierać! Wzięłam zamach do tyłu, żeby w razie potrzeby mocno uderzyć, kiedy trafiłam gałęzią w coś znajdującego się tuż za mną.

– Chcesz mnie zabić? – usłyszałam pytanie i poczułam, że ktoś mnie łapie za rękę.

Przerażona odskoczyłam z krzykiem. I kogo wtedy zobaczyłam?

Za mną, a teraz raczej przede mną, stał sobie najspokojniej w świetle Max. Ubrany w czarny podkoszulek (nie zimno mu?) i czarne dzinsy całkiem niezłe zlewał się z tłem. Może tylko oczy jakoś tak mu świeciły w ciemnościach i przez to lepiej go było widać.

– Co ty tu robisz?! – spytałam oskarżycielsko.

– Ja? – zdziwił się.

– Nie, drzewo za tobą – warknęłam. – No jasne, że ty!

– Ja po prostu stoję – odpowiedział spokojnie i uśmiechnął się ironicznie.

– Właściwe jest raczej pytanie: co ty tu robisz, na dodatek cała mokra?

Jeszcze się ze mnie naśmiewa. Co ja w nim widzę?! Aha, no tak. To te oczy...

– Spaceruję, nie widać? – znowu odpowiedziałam wściekła. Boże, czemu ja się tak zachowuję? Jestem zła, bo widzi mnie w takim stanie. Tylko go do siebie zrażam.

– Kapałaś się w jeziorze? – spytał już, o dziwo, bez ironii.

– Nie, uciekałam – odpowiedziałam także spokojnie.

– Przed kim?

– Przed Debbie...

W tym momencie uśmiechnął się pod nosem.

– To pewnie była ta zasadzka?

– Taak... – mruknełam i zadrzałam z zimna. – Wiesz, nie miej mi tego za złe, ale chciałabym znaleźć się już w domu. Pozwól, że sobie pójdę.

Następnie ruszyłam przed siebie z największą godnością, na jaką było mnie teraz stać. Po chwili usłyszałam za sobą jego kroki.

– Idziesz w złą stronę – mruknął.

– W dobrą – odpowiedziałam. – Obejdę jezioro, a potem będę szła obok jezdnii.

– W takim razie nadłożysz dużo drogi. Twój dom jest jakiś kilometr w tamtą stronę – stwierdził, wskazując w prawo.

Zerknełam na gęstą linię drzew. Jak on to robi?

– Skąd wiesz? – spytałam.

– Mam dobrą orientację w terenie – mruknął wymijająco. – Zaprowadzić cię?

Stał naprzeciwko mnie, machając gałęzią. Przyjrzałam mu się. Podniósł, co prawda, ironicznie brew, ale wygląda na to, że mówi serio.

– A trafisz? – spytałam. Spojrzał na mnie jak na idiotkę.

– Dobra, dobra, tego pytania nie było – powiedziałam. – Prowadź. Ale wiesz, że tu są wilki, prawda?

W odpowiedzi mruknął coś niezrozumiałego.

– Jeden z nich wył niedawno. Słyszałeś? – znowu spróbowałam. A on znowu tylko mruknął.

– Jak to jest, że ja cię zawsze spotykam w lesie? Co ty tu robisz?

Teraz dla odmiany spojrział na mnie niechętnie.

– Ja ci powiedziałam, dlaczego jestem mokra.

– Miło z twojej strony – stwierdził krótko.

On jest niemożliwy. Nawet nie można go o nic spytać, bo od razu się zacina. Jest bardziej wkurzający niż moi rodzice, a to już jest sztuką, wierzcie mi.

– Czemu nie chcesz mi powiedzieć?

– Margo, bądź cicho.

– Usłyszałeś coś? – przestraszyłam się. – Wilka?! Naprawdę zrobiłam to mimowolnie. Przysięgam! Po prostu przez czysty przypadek złapałam go za rękę.

Spojrzał zdziwiony najpierw na mnie, a potem na swoją rękę, którą kurczowo ścisnąłam, usiłując dostrzec coś pomiędzy drzewami.

– Boisz się wilków? – spytał, a ja zrozumiałam, co przed chwilą zrobiłam. Od razu go puściłam.  
– Ja? Nie. Wcale nie.  
– To czemu złapałaś mnie za rękę? – spytał i uśmiechnął się.  
– Bo... bo miałam ochotę – odpowiedziałam i ugryzłam się w język. Matko, jeszcze bardziej się pogrążam.  
– A ty się nie boisz? – spytałam szybko.  
– Wilków? – zdziwił się. – Nie. One nie atakują bez potrzeby. Ty też nie masz się czego bać.

Jasne...

– Ale na serio, Max. Co ty robisz sam w lesie o tak późnej godzinie?  
– Spaceruję – odpowiedział i uśmiechnął się.  
A teraz jeszcze po mnie powtarza. A niech to. Nie wyciągnę z niego tego, o co mi chodzi.

– Nie możesz mi powiedzieć, co naprawdę tu robisz?

– Przecież mówię. Spaceruję.

Gdyby tu była jakakolwiek ściana, to chyba zaczęłabym walić w nią głową...

– A po co? – spytałam.

– A po co chcesz wiedzieć?

– Tak sobie – warknęłam pod nosem.

Spojrzał na mnie tymi swoimi niesamowitymi oczami i powiedział:

– Margo, jak nie mogę spać, to spaceruję. I to jest prawda. Nie zmyślał więc? A to dobre... Przyznaję, zażył mnie. Przez następnych dziesięć minut szliśmy w milczeniu. Już wolę nic nie mówić i przynajmniej się nie zbłąźnić. Max potrafi zapędzić człowieka w kozi róg.

– Jakim sposobem Debbie zwabiła cię nad jezioro? – spytał tak niespodziewanie, że aż drgnęłam.

– Eee... zostawiła mi taki jeden liścik – powiedziałam cicho. Dobrze, że jest ciemno, bo zaczynam się czerwienić.

– A dokładniej?

– Oj, ktoś prosił mnie w nim o spotkanie – powiedziałam niechętnie.

– Kto? Peter?

– On? – zaśmiałam się. – W życiu bym nie poszła, gdybym myślała, że to od niego.

– To kto?

– Nieważne – stwierdziłam tylko.

Jasne, już mu mówię, że myślałam, że to od niego. Miałby mnie chyba za kompletną wariatkę. Mogę się założyć, że nie zbliżyłby się do mnie nawet wtedy, gdyby ktoś mu za to zapłacił.

– Znam tego kogoś? – Max naciskał dalej.

– Może...

– Więc kto to?

Stwierdziłam, że po prostu będę milczeć, tak jak on.

– Ja ci powiedziałem, że spaceruję.

– Hej, ściągasz ode mnie te dziecinne odzywki – powiedziałam.

– Prawda.

Człowiek aż nie wie, co ma odpowiedzieć. Max potrafi wprawić w zakłopotanie...

– No, powiedz – zażądał.

Zauważyliście, że zaczął się odzywać? A taki był z niego milczek. Powoli zaczyna mi tego brakować...

– Nie spodoba ci się odpowiedź – powiedziałam.

– Zobaczymy.

Sam się prosi. Powiedzieć mu i zobaczyć, jak zareaguje? Czy bezpieczniej będzie, jeśli tego nie zrobię?

– Dobra – westchnęłam. – Myślałam, że to od ciebie.

I właśnie po tym zdaniu zapadła taka nieprzyjemna cisza. Max nawet niczego nie mruknął. Po prostu dalej szedł przed siebie z kamiennym wyrazem twarzy.

– A nie mówiłam, że ci się nie spodoba – powiedziałam cicho bardziej do siebie niż do niego.

Max to jednak usłyszał.

– Dlaczego uważasz, że miałoby mi się to nie spodobać? Spojrzałam na niego zdziwiona. Do czego on zmierza?!

– Co przez to rozumiesz? – palnęłam.

– A muszę coś rozumieć? – spytał, patrząc mi prosto w oczy. I właśnie w tym momencie znaleźliśmy się przy ogrodzeniu na tyłach mojego domu. Strasznie szybko przeszliśmy ten kilometr. O wiele za szybko.

– Dalej już chyba trafisz – stwierdził Max i odwrócił się na pięcie. – Dobranoc.

– Miłego spaceru – krzyknęłam za nim, ale on już zniknął pomiędzy drzewami.

Zupełnie jakby rozpułynał się w powietrzu...

## 9.

Przemknęłam szybko przez pogrążony w ciszy dom i weszłam do swojego pokoju. Matko, wreszcie mogę zdjąć z siebie te mokre ciuchy! Włosy już mi wyschły, ale i tak wezmę kąpiel. Ciepłą kąpiel z bąbelkami. Tak, to jedyna rzecz, na jaką mam teraz ochotę.

Szybko zaczęłam zrzucać z siebie ubranie. Kurtkę można dosłownie wyżymać. Jak mama to zobaczy, to chyba mnie zabije. A adidasy? Brak słów, po prostu brak słów...

Hm, ciekawe, o co tym razem chodziło Maksowi? Bo przecież musiało mu o coś chodzić. Ale to niemożliwe, żeby on mnie lubił w ten sposób, co? To tylko moje głupie marzenia. Ale by było fajnie, gdyby mnie zaprosił na randkę... Ech...

Właśnie miałam zdjąć bluzkę, kiedy usłyszałam jakiś dziwny dźwięk. Eee, to pewnie gałąź uderza w szybę.

Znowu coś zastukało. Co jest, jak rany?! Znowu drzewo?

Zaraz! Drzewa rosną dopiero za ogrodzeniem, co więc to może być? Stałam i zaczęłam nasłuchiwać. Nie wiem czemu ale nagle przypomniała mi się scena z *Krzyku*. Rany, dobrze, że nie mam chłopaka, nie muszę się przynajmniej martwić, że znajdę go związanego na werandzie. Tak przy okazji, nie powinnam chyba więcej oglądać horrorów – źle wpływają na moją psychikę, że nie wspomnę już o tym koszmarze, który mnie nawiedza co parę nocy.

Dźwięk powtórzył się. Brzmi to tak, jakby ktoś rzucał czymś w szybę. Hm, na grad jest jeszcze trochę za wcześnie, poza tym hałas byłby większy.

Podeszłam do drzwi balkonowych i otworzyłam je. Miałam w tym momencie duszę na ramieniu – uważam, że należy mi się medal za odwagę, bo naprawdę chciałam już udać, że nic się nie stało, i po prostu wziąć kąpiel.

No więc wyjrzałam. Aż się zatrzymałam na widok tego, co zobaczyłam. Podłoga mojego balkoniku cała była zasypana mnóstwem małych kamyków.

Skąd one się wzięły? No nie, to już przechodzi ludzkie pojęcie. Zdziwiona wyjrzałam za barierkę. I nie zgadniecie, co dostrzegłam przez ciemność.

Na dole, pod moim balkonem stał Max! O ile wcześniej byłam zdumiona, o tyle teraz całkowicie mnie zatkało. Stał tam jak gdyby nigdy nic i szukał na ziemi małych kamyków, którymi mógłby rzucić w moje okno. Przechyliłam się jeszcze bardziej.

Zauważył mnie dopiero, kiedy się podnosił.

– Chwilę trwało, zanim usłyszałaś – zawołał cicho z dołu i wysypał z ręki małe kamyki.

– Co tu robisz? – spytałam zdziwiona do granic możliwości i wychyliłam

się jeszcze bardziej.

– Stwierdziłem, że muszę ci coś powiedzieć – odparł najspokojniej w świecie i zaczął wspinać się po pergoli.

– Co? – spytałam, gdy już stanął obok mnie (a nie mówiłam, że każdy może tu wejść – a tym bardziej złodziej? Ale kto mnie słucha...).

– Coś przemyślałem – mruknął i zerwał jedną z róż wijących się po pergoli. – Margo, umówisz się ze mną na randkę?

A niech mnie!!! Czyżbym parę minut temu nie powiedziała tego samego? Spełniło się! Ja nie mogę! Jak koncert życzeń!!!

Stałam tak, wpatrując się w niego z otwartymi ustami. Nie mogłam uwierzyć. Max, ten Max, za którym od tamtego pierwszego spotkania w lesie wodziłam (szczerze przyznam) maślanymi oczami, chce umówić się ze mną na randkę! Rany! Więc jednak Bóg istnieje!!!

Na szczęście w miarę szybko się opanowałam, to znaczy przypomniałam sobie, że posiadam coś takiego jak język, i odpowiedziałam szalenie błyskotliwie:

– Eee, jasne – wzięłam różę i (o zgrozo!) zaczerwieniłam się.

Matko! On pyta mnie, czy się z nim umówię, a ja odpowiadam „eee, jasne”. Gdzie ja mam głowę?! Czemu nie powiedziałam czegoś innego??? Jakoś bardziej błyskotliwie?! Przecież mogłam odpowiedzieć na przykład tak: „Ależ oczywiście. Swoją postawą wobec Petera i tym, że uratowałeś mi kiedyś życie, podbiłeś moje serce. Jestem ci dozgonnie wdzięczna i cieszę się, że będziemy odtąd razem”.

Oczywiście brzmiałoby to trochę melodramatycznie, ale wszystko byłoby lepsze od: „eee, jasne”!!! „Eee, jasne” brzmi, jakbym byłam niedorozwinięta umysłowo! Żebym jeszcze chociaż nie mruknęła tego kompromitującego „eee”...

– Może pójdziemy jutro do kina? Zaczęli grać jakiś nowy film – powiedział Max.

– Z chęcią – odpowiedziałam, wpatrując się w te jego oczy. No i w tym momencie zrobiło się jakoś tak niezręcznie. Ja stałam jak kołek i gapiłam się na niego, a on, no cóż, on stał jak kołek i gapił się na mnie...

Zaczerwieniłam się jeszcze bardziej (jeśli to było w ogóle możliwe) i bąknęłam:

– Dziękuję za to, że mnie dzisiaj odprowadziłeś, i za to, co wtedy zrobiłeś, wiesz z Peterem.

– Nie ma sprawy. I tak go nie lubię – mruknął i uśmiechnął się pod nosem. – Poza tym, eee... zresztą już nic.

– Och, tak – westchnęłam, a ta cisza znowu zapadła.

Zaczęliśmy się czuć coraz bardziej niezręcznie i w pewnym momencie Max powiedział:

– Wpadnę po ciebie jutro o ósmej wieczorem, okay?  
– Dobrze – odparłam.  
– Chyba już pójdę – mruknął Max i pochylił się w moją stronę. Tak, tak!  
Pocałuj mnie! Pocałuj!!! POCAŁUJE!!! Zaraz przeżyję swój pierwszy (oj, no dobrze – drugi) pocałunek!

Przymknęłam oczy w oczekiwaniu, a on...  
...cmoknął mnie w policzek. A niech to! Myślałam, że pocałuje mnie w usta!

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Max przerzucił już nogi przez barierkę, ale zanim zszedł, mruknął:

– Do zobaczenia jutro.  
– Do zobaczenia – odpowiedziałam i przechyliwszy się przez balustradę, patrzyłam, jak schodzi, a następnie znika w ciemności.

Stałam tak jeszcze chyba jakieś pół godziny, ściskając różę i patrząc na rozgwieżdżone niebo. Życie jest piękne – stwierdzam to z czystym sumieniem.

Wiecie co? Jeszcze nigdy tak się nie denerwowałam. No, może wtedy w lesie byłam bliska załamania nerwowego, ale teraz to już przechodzi ludzkie pojęcie.

Myślałby kto, że rodzice powinni się cieszyć, że wreszcie się zakochałam, ale gdzie tam. Na początku byli pozytywnie nastawieni, ale potem...

– Zaprosił cię ten miły chłopiec, Peter? – spytała mama.  
– Eee, nie. Zaprosił mnie Max Stone.  
– A kto to? – spytał tym razem tata.  
– Pamiętasz tego chłopaka, który podwiózł mnie motocyklem do domu?  
Wcześniej pisałam z nim ten esej o zabytkach.

– Motocykl?! Nie pojedziesz nigdzie motocyklem! To niebezpieczne – powiedziała kategorycznie mama. Niesamowite, że z dwóch zdań powiedzianych najciszej jak się dało wyłowiła tylko to jedno słowo, no nie? To się nazywa „instynkt łowczy matki”, gorszy niż poniżający „instynkt macierzyński w miejscach publicznych”...

– Ale Max na pewno nie przyjedzie motocyklem. Błagam, niech to będzie prawda! Proszę!!!

– A co się stało z tamtym Peterem? – chciał wiedzieć tata.  
– A co się miało stać? – spytałam wymijająco.  
– Nie chodźcie ze sobą?  
– Nie. On mnie tylko zaprosił wtedy na przyjęcie.  
– Aha. Wiesz, z psychologicznego punktu widzenia częste zmiany partnerów prowadzą w przyszłości do...

Co za koszmar!!!

Na szczęście pozwolili mi na wyjście. Oczywiście jeśli tylko Max nie

przyjedzie motorem.

Przerzuciłam całą zawartość szafy i nie mogłam się na nic zdecydować. W końcu wybrałam czarne dzinsy i srebrną bluzkę. Ale i tak nie byłam pewna, czy się znowu nie przebrać.

Cały czas też prześladowała mnie myśl: co będzie, jeśli Max przyjedzie na motocyklu? Gdyby tak było, rodzice za żadne skarby nie pozwoliliby mi z nim jechać. A to byłby koniec mojego życia!!!

Proszę! Proszę!!! Niech Max przyjedzie samochodem!!!

Gdy dochodziła ósma, nie mogłam już usiedzieć w miejscu. To ciekawe, ale jak miał po mnie przyjechać Peter, to w ogóle się nie denerwowałam. A teraz? Już chyba po raz setny podchodzę do okna.

Nagle moje serce podskoczyło. Pod nasz dom podjechał granatowy samochód! I kto z niego wysiadł? Tak!!! Max!!! Ale mi ulżyło. Mówię wam.

Z rodzicami poszło nawet gładko:

- Gdzie idziecie?
- Do kina.
- Kiedy wrócić?
- Po dziesiątej.
- To twój samochód?
- Nie, pożyczyłem go od mojego ojca.
- Od jak dawna masz prawo jazdy?
- Od roku.

Ta odpowiedź chyba ich nie zadowoliła.

- Ile masz lat?
- Siedemnaście.

Wyszliśmy dopiero pół do dziesiątej. Ale wyszliśmy!!! I wiecie co? Kiedy wsiadałam do samochodu Maksa, zauważyłam, że na tylnym siedzeniu leży gitara w pokrowcu. Po kształcie sądząc, albo klasyczna, albo akustyczna. Ciekawe, po co Max jeździ z gitarą?

W drodze do kina nie bardzo wiedzieliśmy, o czym mamy rozmawiać, ale mimo wszystko ta cisza była bardzo przyjemna.

Spóźniliśmy się trochę, więc szybko zostawiliśmy samochód na parkingu i ruszyliśmy w stronę wejścia. Gdy szliśmy obok siebie, Max wziął mnie za rękę. Poczulałam dreszcze na plecach. Spojrzałam na niego, a on w tym samym momencie zerknął na mnie i uśmiechnął się. Moje serce zrobiło się lżejsze i odwzajemniłam uśmiech. Och... że tak powiem.

Właśnie znaleźliśmy się przy drzwiach, gdy zza rogu wyszedł kumpel Maksa z jakąś dziewczyną, także należącą do metalowców. Poznałam go, bo ma charakterystyczną urodę – lekko skośne oczy i czarne włosy, ale nie jest Chińczykiem, może Eskimosem?

Przystanąli obok nas i ciemnowłosy chłopak powiedział, patrząc na

Maksa:

- Co ty robisz?!
- Idę do kina – mruknął niechętnie Max.
- Z nią?!
- Tak – odpowiedział lodowato.
- Przecież ona nie jest jedną z nas! – warknął tamten.
- No to co – wycedził Max.
- Chyba nie rozumiesz, o co mi chodzi.
- Doskonale rozumiem, ale nic mnie to nie obchodzi. Spieszymy się – mówiąc to, wziął mnie za rękę i wyminął ich. Dziewczyna spojrzała na mnie wrogo. – Porozmawiamy o tym później.
- Żebyś wiedział! – warknął tamten i odwrócił się. Max pociągnął mnie za ramię i podeszliśmy do kasy.
- Przykro mi, ale seans już się zaczął. Musicie poczekać na następny – powiedziała bileterka.
- No cóż, może w takim razie... pospacerujemy? – zaproponował Max.
- Dobrze – powiedziałam, a następnie spytałam, bo nie mogłam się powstrzymać: – Kto to był?
- To Aki i Adrienne, znajomi z mojej paczki – mruknął. Więc to jest Aki? Ten Aki? A ja myślałam, że Iv zakochała się w jakimś sportowcu!
- To znaczy... Aki nie wygląda źle, to muszę przyznać, chociaż jest w nim coś dziwnego. Jak by to powiedzieć – wygląd ma taki raczej mroczny. Te oczy i czarne włosy... O co mi chodzi? No, jak taki na ciebie patrzy, to masz wrażenie, że ma zamiar wyciągnąć zza pleców siekiere i cię zaatakować. Po prostu jest ponury i gburowaty!
- Muszę powiedzieć Ivette, że nie powinna zawracać nim sobie głowy.
- Ruszyliśmy z Maksem w stronę znajdującego się niedaleko parku. Spacerowaliśmy w ciszy, podziwiając piękno drzew oświetlonych blaskiem księżyca. Było bardzo romantycznie, ale mnie cały czas prześladowała wcześniejsza rozmowa z Akim, co niestety psuło cały efekt.
- O co chodziło Akiemu? – wreszcie nie wytrzymałam.
- O nic – mruknął Max.
- Ale czemu powiedział, że nie jestem jedną z was?
- Eee, chyba chodziło mu o to, że nie należysz do naszej grupy.
- Przecież ja bardzo chętnie się do was przyłączę. Co prawda, od metalu wolę rocka, ale...
- Margo – przerwał mi Max. Przystanął, wziął moje dłonie w swoje ręce i spojrzał mi prosto w oczy. – Mnie nie obchodzi, co mówi Aki. Niech sobie gada, co chce. Jeżeli mu się nie podoba, że ze sobą chodzimy i że jesteś moją dziewczyną, to jego problem. Musi to jakoś przeżyć – dodał i pochylił się w moją stronę, a potem delikatnie dotknął mojego policzka.

Poczułam, jakby czas nagle stanął w miejscu, jakby cały świat przestał istnieć. Była tylko ta jedna chwila, w której Max pochylił się i pocałował mnie prosto w usta..

Tak! W usta!!! A na dodatek powiedział, że jestem jego dziewczyną! Czyli: jesteście parą!!! Jeeeeest!!!

Poczułam, jak coś mi się przewraca w żołądku, a po plecach przebiega dreszcz. Ale to było bardzo przyjemne uczucie. Chciałabym, żeby ta chwila trwała wiecznie, ale ku mojej rozpaczy Max oderwał się ode mnie i odsunął trochę.

Przestraszyłam się, że może zrobiłam coś źle i nie spodobało mu się, w końcu to był mój pierwszy pocałunek. Ale Max tylko powiedział:

– Bardzo cię lubię, Margo.

Ten wieczór był cudowny. Rozmawialiśmy o wszystkim – dzieląca nas tama ciszy jakby runęła. Dowiedziałam się, że Max też lubi The Calling. To wspaniale! Poza tym mamy dużo wspólnych zainteresowań. No i okazało się, że Max jest bardzo rozmowny, jeśli tylko chce.

Obeszliśmy park parę razy i znowu zaczęliśmy zbliżać się do parkingu. Przypomniało mi się, że Max miał w samochodzie gitarę.

– Po co ci gitara? – spytałam.

– Grałem rano z chłopakami – odpowiedział.

– To ten zespół, o którym mi kiedyś mówiłeś? – zainteresowałam się.

– Nie, po prostu czasem gram ze znajomymi.

– Czyli masz zespół.

– Nie, Margo – odpowiedział i zaśmiał się. – Jesteś uparta, wiesz?

– Wiem – odparłam i uśmiechnęłam się. – Też trochę gram na gitarze. Ale raczej dopiero się uczę. Ogólnie to słabo mi idzie. Za nic nie potrafię zagrać na barowych chwytach. Muszę robić przerwy pomiędzy akordami.

– Też miałem z tym kiedyś kłopot – wyznał. – Ale można się tego nauczyć. Jeśli chcesz, to mogę dać ci kilka lekcji.

– Jasne – ucieszyłam się. – A teraz mi coś zagrasz?

– Jakaś moją piosenkę?

– Pisziesz piosenki?

– Tak – mruknął zakłopotany i najwyraźniej zły na samego siebie, że się wygadał.

– Zaśpiewaj mi coś! – zażądałam i uwiesiłam mu się na ramieniu.

– No dobrze – odpowiedział niechętnie.

Podeszliśmy do jego samochodu. Max wziął gitarę i usiedliśmy na ławce kilka metrów dalej. Max lekko uderzył w struny i już miał zacząć grać, kiedy powiedział:

– Chciałbym cię tylko ostrzec, że mogę trochę fałszować. Przyzwyczaiłem się do elektryka.

– Nie ma sprawy – odparłam.

On gra na elektryku! Mam chłopaka, który gra na gitarze elektrycznej! Ciekawe, czy nauczy mnie na niej grać?

W tym momencie Max szarpnął za struny i zaczął śpiewać mocnym, ale lekko schrypniętym głosem. Nie pamiętam całego tekstu, ale wrył mi się w pamięć refren. Brzmiał on mniej więcej tak:

*Marzenie, które dręczy serce,  
Sprawia, że drżą mi ręce.  
Jedno pragnienie:  
Spotkać cię na jawie...*

Kiedy słuchałam tej piosenki, myślałam, że czas znowu przystanął. Była cudowna. Rany, jakie ja mam szczęście – spotykam się z takim romantycznym facetem!

Niestety, piosenka się skończyła i umilkły ostatnie dźwięki gitary.

Cisza bez tej romantycznej melodii wręcz drażniła.

– Piękna – westchnęłam, gdy skończył grać.

– Nie tak piękna jak ty – odparł i spojrzał mi prosto w oczy, a ja poczułam, że się czerwienię.

Następnie zaczął mi pokazywać chwyt barowe. Nie powiem, żebym okazała się pojętną uczennicą... Ale i tak było genialnie!

Gdy zaczęła się już zbliżać dziesiąta, poszliśmy do samochodu. Max odwiózł mnie do domu i zanim wysiadłam, jeszcze raz pocałował.

– Do zobaczenia jutro – powiedział. – Musimy to jak najszybciej powtórzyć i może w końcu obejrzymy kiedyś ten film.

– Z chęcią – odpowiedziałam i roześmiałam się.

Kiedy otwierałam drzwi, usłyszałam, jak włącza silnik i odjeżdża. Czekał z tym, aż wejść do domu. To było miłe z jego strony.

Kiedy weszłam do saloniku, zobaczyłam, że tata śpi w bardzo niewygodnej pozycji na kanapie, a mama udaje, że spokojnie czyta czasopismo. Skąd wiedziałam, że udaje? No, bo trzymała je do góry nogami – widocznie chwilę wcześniej stała w oknie.

– I jak było? – spytała.

– Było wspaniale – zanuciłam i tanecznym krokiem wbiegłam po schodach do swojego pokoju.

Nie mogłam powstrzymać euforii. Było lepiej niż wspaniale. Słowa nie potrafią opisać dzisiejszego wieczoru!

Włączyłam The Calling i zaczęłam głośno śpiewać. Po prostu musiałam dać upust mojej radości. Musiałam... A potem zadzwoniłam do Iv.

– Cześć – powiedziałam, gdy tylko odebrała.

- I jak było?! – od razu przeszła do konkretów.
- Ach... – westchnęłam głośno.
- Aż tak?
- Aż tak...

Następnie streściłam jej przebieg dzisiejszej randki. Pomyślałam, że miałam naprawdę olbrzymie szczęście, że Debbie mnie nienawidzi i zwabiła mnie wtedy do lasu! To wszystko dzięki niej. Gdyby nie ona, to nie chodziłabym z Maksym! Ciekawe, jak w poniedziałek zareaguje na mój widok. Mam nadzieję, że długo zadręczała się tym, czy przypadkiem się nie utopiłam. A może jeszcze się na niej zemszczę?

W każdym razie dzisiejszy wieczór był zdecydowanie najlepszy w całym moim dotychczasowym życiu.

## 10.

Następnego wieczoru, już po basenie, bo nie ma poniedziałku bez Pijawki, siedziałam w pokoju Ivette. Miałam nocować u niej. Tak jak podejrzewałam, jej pokój wyglądał tak, jakby mieszkała tu lalka Barbie.

Koszmar. Patrzysz w prawo – jasnorożowa ściana, patrzysz w lewo – łóżko przykryte różową narzutą, pod nogi – dywan w różowe różyczki, naprzeciwko – ciemnoróżowe zasłony. Aż chce się człowiekowi krzyknąć!!! A wszystko było tak przesłodzone, że aż się robiło niedobrze.

Na szczęście w niektórych miejscach było trochę normalniej. Całą jedną ścianę zajmowały wielkie plakaty piosenkarzy, głównie Latynosów, jak zauważyłam. Ale nie było tam plakatu The Calling – poważny błąd. Trzeba to będzie naprawić. Poza tym Ivette chyba rzeczywiście się zmienia, a przynajmniej stara się, bo w końcu przemałowała ten swój samochód.

Jest więc nadzieja, że może za jakiś czas zmieni i wystrój pokoju i zawartość swojej szafy.

Jeszcze raz dokładnie opowiedziałam jej, co się działo na mojej wczorajszej randce. Tak się wzruszyła („bo Max jest taki romantyczny”), że aż musiała użyć chusteczki. Ech, zgadzam się z nią, Max jest wspaniały.

– Ciekawe, o co chodziło Akiemu, jak mówił, że nie jesteś jedną z nich – zastanowiła się.

– Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to – odpowiedziałam.

– Ale mnie owszem. Spróbuję się czegoś dowiedzieć – powiedziała i zamyśliła się.

– Rób, co chcesz – odparłam i znowu zaczęłam przeżywać w myślach wczorajsze wydarzenia.

Dzisiaj rano, gdy przyjechałam do szkoły, Max czekał na mnie przed wejściem i pocałował w policzek na powitanie. Do szkoły przywiózł mnie tata, a wrócić miałam z Ivette, ale wymusiłam na niej, że nie piśnie słowa moim rodzicom o tym, że to Max mnie podwiózł do domu, na motocyklu. Ach, strasznie fajnie jest być z chłopakiem, który na dodatek ma własny motor...

Już nie mogę się doczekać naszej następnej randki. Max znowu zaprosił mnie do kina, tym razem w sobotę wieczorem, w końcu przegapiliśmy ten film, no nie? To już pojutrze. Już pojutrze!

Uprzedziłam Maksa, że moi rodzice nie tolerują jego motoru, więc nie powinno być żadnych problemów.

Tylko... w co ja się ubiorę? Znowu muszę przejrzeć zawartość szafy. To może być pracochłonne, chyba poproszę Ivette, żeby mi pomogła. A jeśli zaproponuje mi coś różowego...?

Na razie jednak nie przejmowałam się tym. Po prostu leżałam na łóżku Iv

i wciąż wspominałam tamten wieczór.

– Aki jest chyba fajny, no nie? – bąknęła nieśmiało Ivette, momentalnie ściągając mnie na ziemię.

– Że co? – spytałam głupio.

– No, Aki. Mówię, że jest fajny – powiedziała cicho, czerwieniąc się.

– Ten gbur? – nie mogłam zapanować nad bezgranicznym zdumieniem. – Przecież mówiłam ci, co nam wtedy powiedział. I on ci się nadal podoba?

– Eee, w zasadzie – zaczęła – może...

Litości! I to podobno ja mam porąbany gust?

– Przecież on jest, on jest... – szukałam właściwych słów – ...dziwny.

– Twój Max też się tak zachowuje. Chyba nie zaprzeczysz?

– powiedziała z ponurą miną.

Że co? Obraża mojego chłopaka?! Mojego chłopaka??? No proszę, już się kłócę z moją najlepszą i jedyną przyjaciółką. I to przez kogo? Przez chłopaków. Paranoja. Że też coś takiego nadweręża naszą przyjaźń.

– No dobra – rzuciłam pojednawczo. – Nie twierdę, że Max zachowuje się tak całkowicie normalnie, ale przecież nikt nie jest doskonały. – Widząc jej minę, zapytałam jeszcze: – Dlaczego Aki ci się podoba?

– Czy ja wiem... – westchnęła. – No dobra, nie wiem. A dlaczego tobie podoba się Max?

– Szczerze? – zaśmiałam się. – Nie mam zielonego pojęcia. Chyba za całokształt – dodałam i obie wybuchnęłyśmy niepoohamowanym śmiechem.

– Jak sądzisz, Aki mógłby zwrócić na mnie uwagę? – spytała, gdy się już uspokoiłyśmy.

– Nie wiem, ale mówiłam ci, jak zareagował, kiedy zobaczył mnie z Maksem. A przecież ty też nie jesteś jedną z nich. Cokolwiek by to miało oznaczać.

– Muszę się dowiedzieć, o co mu wtedy chodziło – powiedziała zdecydowanie, a potem nagle zaproponowała: – Może pójdziemy do kuchni coś zjeść?

Iv i jej rodzinka jedzą strasznie dziwne potrawy. Wiem, że pochodzą z Francji, że do Stanów przeprowadzili się cztery lata temu, a do Wolftown dopiero na początku tego roku szkolnego. Tata Ivette jest podobno jakimś dyplomata. Poza tym są chyba bardzo bogaci, bo kiedyś, jak zostałam zaproszona do nich na obiad, zaproponowali mi kawior. Tak, tak, kawior. Już kiedyś tego świąstwa próbowałam i muszę powiedzieć wprost:

jest obrzydliwe. Nic więc dziwnego, że wtedy na obiedzie zareagowałam trochę gwałtownie.

– Kawior jest pyszny, spróbuj – usiłowała mnie przekonać Iv.

– To są rybnie jajka – odpowiedziałam, ledwie powstrzymując obrzydzenie. – Dzięki, ale nie.

- Ale to jest naprawdę bardzo smaczne.
- To są rybie jajka.
- Na pewno ci nie zaszkodzą, no weź.
- To są rybie jajka – wycodziłam i wtedy wreszcie dała mi spokój.

Nie muszę chyba mówić, że było mi niedobrze, a Ivette się na mnie obraziła?

No cóż, w każdym razie teraz też wołałam nie ryzykować i powiedziałam:

– Nie, dzięki, nie jestem głodna. Ale jeśli ty chcesz coś zjeść, to się nie krępuj.

Francuska kuchnia jest wstrętna. Nie chciałam w tym momencie obrazić jakichś jej zwolenników, ale ja naprawdę nie mam żadnych miłych doświadczeń z nią związanych.

Następne dwa miesiące były jak najpiękniejszy sen, jaki kiedykolwiek miałam. Randki z Maksem, spacer przy świetle księżycy, wspólna jazda na motocyklu. Ach, tylko żyć i nie umierać...

Zmusiłam w końcu Maksa, chociaż wymagało to ode mnie olbrzymiego wysiłku (nie rozumiem, czemu tak protestował), żeby mnie nauczył prowadzić motor. Poza tym postanowiłam zrobić wreszcie prawo jazdy.

Nawet dość szybko załapałam, o co w tym wszystkim chodzi. Problem w tym, że wciąż nie potrafię odróżnić hamulca od gazu, ale to chyba drobiazg, prawda? No cóż, przyznaję, rower jest jednak trochę łatwiejszy do prowadzenia niż motor. Poza tym motocykl jest strasznie ciężki. Jak go przewróciłam (przypadkiem, przysięgam!), to nie mogłam go podnieść. Wiem, jak to brzmi: „przewróciłam motocykl”, ale to jest możliwe, zapewniam was.

Szkoda tylko, że po tym, jak wjechałam po raz trzeci na drzewo, Max zaproponował, że może jednak najpierw nauczę się jeździć samochodem. Następnie dodał, że ponieważ on nie ma samochodu, a jego tata mu nie pożyczy swojego, nie będzie mógł mnie uczyć.

Ale ja naprawdę nie wiem, jak to się dzieje, że zawsze wjeżdżam na drzewo. Motocykl jakoś tak sam mi skręca, a przecież staram się trzymać kierownicę prosto!

Na szczęście maszynie nic się nie stało po tych moich drobnych wpadkach. No i przeżyłam wiele wspaniałych godzin, siedząc przed Maksem na siodelku i usiłując zrozumieć, jak prowadzi się motor.

Wiecie, Max siedział za mną i przytrzymywał mi ręce na tych... na tych... rączkach. Nie mogłam zapamiętać, którą w którym momencie przyciskać. A jak się pochylał, to jego policzek był tuż obok mojego!!!

Nie rozumiem tylko, czemu rodzice robią mi takie awantury o to, że niby za dużo czasu spędzam z Maksem!

- Opuścisz się w nauce! Przecież nie masz kiedy się uczyć.

Eee, jak na razie złapałam tylko jedną trójkę, a poza tym mam same piątki i czwórki. Nie ma się czym przejmować. Uważam też, że jestem wręcz genialna, bo tamtą trojkę dostałam z niezapowiedzianej kartkówki!

Zresztą to jest trójka z historii, a każdy, kto mnie zna, wie, że nie mam pamięci do dat. W końcu od czegoś są encyklopedie i leksykony. Zawsze można tam zajrzeć i sprawdzić interesującą nas datę, po co więc uczyć się ich na pamięć? Zresztą nie sądzę, żeby kiedykolwiek przydała mi się informacja, kiedy umarł Kennedy, no nie? W końcu, czy ja biorę udział w teleturniejach?

Jedyną osobą, przez którą nie mogłam osiągnąć pełni szczęścia, była Pijawka. Przyczepiła się do mnie jak rzep i zmusza mnie, żebym jeszcze więcej ćwiczyła, bo chce, abym w czerwcu wzięła udział w jakichś głupich zawodach. Jak tak dalej pójdzie, to będę miała bary jak jakiś facet! Nie chcę tyle ćwiczyć!!! To okropna harówka!

Poza tym naprawdę nie mogę się jej pozbyć. Ciągle mnie zaczepia na przerwach i przypomina dwadzieścia razy dziennie, żebym nie zapomniała przyjść na trening. Podejrzewam, że to dlatego, że raz zwiąłem, a potem usiłowałam jej wmówić, że zapomniałam.

Mimo to moje szczęście trwałoby zapewne nadal, gdyby pewnego dnia nie podszedł do mnie Aki i nie zażądał:

– Zostaw Maksa w spokoju!

– Że co? – spytałam.

O co tu chodzi? Odbiło mu do reszty, czy co?

– Nie jesteś jedną z nas, więc daj mu spokój. Bo inaczej może cię spotkać coś nieprzyjemnego – warknął.

– Że co?! – znowu spytałam, nie wiedząc, co mam powiedzieć.

On mi grozi, na litość!!!

– Słyszałaś. Poza tym powiedz tej swojej zwariowanej przyjaciółce, żeby przestała węszyć – warknął po raz ostatni i odwróciwszy się do mnie plecami, odszedł.

Ciekawe, to wszystko zdarzyło się w biały dzień, na korytarzu pełnym ludzi, a jakoś nikt poza mną niczego nie zauważył. Jasne, w takich sytuacjach nigdy nie ma świadków...

Coś czuję, że muszę pogadać z Ivette. Ona namieszała, a cała wina spadła jak zwykle na mnie! Dzisiaj znowu miałam u niej nocować, więc będę miała wspaniałą okazję do poważnej rozmowy.

Uznałam też, że powiem o tym Maksowi. W końcu, jakkolwiek by na to patrzeć, Aki mi groził.

Gdy tylko spotkaliśmy się po lekcjach, od razu mu wszystko opowiedziałam. Tak, wiem: jestem skarżypytą. Jednak moja relacja wyraźnie wkurzyła Maksa, bo wściekły wymruczał:

– Pogadam z nim. Nie martw się.

No to sprawę mam chyba z głowy. Teraz zostaje mi tylko nawrzeszczeć na Iv, a raczej wytłumaczyć jej, żeby mnie w nic więcej nie mieszała.

Jak rany, przez to wtykanie nosa w nie swoje sprawy ona naprawdę się kiedyś doigra.

Wieczorem wszystko jej powtórzyłam i łagodnie zapytałam, co takiego zrobiła, że Aki na mnie napadł:

– Cóżes ty, do diaska, zrobiła?! Przez ciebie dostałam ochrzan od Akiego!

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odparła potulnie. – Ja tylko pytałam parę osób, co o nich wiedzą.

– Tylko?! Aki był wściekły! Wyglądał, jakby chciał się na mnie rzucić!!!

Co prawda, on tak wygląda zawsze, ale to już szczegół.

– Hm, dziwne. Wiesz, podejrzewam, że oni coś ukrywają. Dlatego wszystko trzymają w takiej tajemnicy – powiedziała, podsycając tylko moją ciekawość.

– Czego się dowiedziałaś?

– Co, już na mnie nie krzyczysz? – spytała, uśmiechając się drwiąco.

Wiedziałałam, że moja ciekawość zwróci się przeciwko mnie, ale cóż...

– Sorry, ale Aki mnie wkurzył. I trochę się go przestraszyłam.

– Nie ma sprawy – stwierdziła tylko. – Czasem potrafi wyglądać strasznie.

Ha! Czasem? Czasem?!

– No, więc? Czego się dowiedziałaś? – powtórzyłam pytanie.

– Wszyscy metalowcy przyjaźnią się ze sobą już od najwcześniejszego dzieciństwa – powiedziała. – Nigdy też do swojego towarzystwa nie dopuścili nikogo innego, ani z nikim spoza paczki się nie przyjaźnili. Ty jesteś chyba pierwszym takim przypadkiem. Zawsze tworzyli taką odrębną grupę.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ale niektórzy mówili mi, że oni czasem spotykają się razem w lesie.

– Po co? – Moje pytania brzmią chyba tak, jak te zadawane przez gliniarzy w telewizji.

– Tego nikt nie wie – odpowiedziała tajemniczo.

– Hm, dziwne – zastanowiłam się. – Pamiętasz, jak wtedy w lesie spotkałam Maksa? Po tej imprezie sportowców. A potem drugi raz, jak Debbie się na mnie mściła?

– Tak.

– Usiłowałam się od niego dowiedzieć, co tam robił, ale nie chciał mi powiedzieć. Poza tym kiedyś słyszałam, jak umawiał się z jakimś kumplem o północy, ale nie wiem gdzie.

– O północy? – zdziwiła się Iv. – Co można robić o północy w lesie?

– Eee, no wiesz, nie wiem, czy w lesie. Wiem tylko, że o północy –

powiedziałam.

– Dziwna sprawa. Podejrzewasz coś? – spytała Iv.

– Nie, a ty?

– Nie obraż się, ale ja sędzę, że albo oni biorą narkotyki albo należą do jakiejś sekty.

– Max nie zachowuje się, jakby brał narkotyki – zaprotestowałam gwałtownie.

Też coś! Mój Max i narkotyki! Słyszeliście kiedyś coś głupszego? Bo ja nie.

– W takim razie może są sektą – mruknęła Iv.

– To też nie pasuje – powiedziałam. – Jeśli byliby sektą, chyba próbowaliby zdobyć nowych wyznawców, a oni nie chcą słyszeć o tym, żebym się do nich przyłączyła. W ogóle nie chcą o mnie słyszeć – dodałam, przypominając sobie słowa Akiego.

– Margo, ja naprawdę nie wiem. To tylko domysły. Może są jakąś dziwną sektą, która nie chce, żeby ktoś się o nich dowiedział.

– Hm, a dowiedziałaś się czegoś jeszcze? – spytałam z nadzieją, że to można jakoś łatwo wytłumaczyć.

– Szczerze mówiąc, to trochę dziwne, ale zauważyłaś, jak w tym mieście jest mało psów? Żaden metalowiec nie ma psa. Tylko nieliczni sportowcy, no i ty. Gdzieś czytałam, że niektóre sekty składają ofiary ze zwierząt albo je zjadają.

– No teraz to już chyba przesadziłaś. Max zjadający pudła z rusztu? – zaśmiałam się, ale nagle zamilkłam.

Czemu Sweter tak dziwnie wtedy zareagował? Czemu???

Nie, to nie może być prawda. Czyżby Max był zamieszany w coś takiego? Owszem, nie przeczę. Do tego, żeby nauczyć mnie jeździć na motocyklu z pewnością są potrzebne jakieś środki uspokajające, ale żeby narkotyki? Nie, to niemożliwe. Kurczę, a jeśli to sekta? Muszę dokładnie przyjrzeć się zachowaniu Maksa. Tak, tak właśnie zrobię.

Następnego dnia nieoczekiwanie przerwano lekcje z powodu przyjazdu do miasteczka jakiejś ważnej osobistości. Coś o tym mówiono już tydzień temu, ale nie słuchałam. Szczerze mówiąc, to ostatnio w ogóle mało słucham, ale w końcu jestem zakochana, no nie? Chyba wolno mi w takim stanie nie słuchać.

Apel miał jedną podstawową zaletę – odbył się w czasie lekcji. „Nasz specjalny gość”, jak się wyraził dyrektor, miał nas przez najbliższe dwie godziny zanudzać jakimiś kawałkami ze swojego życia. Jakby to kogoś obchodziło.

W auli rozsadzono nas klasami, więc Max siedział gdzieś za nami, ale przynajmniej miałam obok siebie Ivette.

– A oto pan Jack Black... – zaczął mówić dyrektor, wskazując na

wysokiego mężczyznę, ubranego tak, jakby właśnie wrócił z polowania. Miał na sobie spodnie i kurtkę khaki, a na głowie kapelusz w takim samym kolorze. Może w lesie dobrze wtapiał się w tło, ale na naszej sali gimnastycznej wyraźnie rzucał się w oczy. Swoją drogą fajne imię i nazwisko – brzmi zupełnie jak pseudonim.

– Proszę mówić do mnie Jaguar – wtrącił się tamten. – Wszyscy tak do mnie mówią.

No proszę, przerwał gadkę dyrektorowi. Jestem pod wrażeniem.

– Eee, dobrze, panie Jaguar, więc jak mówiłem...

– Po prostu Jaguar – znowu mu przerwał i uśmiechnął się drwiąco.

Przerwał mu po raz drugi! Dyrektorowi!!! Ma facet tupet, ja bym się nie odważyła. Na sali rozległy się przytłumione śmiechy.

– Ekh – odchrząknął dyrektor i spojrzał srogo na chichoczących uczniów.

– Więc Jaguar jest znanym na cały świat podróżnikiem i odkrywcą, współpracuje także z wieloma ogrodami zoologicznymi na całym świecie...

– A ja czytałam ostatnio artykuł, w którym było napisane, że to zwykły kłusownik polujący na zagrożone gatunki – wyszeptała mi do ucha Iv.

To ona czyta coś poza romansami? Matko... odkryłam Amerykę!

Ach nie... przecież ona jest zwolenniczką Greenpeace! A już myślałam, że dokonałam wielkiego odkrycia...

– Taak – mruknięłam jednak. – Wygląda na takiego, któremu zabijanie zwierząt sprawia przyjemność.

Nie wiem, dlaczego tak pomyślałam. Od początku coś mi się nie podobało w jego uśmiechu i lekceważącym sposobie bycia. Po prostu nie przypadł mi do gustu. Znacie ten typ, no nie? To ktoś taki, kto każdym swoim gestem i słowem mówi: patrzcie, jaki jestem wspaniały!

Po prostu irytujący facet.

Przez następne pół godziny opowiadał nam o tym, jak polował na wiele różnych gatunków zwierząt i pomagał redukować liczbę lwów, zagrażających stadom kóz hodowanych przez Kenijczyków.

Co ciekawe, w jego wszystkich opowieściach zwierzęta odgrywały rolę tego złego i przeważnie ginęły. Chociaż nie, przejęczyłam się – ginęły wszystkie bez wyjątku.

Gdy wreszcie zakończył swoją opowieść, zapytał:

– Czy są jakieś pytania? – Z początku nikt nie reagował, ale w końcu ze swojego miejsca podniosła się jedna dziewczyna. Rozpoznałam ją, podczas naszej pierwszej randki z Maksem spotkaliśmy ją razem z Akim przed kinem.

– Po co w zasadzie przyjechał pan do Wolftown?

– Mówcie mi Jaguar – odpowiedział. – Przyjechałem, żeby obserwować ciekawy gatunek wilków, który tu występuje.

– Ale tutejsze wilki są pod ochroną – odpowiedziała.

– Dlatego przyjechałem tu tylko po to, żeby je obserwować – stwierdził i uśmiechnął się drapieźnie, a speszona dziewczyna szybko usiadła.

– Już to widzę – mruknęła Ivette pod nosem. – Z pewnością przybył tu w innym celu.

Taak, też tak sadzę. Podejrzenie się uśmiechał, kiedy mówił, że będzie je tylko obserwować.

Więcej pytań nie było. Zresztą, o co można takiego typu zapytać? O to, czy do lwów lepiej strzelać ze strzelby, czy z karabinu? Paranoja...

Na następnych lekcjach wszystko szło już zwyczajnie. Miałam klasówkę z historii (żegnaj czwórko na koniec roku), niezapowiedzianą kartkówkę z matematyki (niech mi ktoś wyjaśni, czy kiedykolwiek w przyszłości przydadzą mi się funkcje?) i jak zwykle Pijawka się do mnie przyczepiła (ale do tego powinnam się już chyba przyzwycząić).

Po zajęciach ruszyłam przez parking w stronę motoru Maksa. Codziennie podwozi mnie do domu. Kocham to! Gdy tylko do niego podeszłam, powiedział z zakłopotaną miną:

– Margo, nie możemy iść dzisiaj na randkę.

– Eee, dlaczego? – nie od razu do mnie dotarło to, co mówił.

– Obiecałem kumplom, że się z nimi spotkam. Moglibyśmy to przełożyć?

Może na jutro?

– No dobrze – odpowiedziałam.

Max uśmiechnął się, jakby mu spadł kamień z serca. Pewnie myślał, że wystarczy mi takie wyjaśnienie. Ha, jeszcze czego...

– A musisz spotkać się z nimi akurat dzisiaj? – spytałam jakby od niechcienia.

– Eee, no tak... musimy o czymś podyskutować. Eee, Mark, wiesz, który to? No, więc Mark ma kłopoty. Tak. Mark ma poważne kłopoty i musimy mu pomóc.

Czy mnie się wydaje, czy to na kilometr zalatuje kłamstwem?

– Aha – mruknęłam jednak.

Muszę to dokładnie obgadać z Ivette. Tu naprawdę dzieje się coś dziwnego.

No, bo w końcu, w jakie tarapaty może wpaść taki mól książkowy jak Mark? Poznałam go parę dni temu. Max pomagał mi w szkolnej bibliotece w zrozumieniu fizyki, ale mu to wyraźnie nie szło, widocznie już zapomniał, co przerabiał w pierwszej klasie, więc poprosił o pomoc Marka. Dobrze mu się wtedy przyjrzałam: cichy, nieśmiały, doskonale rozumiejący fizykę, zakochany w książkach i nauce. Przecież on rzadko kiedy wychodzi z biblioteki. To aż dziwne, że jest metalowcem i należy do ich grupy.

Jedyny problem, jaki mógłby mieć Mark, to to, że ktoś wypożyczyłby jakąś książkę przed nim. Jest po prostu niemożliwe, żeby miał jakieś poważne

kłopoty.

Gdy tylko weszłam do domu, od razu zadzwoniłam do Iv. Szybko opowiedziałam jej, co usłyszałam od Maksa.

– Co o tym sądzisz? – spytałam.

– To wszystko brzmi podejrzenie – stwierdziła.

– Chyba pójdę za nim do lasu, żeby sprawdzić, co będą robić – powiedziałam.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – zaprotestowała szybko. Ale mnie już nic nie mogło powstrzymać. Jeśli nawet Max wpadł w jakieś tarapaty, to ja go z nich wyciągnę!

Wieczorem, zaraz po kolacji, poszłam niby to odrabiać lekcje, ale tak naprawdę zesłam po pergoli na ziemię i już mnie nie było.

Szybko pobiegłam pod dom Maksa. Na szczęście nie mieszka zbyt daleko ode mnie, bo roweru już nie mam, a w biegach jestem raczej słaba.

Czekałam już jakieś dziesięć minut i opadły mnie wątpliwości, czy nie minęłam się z nim po drodze. W końcu nawet nie wiem, o której godzinie się spotykają, ale na szczęście właśnie w tym momencie Max wyszedł. Uff, kamień spadł mi z serca.

Ruszył w stronę lasu. Po cichu wychyliłam się zza drzewa i podążyłam za nim w pewnej odległości. Nie chciałam go stracić z oczu, ale jednocześnie bałam się, że jeśli znajdę się bliżej, może mnie usłyszeć. Starłam się nie robić hałasu, ale Max strasznie pędził. A nie da się iść szybko i na dodatek cicho. Przynajmniej ja tak sądzę, bo Max pod tym względem jest jakimś wyjątkiem. Poruszał się prawie bezgłośnie.

Po paru minutach straciłam go z oczu. Przystanąłam i rozejrzałam się niespokojnie. A niech to! No i znowu się wpakowałam. Dookoła mnie gęsty las, a ja stoję jak głupia i nawet nie wiem, w którą stronę mam iść, żeby się stąd wydostać.

Nie wiedząc, co mam robić, zaczęłam nasłuchiwać. Może jakimś sposobem go usłyszę?

– Co tu robisz? – rozległo się za moimi plecami pytanie, a ja, wydając stłumiony okrzyk, podskoczyłam chyba parę metrów w górę.

Za mną stał oczywiście Max. Jakim cudem zaszedł mnie od tyłu, a ja go nie usłyszałam? Wiem, że potrafi chodzić jak kot, ale żeby aż tak cicho?

– Musisz mnie straszyc? – warknęłam wściekła, że mnie wytropił.

Głupie, no nie? Obwiniam go za to, że sama się wpakowałam w tarapaty.

– Czemu za mną szłaś? – spytał.

Chwilę zastanawiałam się, co powiedzieć, ale w końcu stwierdziłam, że prawda będzie najlepsza.

– Nie obraż się, ale uznałam, że muszę ci pomóc. Nie wiem, w co się

wpakowałaś: w narkotyki, czy jakąś sektę. Ale ja ci pomogę. Możesz na mnie liczyć – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy. – Pomogę ci się z tego wydostać, choćbym nie wiem co miała zrobić!

Sądziłam, że zaczniesz się teraz jąkać, że ta sekta, czy co to tam jest, go omamiła i że bardzo chętnie skorzysta z mojej pomocy, a on... roześmiał się. Taak... Zaczął się śmiać i na dodatek nie mógł przestać.

Nie wytrzymam, to ja walcząc z własnymi fobiami, włączę za nim do tej głuszy pełnej dzikich zwierząt i psychopatów, a on się śmieje?!

W końcu uspokoił się i wydusił z siebie:

– Margo, ja nie jestem w żadnej sekcie ani nie biorę narkotyków.

– To co robisz sam w lesie o tak późnej porze? – spytałam i założyłam ręce.

Co jak co, ale mnie nie będzie robił w balona.

– Ja naprawdę idę tylko spotkać się z kumplami przy ognisku. To taka nasza tradycja. Raz na miesiąc spotykamy się i gadamy. Akurat dzisiaj jest specjalna okazja, bo musimy obgadać coś szczególnie ważnego, ale wierz mi, to nie jest sekta.

– Taak? Czemu więc zawsze się spotykacie właśnie w czasie pełni? To jest raczej podejrzane, sam musisz przyznać – odparłam zaczepnie.

– Margo, po prostu wtedy jest najjaśniej i łatwiej znaleźć drogę w lesie – powiedział.

Pomimo że wszystko, co mówił, tak sensownie brzmiało, nie przekonał mnie. Nie wiem czemu, ale czułam, że coś tu jest nie tak.

– A jaka to szczególnie ważna okazja, jeśli mogę wiedzieć?

– Zwykle męskie sprawy – uciał.

„Zwykle męskie sprawy”. Czy ja wyglądam na idiotkę? Jak mówimy o damskiej sprawie, to przeważnie chodzi nam o comiesięczną przypadłość, że tak powiem. Ale co w takim razie kryje się pod tajemniczym określeniem „męska sprawa”? Jakoś to do mnie nie przemawia. O ile się orientuję, chłopcy nie posiadają większości damskich problemów.

– Chodź, zaprowadzę cię do domu, bo chyba znowu się zgubiłaś. Poza tym tu nie jest bezpiecznie.

– Jak to nie jest bezpiecznie? – spytałam.

– Przecież do naszego miasteczka przyjechał ten myśliwy – odpowiedział.

– Ale mówił, że będzie tylko obserwować zwierzęta – przypomniałam.

– Bądźmy szczerzy, to zwykły kłusownik. Na pewno będzie polował.

– Przecież nie przypominamy zwierząt, do nas więc nie będzie strzelać – zaoponowałam.

– W ciemności może nas nie zauważyć, poza tym zabłąkana kula wszędzie może się trafić – mruknął i spojrzał na mnie.

– Żartujesz? – spytałam.

– Nie – mruknął znowu, a ja zrozumiałam, że mówi to zupełnie poważnie. Kurczę. Kiedy to powiedział, aż ciarki przeszły mi po plecach.

W parę minut odprowadził mnie pod dom. Jak *on* to robi? Ja nie rozróżniam jednego drzewa od drugiego, bo, bądźmy szczerzy, wszystkie wyglądają tak samo, a on po ciemku umie trafić wszędzie.

– Margo, nie wychodź z domu i nie śledź mnie – poprosił, gdy już stanęliśmy pod pergolą. – Nie chcę się martwić, że coś ci się stanie, jak będziesz się wałęsać sama po lesie.

– No dobrze – zgodziłam się z ociąganiem.

– Dobranoc – uśmiechnął się i pocałował mnie.

– Dobranoc – szepnęłam, a potem zaczęłam się wspinać. Czekał, aż wejść na balkon, i dopiero wtedy odszedł, ale podejrzewam, że na wszelki wypadek stał jeszcze chwilę w cieniu drzew. Chciał mieć pewność, że nie zejść za nim z powrotem.

Ale ja i tak nie zamierzałam już dzisiaj go śledzić. Wymyśliłam też, co zrobię następnym razem.

W końcu już za cztery dni pełnia...

## 11.

Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś coś tak głupiego! – krzyknęła Ivette, gdy tylko opowiedziałam jej, co zrobiłam w nocy. Widać bardzo się tym przejęła.

– To dobrze, że Max cię znalazł! Mogło ci się coś stać! – histeryzowała dalej.

Nie rozumiem, czym się tak przejmuję. W końcu nie stało się nic złego! No dobra, może Max jest teraz na mnie trochę zły, ale chyba mu przejdzie. Poza tym muszę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Tak, wiem, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale nic na to nie poradzę. Czekanie jest sprzeczne z moją naturą.

Dzisiejszej nocy znowu miałam koszmar i, jeśli to w ogóle możliwe, był jeszcze gorszy od poprzednich.

Stałam. Otaczał mnie ciemny las. Nad moją głową księżyc w pełni wychodził zza chmur. Nagle zobaczyłam przed sobą błysk światła. Zaciekawiona ruszyłam w tamtą stronę. Przedemną rozpościerała się nieduża polana, na której rozpalone było ognisko. Podeszłam bliżej.

Dookoła ognia siedzieli jacyś ludzie. Schowałam się za drzewem i zaczęłam ich obserwować, jednak nie mogłam rozpoznać żadnej z twarzy, ponieważ większość siedziała tyłem do mnie, ale też z niewiadomych mi powodów twarze pozostałych były takie... zamazane.

Nagle nadepnęłam na gałązkę, która pękła z głośnym trzaskiem. Wszyscy odwrócili się w moją stronę. Przeżona zaczęłam uciekać. Gałęzie uderzały mnie w twarz i ramiona, a wystające z ziemi korzenie uniemożliwiały szybszy bieg. Ale nie zatrzymałam się. Cały czas biegłam.

W pewnym momencie usłyszałam za plecami kroki. Nie oglądając się za siebie, przyspieszyłam.

W oddali zobaczyłam wzgórze. Skierowałam się w tamtą stronę. Kroki za mną stawały się coraz głośniejsze. Przeżona wspięłam się na sam szczyt. Tam zatrzymałam się. Tak jak poprzednio, przede mną stał wilk, wyjąc przeraźliwie do księżyca.

Nagle ktoś złapał mnie za ramię! Szybko się odwróciłam i zaczęłam krzyczeć. Znowu zobaczyłam błysk w jego oczach. I nic poza tym.

W następnym momencie ocknęłam się we własnym łóżku, nie mogąc oddychać, tak jakbym naprawdę przed chwilą biegła. Coś ze mną musi być nie tak. Może faktycznie powinnam iść do lekarza? Przecież to nie są normalne sny!

W każdym razie były to jednak tylko sny. Dzisiejszej nocy powinna się zacząć pełnia i miałam zamiar znowu wybrać się do lasu. Tak. Nie muszę chyba

mówić, jakiego mam pietra?

Stwierdziłam, że nie powiem Ivette, co mam zamiar zrobić. Pewnie by mi nie pozwoliła, a nawet mogłaby zagrozić, że dla mojego dobra powie wszystko moim rodzicom. Dziękuję serdecznie, raczej nie mam ochoty na szlaban do końca życia.

Tak czy inaczej miałam zamiar rozwiązać zagadkę Maksa i nikt nie mógł mi w tym przeszkodzić. To znaczy moi rodzice pewnie by mogli, ale żeby tego dokonać, musieliby mnie zamknąć w pokoju i zlikwidować pergolę za oknem.

Denerwowałam się tak, jak przed pierwszą randką z Maksem. Nie wiedziałam, o której godzinie się spotykają, więc postanowiłam, że wyjdę z domu o jedenastej.

Tak, wiem, co można o mnie pomyśleć: głupia, pewnie znowu się zgubi. Ale nie tym razem! Wzięłam ze sobą kompas i sprawdziłam, gdzie się znajduje mój dom (na północnym wschodzie). Gdybym się zgubiła, to tak długo będę szła w tę stronę, aż dotrę do domu. Proste. Gorzej by było, gdybym go w jakiś sposób ominęła, ale stwierdziłam, że nie będę dopuszczać do siebie takiej możliwości.

W schodzeniu po pergoli miałam już coraz większą wprawę. Szło mi to raz-dwa. Gorzej zawsze było z wchodzeniem, ale tym będę się przejmować dopiero za parę godzin.

Pełnia, nie cierpię jej. Może i księżyc bardzo ładnie się prezentuje na bezchmurnym niebie, ale kiedy go połączyć z moim koszmarem, to już wcale nie jest taki fajny. Wiem, co mówię.

Las był niezwykle cichy. Zupełnie bezdźwięczny, jakby ktoś wyłączył głośnik, tak jak w telewizorze. Robiło to niesamowite wrażenie.

Poza tym wszędzie kładły się długie cienie. Otaczały mnie dookoła, nawet w ogrodzie. Przez księżyc w pełni było okropnie jasno. Jego blask nie tylko wydłużał cienie, ale doskonale było mnie widać. A co dopiero będzie w lesie? Mogę się założyć, że Max znowu odkryje moją obecność.

No, dobra. Margo – weź się w garść! Musisz to zrobić! Wejdiesz tam i uratujesz Maksa, czy on tego chce, czy nie. Kurczę, ta gadka wcale mnie nie przekonuje. Ale nie mam wyboru. Głęboki wdech i wchodzę!

Zagłębiłam się pomiędzy drzewa, starając się nie robić zbyt dużo hałasu. A nie było to łatwe. Nie wzięłam latarki, bo bałam się, że ktoś mógłby zobaczyć światło, ale sądzę, że i tak zwracałam na siebie uwagę, co chwila potykając się o korzenie. I naprawdę, gdy człowiek wywała się po raz dziesiąty, to na serio jest mu trudno powstrzymać przekleństwa, cisnące się na usta. Podejrzewam więc, że moje ciche „uwagi” połączone z odgłosami upadków dawały taki sam efekt jak włączona latarka. Pewnie jutro będę miała na nogach ogromne siniaki. Mimo to nie poddawałam się, a siniaki w końcu kiedyś znikną, no nie?

Po jakiejś godzinie kręcenia się w kółko miałam już dość lasu na całe

życie. Nikogo nie znalazłam. Max musiał mi się jakimś sposobem wymknąć.

Gdyby przynajmniej nie było tak cicho, to może całą tę wycieczkę dałoby się jakoś znieść, ale ten bezruch i ta cisza po prostu mnie przerażały.

Jeślibym przypadkiem w tym momencie trafiła na swój dom, to podejrzewam, że wspięłabym się po pergoli i już nigdy więcej nie próbowała się dowiedzieć, co Max robi w lesie. Dałabym sobie po prostu spokój. Takie przechadzki nie są na moje nerwy.

Jednak nie trafiłam na swój dom. Kto by podejrzewał, no nie? Właśnie wyjmowałam kompas, żeby sprawdzić, w którą stronę powinnam iść, gdy usłyszałam cichy szelest.

Podejrzewając, że pewnie jak zwykle stoi za mną Max, zaczęłam się powoli odwracać, gdy usłyszałam polecenie:

– Ręce do góry.

No cóż, widocznie to nie był Max, ale tak czy inaczej nikt nie miał prawa mnie teraz denerwować. Już byłam wkurzona i to bardzo. Zanim zdążyłam się odwrócić, znowu usłyszałam ponaglający rozkaz:

– No, ręce do góry, złotko.

Nie, no tego już było za wiele. Przegiął! Złotko? Złotko, jak rany?! Za kogo ten ktoś się uważa??? Głos jednak wydał mi się skądś znajomy. Odwróciłam się i spojrzałam na człowieka, który właśnie groził mi z broni palnej.

Tak, zgadłam. To był Jaguar.

– Nie słyszałaś? – spytał.

Miałam ochotę udawać głuchoniemą, ale się powstrzymałam – z trudem, chciałabym dodać. Zrobienie mu na złość sprawiłoby mi niesamowitą satysfakcję, chociaż nie wiem dlaczego. To chyba podświadoma potrzeba zrobienia czegoś głupiego.

– Dlaczego pan do mnie celuje? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie, cały czas wpatrując się w lufę strzelby, czy co to tam było.

– Ponieważ celuję do wszystkiego, co czai się w ciemności, póki nie przekonam się, że to coś nie jest groźne – odpowiedział, nadal trzymając mnie na muszce.

– Ja nie jestem groźna – mruknęłam. – Chyba że boi się pan kompasów – dodałam, uśmiechając się złośliwie i pomachałam mu ręką, w której trzymałam kompas.

Tak, wiem, to nie było uprzejme. Ale byłam teraz w takim nastroju, że na każdego bym nakrzyczała, nawet na prezydenta. Chociaż nie, na Brada Pitta nawet w takim momencie nie podniosłabym głosu. Ale cóż, Jaguar w niczym nie przypominał Brada Pitta. Nie miał nawet blond włosów.

– Co tu robisz? – spytał, wolno opuszczając broń (Jezu, wreszcie, a już myślałam, że nigdy tego nie zrobi).

– Spaceruję. A co, nie wolno? – spytałam zaczepnie. Myślałam, że go tym wkurzę, bo szczerze przyznam, miałam taki zamiar, chociaż jak się teraz zastanawiam, to nadal nie rozumiem, po co. Chyba mam taką naturę. W każdym razie Jaguar nie zareagował tak, jak podejrzewałam. W odpowiedzi na moje oświadczenie po prostu się zaśmiał i powiedział:

– Spacer o północy w ciemnym lesie? Ciekawe...

– Taak, strasznie – mruknęłam i spojrzałam jeszcze raz na kompas. Następnie ruszyłam przed siebie, nawet się nie oglądając. Jeśli będę miała szczęście, to może mu ucieknę.

No cóż, jeśli myślałam, że łatwo się go pozbędę, to się myliłam. Po chwili mnie dogonił i idąc obok, spytał:

– A mógłbym wiedzieć, dlaczego spacerujesz akurat o północy?

– Nie – odparłam. – A pan mógłby mi powiedzieć, dlaczego spaceruje o północy po lesie ze strzelbą?

– Też raczej nie – burknął i zmarszczył brwi. Ha! Tu go mam! W tym momencie zaczęłam się lekko denerwować. Bądź co bądź byłam sama w ciemnym lesie i jakiś facet nie chciał się ode mnie odczepić. Był jak wrzód na... ekhm, tylnej części ciała.

– Mógłby mi pan dać spokój? – spytałam i przyspieszyłam.

– A co? Przeszkadza ci moje towarzystwo?

Już miałam odpowiedzieć: „Jeszcze jak, ty padalcu!”, albo coś o wiele gorszego, jak znam samą siebie i mój zasób słów, ale nagle po naszej prawej stronie rozległ się cichy szelest.

Jaguar zareagował natychmiast: szybko wyciągnął strzelbę i wycelował w tamtą stronę. Przerażona przystanęłam i, muszę to przyznać, schowałam się za niego. A co tam, jakby coś miało nas zaatakować, to chyba lepiej, żeby najpierw się rzuciło na Jaguara niż na mnie, no nie? Miałabym wtedy czas, żeby uciec. Poza tym Jaguar pewnie potrafi się bronić, a moja taktyka obrony polega na tym, że zaczynam wrzeszczeć, chociaż wątpliwe, że mój krzyk przepędzi potwory, czy co tam się czai w ciemności.

Jednak szelest się nie powtórzył. Cokolwiek tam było, już sobie poszło. No i dobrze, nie uśmiecha mi się uciekać przed, dajmy na to, stadem wilków. Przed całym stadem to chyba nawet Jaguar z tą swoją strzelbą by mnie nie uratował. W końcu ile on może mieć w niej naboji?

– Chyba cię odprowadzę na skraj lasu – mruknął do siebie Jaguar. – Tu jest pełno wilków.

O, ekstra. Jestem sama w lesie z jakimś szalonym myśliwym, a dookoła nas krąży stado wilków. Zabójczo! Oby tylko nie w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Tak jak powiedział, Jaguar odprowadził mnie pod same drzwi, a raczej furtkę na tyłach domu. Nadal jednak uważam, że sama też bym trafiła!

– Dzięki – mruknełam i zamknełam za sobą bramkę, szczerze żałując, że nie ma w niej zamka.

A niech to! On ciągle tam stał. Może to głupie, ale naprawdę nie miałam ochoty odwracać się do niego tyłem. Musiał wyczuć moją rozterkę, bo powiedział:

– Spokojnie, nie strzelę ci w plecy. A gdy odetchnęłam z ulgą, dodał:

– Ale mógłbym – i zniknął w ciemności.

To przeważyło szalę. Ruszyłam biegiem w stronę pergoli. Nie obchodziło mnie, że weźmie mnie za tchórze. Bo bądźmy szczerzy, jestem tchórzem!!! Dla mnie liczył się tylko moment, w którym wreszcie znajdę się bezpieczna we własnym łóżku, w ulubionej piżamie, z ukochanym pluszakiem pod pachą. Wiem, że to dziecinne, ale byłam bliska załamania nerwowego.

Gdy już znalazłam się u siebie w pokoju, dość długo nie mogłam zasnąć. Cały czas dźwięczały mi w uszach słowa Jaguara. Czy on naprawdę mógłby mi strzelić w plecy? Na litość boską! Przecież to Ameryka! Tu się nie robi takich rzeczy! Chyba...

W końcu, znękana, zasnęłam. Jednak moja błoga nieświadomość nie trwała długo. W pewnym momencie usłyszałam dziwne stukanie, ale nie zwróciłam na nie uwagi, znajdując się ciągle pomiędzy jawą i snem. Niemniej jednak dźwięk stawał się coraz bardziej natrączywy i głośny.

Otworzyłam jedno oko i spojrzałam na podświetlany ekran budzika. Była druga nad ranem. Choroba, nawet nie dają człowiekowi pospać. Z powrotem zamknełam oko, mając nadzieję, że dzięki temu odgradzę się od tajemniczego odgłosu.

Taaak, nadzieja matką głupich...

Ponieważ dźwięk był już bardzo głośny i mocno mnie zaniepokoił, usiadłam i spojrzałam w stronę okna.

Na moim balkonie ktoś stał!!! Dokładnie widziałam sylwetkę za firanką. Przestraszyłam się i już w ogóle odeszła mi ochota na spanie. Nagle usłyszałam cichy głos:

– Margo! To ja, Max. Obudź się!

O rany, co za ulga. Myślałam, że to włamywacz albo, co gorsza, Jaguar, który nagle stwierdził, że może jednak lepiej byłoby mnie wykończyć, zanim komuś powiem, że spacerował po lesie z bronią.

I niech ktoś mi powie, czemu ja nie mam normalnego życia? W Nowym Jorku nigdy by mi się coś takiego nie przydarzyło.

Wstałam i podeszłam do drzwi balkonowych, a następnie je otworzyłam i wyszłam na zewnątrz.

O, ekstra. Zapomniałam, że jestem w piżamie. Max ma teraz świetny widok na moją nocną bieliznę. Dobrze, że nie lubię negliżu, jak jedna z moich

starych ciotek. Kiedyś przypadkiem ją zobaczyłam. Okropny widok! Będzie mnie prześladował do śmierci...

– O co chodzi? – spytałam.

– Sorry, że cię budzę – mruknął – ale muszę cię o coś zapytać.

– Aaa, jasne – odpowiedziałam, jakby to była najnormalniejsza rzecz w świecie, że mój chłopak wpada do mnie o drugiej nad ranem, żeby o coś spytać.

– Możesz mi powiedzieć, co robiłaś w lesie z Jaguarem? – spytał, patrząc mi prosto w oczy.

O choroba, wydało się, że to ja go śledziłam, a raczej usiłowałam...

– Szukałam cię – szepnęłam.

– Z Jaguarem?! – prawie krzyknął.

– Cii, obudzisz moich rodziców... Nie, to nie tak – usiłowałam wyjaśnić. – Szukałam cię, a on się napatoczył po drodze. Uwierzysz, że celował do mnie ze strzelby?

– Czemu mnie szukałaś? Przecież mówiłem ci, żebyś za mną nie szła!

– No i nie szłam – szepnęłam cicho. – Wyszłam po prostu z domu, mając nadzieję, że może cię spotkam.

Kurczę, jak tak dalej będzie się wydzierał, to obudzi moich rodziców, a wtedy bye, bye randki, aż do czterdziestki.

– Wyjaśnij mi jeszcze raz, jak to się stało, że Aki widział jak szłaś sobie spokojnie z Jaguarem i rozmawiałaś o wilkach w środku lasu i to dobrze po północy?!

Więc to wszystko wina Akiego. Już ja się mu dobiore do skóry! Kabel jeden...

– Przecież ci mówię, że cię szukałam... no i w pewnym momencie na niego wpadłam... no i przestraszyłam się go... no i postanowiłam, że sobie pójdę, ale on polazł za mną... no i w pewnym momencie coś zaszeleściło w krzakach i on wyjął tę swoją strzelbę... no, a potem mnie odprowadził i powiedział, że mógłby mi strzelić w plecy. – Wiem, że mówiłam bez ładu i składu, ale byłam naprawdę zdenerwowana.

– Coś zaszeleściło w krzakach? – spytał Max.

– Tak, Jaguar stwierdził, że to wilk, i powiedział, że mnie odprowadzi do domu.

– I powiedział, że mógłby do ciebie strzelić?

– No tak, ale...

– Strzelić do ciebie?!

– Tak, ale...

– Tylko dlatego, że byłaś w lesie?!

– Tak. Już mówiłam, ale przecież nic się nie stało. Pewnie powiedział tak tylko dlatego, bo sądził, że mogę go wydać policji. Wiesz, za to, że niby polował bez pozwolenia.

Hm, Max chyba się mimo wszystko zdenerwował. Chwilę stał bez słowa, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem westchnął i odgarnął włosy z czoła.

– Nie powinnaś się była narażać na takie niebezpieczeństwo.

– Wiem, już nie będę... – zaczęłam.

– Margo. Uważam, że powinniśmy ze sobą zerwać – przerwał mi w pół zdania i odwrócił wzrok.

– Co?! – krzyknęłam zdumiona. (Pał licha rodziców!!!).

Po prostu mnie zatkało. O co mu chodzi???

– Powinniśmy ze sobą zerwać. Tak będzie najlepiej dla ciebie i dla mnie – mruknął cicho.

– Dlaczego? – spytałam, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę.

– To dlatego że poszłam dzisiaj do lasu?

– Nie... tak... nie wiem. Margo, nie roztrzaskajmy tego.

– Mogę już nie chodzić do lasu. Już się do niego nie zbliżę!

– powiedziałam szybko. – Obiecuję! Nawet nie dotknę ogrodzenia!

– To nie o to chodzi. Posłuchaj, tak będzie lepiej.

– Ale czemu? – jęknęłam. – Co ja zrobiłam?

– Margo, nic. Zostawmy to tak, jak jest – mruknął i znowu westchnął.

– Masz kogoś innego? – wyjąkałam, bo wpadł mi do głowy tylko ten okropny pomysł.

– Nie. Po prostu nie pasujemy do siebie. Zostawmy wszystko tak, jakby się nic nie stało. Dobrze?

– Jakby nic się nie stało? To te dwa miesiące nic dla ciebie nie znaczą?

– Nie o to chodzi, Margo. To nie jest niczyja wina, ani twoja, ani moja – mruknął i przeszedł na drugą stronę barierki. – Po prostu nie pasujemy do siebie.

Nie powiedział nic więcej. Zszedł w zupełnej ciszy po pergoli i znikł w ciemności pomiędzy drzewami. Niczego nie wyjaśnił...

Oparłam się o barierkę.

– Ale dlaczego? – wyszeptałam, jednak on już nie mógł mnie usłyszeć.

Zaczęłam drzeć. Zamknęłam szybko drzwi balkonowe i objęłam się ramionami. Nie potrafiłam opanować drgawek.

Podeszłam do łóżka. Cały czas nie mogłam uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. To musiał być jakiś sen, prawdziwy koszmar! Max nie mógł zrobić czegoś takiego! Nie mój Max!!!

Usiadłam na łóżku i wzięłam swoją komórkę. Wystukałam szybko numer Ivette. Czułam, że muszę z kimś o tym porozmawiać, albo zacząć krzyczeć.

Gdy wreszcie, pomimo tak późnej pory, odebrała, powiedziałam szybko:

– Max ze mną zerwał.

A w następnej chwili zaczęłam płakać...

Nie płakałam, gdy powiedział, że ze mną zrywa. Nie płakałam, gdy nie chciał wyjaśnić, dlaczego. Płakałam teraz, kiedy wreszcie dotarło do mnie, że

już nic nie będzie tak jak przedtem. Już nie miałam Maksa. Nie miałam już z kim o wszystkim rozmawiać. Nie miałam już mojej bratniej duszy, miłości mojego życia...

Nie wiem, jak długo płakałam. Iv usiłowała mnie przez telefon pocieszyć, ale nie działała dużo. Gdy już skończyłyśmy rozmawiać, zwinęłam się w kłębek na łóżku i zaczęłam jeszcze gwałtowniej szlochać w poduszkę. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego. Dlaczego? Czułam, jakby w moim sercu powstała olbrzymia rana, mająca już nigdy się nie zagoić, a jeśli nawet, to zostawiając po sobie dużą bliznę.

W którymś momencie usnęłam, nie wiem dokładnie, kiedy. Byłam zbyt wyczerpana psychicznie, żeby zarejestrować tę chwilę.

Gdy zadzwonił budzik, w ogóle nie zareagowałam. Było mi wszystko jedno. Pozwoliłam mu dzwonić do woli, wsłuchując się w jednostajną, uporczywą dla ucha melodię.

W końcu, po jakichś dwudziestu minutach, do mojego pokoju przyszła mama, żeby sprawdzić, dlaczego nie schodzę. Zdziwiona wyłączyła budzik i usiadła na pościeli obok mnie.

– Margo, co się stało? Jesteś chora? – spytała, patrząc na mnie z troską. – Jak się czujesz?

– Nie za dobrze – mruknęłam zgodnie z prawdą.

Wiem, jak musiałam wyglądać. Po parogodzinnym płaczu nikt nie przypomina gwiazdy filmowej. Mama przestraszyła się nie na żarty. Szybko przyniosła mi termometr i kazała zmierzyć temperaturę, ale nie miałam gorączki. Zaniepokojona zawołała tatę i razem uzgodnili, że muszę zostać w domu.

No i dobrze.

Spędziłam w spokoju parę godzin, leżąc w łóżku. Nawet nie zesłam na dół na śniadanie. Pewnie nadal trwałabym w mojej życiowej apatii, gdyby nie dzwonek do drzwi. Od jakichś dziesięciu minut ktoś z uporem maniaka dzwonił. A ponieważ nie reagowałam, to zaczął pięścią walić w drzwi. W końcu nie wytrzymałam.

Nie dają nawet człowiekowi pocierpieć w spokoju, jak rany!!!

Zwlokłam się z łóżka i poszłam otworzyć. Na progu czekała Ivette. Po jej minie widać było, że zaczynała odchodzić od zmysłów, zastanawiając się, dlaczego tak długo nie otwieram.

Potem mi wyjaśniła, że kiedy nie pojawiłam się w szkole, zmusiła sekretarkę, żeby jej powiedziała, dlaczego mnie nie ma. A ja myślałam, że takie informacje są poufne. Ale widocznie Iv ma dar przekonywania.

– Czego chcesz? – spytałam.

Nie miałam serca silić się na uprzejmości.

– Przyszłam z tobą porozmawiać – powiedziała i wepchnęła się do mieszkania.

– O czym? – spytałam, zamykając drzwi i patrząc tępo w przestrzeń.

– O Boże, Margo – jęknęła, rozplakała się i przytuliła mnie. Szczerze przyznam – było mi to potrzebne. Znowu zaczęłam płakać. Stwierdziłam, że muszę wszystko z siebie wyrzucić, więc jeszcze raz dokładnie opowiedziałam jej rozmowę z Maksem. Wysłuchiwała mnie w milczeniu.

– Jak sądzisz? – spytałam. – On ma kogoś innego?

– Nie wiem, ale chyba nie.

– Więc dlaczego?

– Nie wiem – powiedziała cicho. – Jadłaś coś dzisiaj? – spytała, zmieniając temat.

– Nie.

– Nic? – nie mogła się nadziwić. – W takim razie pomogę ci zrobić śniadanie-obiad.

Dopiero wtedy poczułam, jaka byłam głodna. Kanapki na moim talerzu nie zagrzały miejsca nawet przez parę minut. Gdy zjadłyśmy, znowu spytałam:

– Dlaczego on to zrobił? To przeze mnie?

– Margo, ty z uporem maniaka chcesz się wpędzić w depresję. Nie mów już o tym – powiedziała Ivette. – A jutro pójdziesz do szkoły!

– Nie chcę – mruknęłam.

– Nie możesz jej unikać tylko dlatego, że Max też czasem się tam pojawia. Jutro wpół do ósmej przyjeżdżam po ciebie i razem jedziemy. Zrozumiałaś? A jeśli nie będziesz gotowa, to siłą wyciągnę cię z domu – zagroziła.

Wcale nie uśmiecha mi się wyjście do szkoły. Chcę zostać w domu i poużalać się nad sobą. Czy pragnę tak wiele?

Gdy Ivette wyszła, wzięłam jedną z psychologicznych książek taty (człowiek robi czasem dziwne rzeczy) i zaczęłam czytać: „... Traumatyczne przeżycia o wiele lepiej jest przezwyciężyć gniewem niż żalem...”. Kto to napisał?! Phi, ten ktoś w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co czuje ktoś, kogo dotknęły „traumatyczne przeżycia”. Jak można być w takim momencie złym? Ja mam ochotę płakać!

Zostawiłam książkę i poszłam do swojego pokoju. Nie ma to jak własny pokój. Jest tam łóżko, odtwarzacz CD i święty spokój. Włączyłam The Calling. Jednak wytrzymałam tylko jakieś pięć minut. To straszne, ale mój ukochany zespół zaczął mnie denerwować! W ich piosenkach jest za dużo nadziei na lepsze jutro. Poza tym ballady o miłości jakoś do mnie w tym momencie nie trafiają.

To okropne! Przez Maksa nie mogę słuchać The Calling! Chce mi się krzyczeć!!! O, czyżbym znalazła w sobie złość? Tak, do diabła! Nikt, ale to nikt

nie obrzydzi mi The Calling! Nie pozwolę na to!!! Już ja mu pokażę! Jak on śmiał niczego mi nie wyjaśnić?!

Zaraz, co ja robię? Znowu chce mi się płakać...

Następnego dnia, tak jak obiecała, Ivette przyjechała punktualnie. Miałam ochotę znowu zostać w łóżku, ale rodzice i tak już się o mnie martwili. Ubrałam się całkiem na czarno. Tak, czarny idealnie odzwierciedlał mój nastrój.

Gdy Iv mnie zobaczyła, od razu spytała:

– Czemu ubrałaś się cała na czarno?

– Jestem w żałobie – mruknęłam. – A poza tym pasuję teraz do twojego samochodu – dodałam zgryźliwie.

– Ty naprawdę lubisz się dręczyć – odpowiedziała, nie zwracając uwagi na mój zły humor.

Ale bądźmy szczerzy, co Iv mogła o tym wszystkim wiedzieć? Nie przeżyła tego, co ja. A czegoś takiego nie życzę największemu wrogowi. Nawet Debbie.

W szkole było jako tako. Oczywiście do momentu, gdy zobaczyłam Maksa. Widziałam go tylko przez chwilę, ale on też mnie zauważył. W jego oczach dostrzegłam ulgę.

Ciekawe czemu, no nie? Może po tym jak mnie wczoraj nie było, przestraszył się, że coś sobie zrobiłam? A to dobre...

Gdy tylko Iv zauważyła, że patrzę na Maksa, od razu złapała mnie za rękę i odciągnęła na bok, a następnie powiedziała:

– Margo, przestań! Patrzenie na niego oczami smutnego spaniela raczej ci nie pomoże. To drań, taki sam jak Peter. Nie powinnaś zwracać na niego uwagi.

Taak, łatwo powiedzieć. Kurczę, znowu mi się chciało płakać.

– Ja po prostu nie mogę zrozumieć, dlaczego... – westchnęłam i poczułam pierwszą łzę ściekającą mi po policzku.

– To czemu go o to jeszcze raz nie zapytasz?

– Co?

– Zamartwianie się i wypłakiwanie oczu raczej ci nie pomoże – stwierdziła. – Powinnaś przecież wiedzieć, dlaczego Max z tobą zerwał. Byliście razem bardzo szczęśliwi, więc to jest tym dziwniejsze.

– Tak sądzisz? – spytałam i wytarłam policzek.

– Tak sądzę – odpowiedziała.

Może Ivette rzeczywiście ma rację? Zresztą jej wyjaśnienie ma więcej sensu niż to, co sobie sama zarzucam. W końcu nikt nie zrywa tylko dlatego, że ktoś wszedł do lasu. Poza tym las to własność publiczna. Każdy ma prawo tam wejść.

Tak, muszę poznać prawdę i, jak rany, nie poddam się, póki nie znajdę odpowiedzi na moje pytania!

Poprosiłam Iv, żeby spróbowała dowiedzieć się jeszcze czegoś więcej o Maksie i jego znajomych. Sama też popytałam wśród paru osób.

Jednak najgorzej było podczas historii sztuki. Musiałam wtedy siedzieć przez całą godzinę obok Maksa. OK, przyznaję się. Zgrywałam twardą babę, nie zwracałam na niego uwagi. Jednak moje serce cały czas krwawiło.

Parę miesięcy temu to ja jego zmuszałam do rozmowy, a teraz to on mnie zagadywał. Staralam się całkowicie go ignorować, ale chyba było mu przykro z tego powodu. Raz przyłapałam go na tym, jak sam przyglądał mi się wzrokiem smutnego spaniela. Ale w końcu czego się spodziewał? W końcu ze mną zerwał. A ja dowiem się, dlaczego, albo nie nazywam się Margo Cook! A ponieważ tak się nazywam, więc na pewno osiągnę swój cel. Tak. Wiem, że jestem zarozumiała. Ale dobrze mi z tym, zwłaszcza kiedy mam zły humor!

Moje imieniny też raczej do przyjemnych nie należały. Jeszcze jakiś tydzień temu pewnie nie mogłabym się ich doczekać i zastanawiałabym się, czy Max coś mi zaśpiewa. A tak?

W każdym razie Ivette jest moją najlepszą przyjaciółką. Wiecie, co mi dała? Ręcznie robioną kartkę z wierszykiem, który miał mnie podobno podnieść na duchu i rozśmieszyć:

*Kochaj chłopców, ale ładnych,  
nie blondynów, tylko czarnych.  
Bo blondyni bałamuca,  
pokochają i porzucą.*

Taaak, strasznie mnie to rozśmieszyło. Mało się nie popłakałam ze śmiechu, zwłaszcza przy ostatniej linijce...

W dniu moich imienin, gdy wychodziłam z Iv ze szkoły, Max niespodziewanie podszedł do mnie i powiedział:

– Eee, wszystkiego najlepszego.

– Hm, dziękuję – mruknęłam.

Cała ta sytuacja była jakaś taka niezręczna. Kurczę, ja go ciągle bardzo lubię. Ciekawe, czy on mnie też? Gdy siedziałyśmy potem z Ivette w samochodzie, ta stwierdziła:

– Myślę, że on żałuje tego, co zrobił.

– Naprawdę tak myślisz? – spytałam z nadzieją.

– Tak, tylko wiesz, co? Wkurzające jest to, że on nie wie, czego chce – odpowiedziała.

Eee, nie zrozumiałam i chyba było to po mnie widać, bo zaraz dodała:

– Najpierw mówi ci, że nie chce z tobą chodzić, a teraz zachowuje się tak, jakby miał nadzieję, że jeśli będzie miły, to znowu się zejdziecie.

Jezu... od kiedy to z niej taki znawca ludzkiej psychiki?

– Uważam, że powinniśmy się dowiedzieć, dlaczego tak się zachował. Poznamy wtedy prawdziwe motywy jego postępowania – mówiła dalej.

Rany boskie! Co się z nią stało?! Zawsze myślałam, że to ja potrafię wstawiać takie freudowskie gadki.

Aa, już wiem...

– Czytałaś jakąś książkę w moim domu? – spytałam.

– Eee... tak – mruknęła. – Ale nie powinnaś mi się dziwić. Jak byłaś w złym humorze, to nie miałam co ze sobą zrobić, więc z nudów przeglądałam książki w biblioteczce, w salonie.

Matko... stworzyłam potwora!

Ale teraz zostaje nam rzeczywiście tylko dowiedzieć się, dlaczego ze mną zerwał. Podejrzewam, że to wina tego Akiego. Jeśli oni są jakąś sektą, to Aki mógł kazać mu ze mną zerwać i Max musiał zrobić to, co mu kazano. Wiem, bo przeczytałam wszystko, co było w bibliotece publicznej o sektach. Kiedy poprosiłam bibliotekarkę o pomoc, to popatrzyła na mnie jak na co najmniej psychopatycznego mordercę, więc potem dałam jej już spokój i sama sobie radziłam.

Poza tym niedługo pełnia. No nie takie znowu niedługo. Muszę czekać jeszcze jakiś tydzień z kawałkiem, ale wytrzymam. I znowu wejść do lasu. Nie poddam się tak łatwo. Odzyskam Maksa, choćbym miała podpaść sekcie, natknąć się w lesie na wilka albo znowu zostać zaatakowana przez Jaguara. Mnie nie tak łatwo przestraszyć!!!

Och, no dobra. Przyznaję się, po cichu mam nadzieję, że może jakimś cudem wszystko się wyjaśni i w ogóle nie będę musiała zbliżyć się nawet do granicy lasu. Ale przy moim szczęściu pewnie będę zmuszona wleźć do tej przeklętej głuszy. I pomyśleć, że to wszystko przez nią, a raczej przez wieczór, w którym pojechałam z Peterem na przyjęcie. Gdybym wtedy się tam nie zgubiła, to Max by mnie nie znalazł i w ogóle nie miałabym problemu.

Chociaż tego to akurat nie żałuję.

## 12.

Przez ten tydzień, w którym niestety nie wydarzyło się nic, co by mnie mogło powstrzymać przed eskapadą do lasu, dokładnie przemyślałam wszystko, co zrobię. No, w zasadzie to niczego nowego nie wymyśliłam, ale uznałam, że tym razem do pomocy będę potrzebowała Ivette. Jest prawie niezbędnym elementem mojego planu, bo jeśli się nie zgodzi, to i tak pójdę. Nic mnie nie powstrzyma!!!

Swoją drogą, ciekawe, czy się zgodzi, no nie? Bo byłoby mi jakoś tak różniej...

– To jak, pomożesz mi? – spytałam, gdy już wszystko jej opowiedziałam.

– No, nie wiem – mruknęła.

– Mamy czas, żeby się przygotować – dodałam.

– Jak to my? Ja nie mam zamiaru wałęsać się po ciemnym lesie w środku nocy! – zaprotestowała szybko. Jakbym słyszała samą siebie sprzed jakiegoś miesiąca.

– Ale jesteś mi potrzebna. Poza tym już mi obiecałaś, że pomożesz – przypomniałam.

– No tak, ale nie miałam wtedy na myśli chodzenia po lesie.

– Wcale nie musisz iść ze mną – powiedziałam.

– Jak to? – spytała nieufnie.

– Posłuchaj. Pomyślałam, że tak na wszelki wypadek ktoś powinien wiedzieć, gdzie jestem, no nie? Ty więc zostaniesz w moim domu i gdybym długo nie wracała, zawiadomisz policję albo jakieś inne władze.

– Coraz mniej mi się to podoba – stwierdziła Iv. – Poza tym, co z twoimi rodzicami? Nie pozwolą ci wyjść.

– Nimi już się zajęłam – powiedziałam i przypomniałam sobie poranną rozmowę.

Mama akurat była w łazience, więc zagadnęłam tatę:

– Strasznie dawno nie byliście razem na randce.

– Hm, w zasadzie chyba tak – odpowiedział, dalej czytając gazetę.

Nic do niego nie dotarło, więc próbowałam dalej:

– A nie sądzisz, że powinieneś zaprosić mamę do kina albo restauracji?

Na pewno bardzo by się ucieszyła.

– Tak myślisz? – spytał, nadal czytając.

– Tato, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Ależ oczywiście. Więc o czym mówiłaś? – spytał, wpatrując się w tekst gazety.

Krew człowieka zalewa, no nie? W końcu nie wytrzymałam i wyrwałam

mu przedmiot jego zainteresowań.

– Hej, jeszcze nie skończyłem. Oddaj! – No proszę, wreszcie zauważył, że poza gazetą istnieje jeszcze coś takiego jak, na przykład, rzeczywistość?

– Mówiłam, że powinieneś zaprosić mamę na randkę – powiedziałam, ignorując jego prośbę.

– Dlaczego? Są jej urodziny?

Tak na marginesie, to mama ma urodziny w grudniu, a teraz był maj.

– Nie tato, ale nie sądzisz, że już dość dawno nie byliście na żadnej randce?

– Hm, chyba tak.

No nie. Czas wytoczyć cięższą artylerię.

– Mama może czuć się niedowartościowana, skoro prawie nie zwracasz na nią uwagi – powiedziałam z poważnym wyrazem twarzy.

– Naprawdę? – nagle tata się zainteresował.

Oho, połknął haczyk. I sami powiedzcie, czy nie jestem genialna?

– Naprawdę – odpowiedziałam śmiertelnie poważnie. – Uważam, że powinieneś zaprosić ją w tę sobotę do restauracji albo do kina. Chociaż najlepiej tu i tu. Musi poczuć się doceniona.

– Wiesz? Chyba masz rację. Ostatnio jest jakaś taka cicha.

– Ależ oczywiście. Przecież ja zawsze mam rację – mruknęłam, ale głośno powiedziałam: – Mówię ci, tato, powinieneś tak zrobić...

Nagle moje rozmyślenia przerwał głos Ivette:

– Margo, czy ty mnie w ogóle słuchasz?! Uważam, że wchodzenie w nocy do lasu to kompletna głupota. Nie powinnaś tego robić!

– Ale muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi. Możesz u mnie nocować w tę sobotę?

– Przecież w sobotę zamierzasz iść do lasu.

– Wiem. Ty poczekaś na mnie u mnie w domu i tak jak wcześniej mówiłam, gdybym nie wracała, wezwiesz pomoc.

– Naprawdę muszę brać w tym udział? – jęknęła.

– Tak – odparłam bezwzględnie.

– No dobra, ale nadal uważam, że to głupota. Poza tym jak chcesz ich tam znaleźć? Znowu pójdziesz za Maksem?

– Nie, usłysz mnie. Po prostu może na nich trafię.

Tak, wiem, że to równie prawdopodobne, jak to, że kiedyś polecę na Księżyc.

– Zgubisz się.

Owszem, też dręczy mnie taka obawa, i to przez cały czas.

– Może nie – powiedziałam już mniej pewnie. – Wezmę ze sobą kompas, tak jak poprzednio.

– Aha – mruknęła Ivette i spytała: – A co będzie, jeśli znowu spotkasz Jaguara? Jeszcze nie wyjechał z miasta.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że go nie spotkam – odparłam. Taa... to by było zdecydowanie najgorsze zakończenie tej przygody. Wieczorem położyłam się do łóżka i zasnęłam.

Stałam. Otaczał mnie wysoki ciemny las. Na niebo wschodził właśnie księżyc w pełni. Powoli ruszyłam w stronę światła rozchodzącego się zza drzew. Po cichu wyrztałam zza krzaków otaczających polanę. Dookoła ogniska siedziała grupa osób. Jednak nikogo nie mogłam rozpoznać.

Nagle nadepnęłam na gałązkę, która pękła z trzaskiem. W moją stronę zaczęły odwracać się wszystkie twarze. Ja jednak już ich nie widziałam. Biegłam. Usłyszałam za sobą krzyki. Przyspieszyłam.

Jedynym dźwiękiem przerywającym ciszę nocy był trzask pękających pod moimi stopami gałązek. Myślałam, że ich zgubiłam. Nagle usłyszałam za plecami kroki. Na początku były ciche, ale stopniowo stawały się coraz głośniejsze. On się zbliżał. Przyspieszyłam.

Przed sobą zobaczyłam wzgórze. Zaczęłam na nie wbiegać. Gdy tylko dotarłam na szczyt, ujrzałam przed sobą czarnego wilka wyjącego do księżyca. Przystanęłam przerażona.

Znowu usłyszałam za sobą kroki. Mój prześladowca złapał mnie za ramię! Szybko się odwróciłam i zobaczyłam go...

W tym momencie obudziłam się, oddychając ciężko. Jest źle. Mój koszmar znowu się zmienił! Teraz już wiem, czemu uciekam, i wiem też, kto mnie goni! Twarz, którą zobaczyłam, zanim się obudziłam, była twarzą Maksa...

W końcu nadeszła sobota. Dzień, w którym najprawdopodobniej znowu zgubię się w lesie. To straszne!!! Od samego rana mam okropne przeczucia...

Po południu przyszła Iv. Na szczęście jej rodzice zgodzili się, żeby dzisiaj u mnie przenocowała. Uzgodniłyśmy, że jak nie wrócę do północy, ma wezwać policję. Chociaż nie podejrzewam, żeby była potrzebna. Najwyżej znajdę się nad ranem piętnaście kilometrów stąd, niedaleko jakiegoś miasteczka.

Mój tata przeszedł samego siebie. Zaprosił mamę do kina, potem do drogiej restauracji, a następnie do hotelu. Jak to miło – nie chcą, żebym im przeszkadzała. No i dobrze, przynajmniej nie wrócą na noc.

Gdy rodzice wreszcie wyszli, opowiedziałam Ivette o moich snach, nawiedzających mnie już od paru miesięcy.

– Czemu wcześniej nic nie mówiłaś?! – spytała lekko zdenerwowana.

– Nie sądziłam, że to ważne. Ale po tym wczorajszym muszę ci przyznać, że jestem przerażona – odpowiedziałam.

– W takim razie nie idź do lasu.

– Muszę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Mówisz, że kiedy pojawiły się te sny?  
– Jak przyjechaliśmy do Wolftown.  
– Dziwne – mruknęła Iv.  
– I straszne – dodałam. – Nie mogę przez nie spać.  
– A jak mieszkałaś w Nowym Jorku, to ich nie było? – upewniła się Ivette.

– Nie, po raz pierwszy śniło mi się to tutaj.  
– I nie boisz się iść do lasu? – zapytała z niedowierzaniem.  
– Boję się jak diabli – odparłam.  
– To nie idź. To przecież głupota – usiłowała mnie zniechęcić. –  
Posłuchaj mojej rady! Nie idź!!!

– Nie, muszę się dowiedzieć, co oni tam robią. Może jak zrozumiem, to łatwiej mi będzie pogodzić się ze stratą Maksa – powiedziałam.

A może nawet go odzyskam?

Gdy dochodziła dziewiąta, przebrałam się w czarną bluzkę i spodnie i podeszłam do kuchennych drzwi. W rękę wzięłam latarkę (może tym razem nie będę miała poobijanych nóg), a do kieszeni schowałam kompas.

– Wrócę też przez kuchnię – powiedziałam do Ivette.  
– Okay, tylko się nie zgub. Przez najbliższe dwie godziny będę umierała ze strachu! Już nie mogę się doczekać, kiedy wrócisz.

– Iv, spokojnie. W końcu, co mi się może stać? Najwyżej się zgubię.

– Jeśli to sekta, to może ci się coś stać – powiedziała z naciskiem. – Proszę, uważaj na siebie. A jeśli zauważysz, że składają ofiary ze zwierząt, to uciekaj! Jeśli zabijają psy, to znaczy, że nie cofną się przed niczym!

– Dobra – obiecałam i wybuchnęłam śmiechem.

Czy wspominałam już, że Iv jest gorącą zwolenniczką Greenpeace i tych wszystkich stowarzyszeń dbających o ochronę zagrożonych gatunków? Chyba wspominałam, ale to niezwykle, zważywszy, że ma alergię na prawie każdego rodzaju sierść, więc na zdrowy rozum nie powinna tak przepadać za futrzakami.

Ivette nie będzie chyba narzekać na nudę podczas mojej nieobecności. Wypożyczyłyśmy parę fajnych filmów, a poza tym zrobiłam przed wyjściem olbrzymią miskę popcornu. Gdyby moi rodzice dzwonili, to ma im powiedzieć, że jestem właśnie w toalecie albo coś podobnego. Mam nadzieję, że sobie poradzi, no i że ja również sobie poradzę...

Całe podwórko zalane było księżycową poświatą. Spojrzałam w górę. Księżyc w pełni – aż ciarki chodzą po plecach. Otworzyłam furtkę na tyłach domu i weszłam pomiędzy drzewa.

Las wyglądał, jakby zasnął. Normalnie, w ciągu dnia, jest tu bardzo głośno: śpiewają ptaki i słychać szum wiatru w liściach. A teraz panowała niczym niezmacona cisza. Mój nerwowo oddech wydawał się wręcz nie na

miejscu.

Powoli zagłębiłam się pomiędzy drzewa. Wszystko wyglądało jak w moim śnie, który odżył w wyobraźni. Tak na wszelki wypadek trochę przyspieszyłam. Nigdzie nikogo nie widziałam. Prawdopodobnie w ogóle nikogo nie znajdę. Ale uparcie szłam coraz dalej.

Ostrożnie stawiałam stopy i uważnie nasłuchiwałam, usiłując wychwycić z mroku jakiś dźwięk, choćby najcichszy. Szłam już w ten sposób jakąś godzinę. Chciałabym zauważyć, że to jest bardzo męczące. Zwłaszcza, jak się uważa, żeby zbyt często nie przewracać się na twarz. No, bo niby wzięłam latarkę, ale stwierdziłam, że bezpieczniej będzie jej jednak nie używać.

Nagle, daleko przed sobą, zauważyłam jakiś błysk. Starając się nie narobić hałasu, zaczęłam iść w tamtą stronę. Jakieś dziesięć metrów przede mną, na małej polanie rozpalone było ognisko. Moje serce zabiło gwałtowniej.

Znalazłam ich...

Dookoła ogniska siedzieli metalowcy, bardzo dziwnie ubrani. Hm, dziwnie? To chyba naprawdę jakaś sekta. Każdy miał na sobie dość szeroką eee... sukienkę. Tak, sukienka to chyba najlepsze słowo opisujące ich strój. Chociaż może to wyglądało raczej na czarne worki z otworami na głowę i ręce.

Bezszelestnie podkrađłam się do najbliższej kępy krzaków i zaczęłam ich obserwować, próbując wypatrzeć Maksa. Nagle wśród osób zgromadzonych przy ognisku zaczął się ruch. Nie zdążyłam nawet pomyśleć, o co chodzi, gdy nagle na polanę wbiegł srebrzystoszary wilk. Przestraszona, cofnęłam się. Myślałam, że metalowcy zaczną uciekać, albo chociaż krzyczeć, ale oni po prostu siedzieli dalej jakby nigdy nic.

Wilk podszedł do jednej z dziewcząt i pozwolił, żeby włożyła mu na pysk ten ich czarny worek. Nic nie rozumiejąc, patrzyłam tylko i nagle, ku mojemu zdumieniu, wilk zamienił się na moich oczach (no, w zasadzie to pod tym workiem) w Maksa! Widziałam to na własne oczy, ale nie mogłam uwierzyć! Powoli znikało futro, przednie łapy przekształciły się w ręce, a tylne w nogi! Po paru sekundach Max stał już w ludzkiej postaci i witał się z przyjaciółmi. Tak jakby to, co przed chwilą zrobił, było czymś normalnym!

Byłam przerażona, mimowolnie cofnęłam się i nadepnęłam na gałązkę, która z głośnym trzaskiem pękła pod moim ciężarem.

Zaraz, skąd ja to znam? O matko! Mój sen się sprawdza!!!

Postacie przy ognisku szybko odwróciły się w moją stronę, zaniepokojone tajemniczym dźwiękiem. Niektórzy zamienili się w wilki i wyswobodzili z szat krępujących ich ruchy. Powoli zaczęli zbliżać się do mnie. Stwierdziłam, że zrobię to, co w moim śnie – ucieknę.

Po cichu wycofałam się, i cały czas ich obserwując, zaczęłam się oddalać. – Tam ktoś jest! – usłyszałam krzyk jakiegoś chłopaka.

W tym momencie stwierdziłam, że nie ma się już po co kryć. Puściłam się

biegiem, nie zwracając uwagi na to, czy hałasuję, czy nie.

– Margo? – usłyszałam za sobą pełen niedowierzania krzyk Maksa, a raczej głośne pytanie, które w ciszy nocy zabrzmiało donośnym echem.

Jednak byłam zbyt przerażona, żeby stanąć, tylko przyspieszyłam. Tak jak w moim koszmarze, biegłam przez otaczającą mnie ciemność. Latarkę zgubiłam gdzieś po drodze. Zresztą i tak jej nie używałam.

Korzenie i gałęzie strasznie utrudniały mi bieg. Musiałam uważać, żeby nie dostać w twarz jakimś niewidocznym w ciemności konarem albo nie wyłamać nogi ze stawu, zahaczając o korzeń. To było bardzo trudne...

W pewnym momencie poczułam szarpnięcie w kostce, świat przed moimi oczami zawirował, a ja runęłam w dół. W czasie spadania wyciągnęłam przed siebie ramiona, żeby chociaż trochę zmniejszyć siłę uderzenia. Jednak nie na wiele się to zdało. Rąbnęłam o ziemię całym ciężarem ciała i stoczyłam się z jakiegoś wzniesienia.

A niech to! Zdarłam sobie do krwi skórę na łokciach. Już teraz czułam ciepłe strumyczki ciekące mi po opuszczonych dłoniach. No tak, nie pomyślałam, żeby mimo ciepłej nocy włożyć bluzkę z długim rękawem i teraz przez to cierpiałam. Kurczę, piekło jak nie wiem! Dzinsy też podarłam na kolanach. Ale nie tym się przejmowałam. Moim problemem było w tym momencie stado wilków za plecami.

Uciekać! I to jak najszybciej!!!

W ciemności, tuż za mną, rozlegały się odgłosy pogoni, ale nie brzmiały jak uderzenia psich łap, raczej jak ludzkie kroki. Jednak wolałam się nie oglądać i nie sprawdzać, w jakiej postaci mnie gonią.

Po prostu uciekałam.

W oddali przed sobą zobaczyłam niewysokie wzgórze. Ruszyłam w jego stronę. Kiedy później się nad tym zastanawiałam, nie miałam pojęcia, dlaczego pobiegłam akurat tam. Na zdrowy rozum powinnam uciekać w przeciwną stronę, bo wiedziałam już, co mnie czeka. Jednak nieuchronnie zmierzałam ku swemu przeznaczeniu. Ależ to dramatycznie brzmi!

Zacząłam wspinać się na wzniesienie. Kiedy zdyszana dotarłam wreszcie na szczyt, zatrzymałam się nagle jak sparaliżowana. Przede mną stał czarny wilk. Podniósł pysk i zawył do księżyca. Następnie spojrzał na mnie i zaczął warczeć, obnażając ostro zakończone kły. Powoli ruszył naprzód.

Matko! Przecież on zaraz się na mnie rzuci!!! Nie zdążę uciec!

Zacząłam się cofać, jednak nie mogłam oderwać od niego wzroku. Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w czarne ślepia, usiłując się domyślić, czy kryje się za nimi ktoś, kogo znam.

Nagle poczułam, że ktoś łapie mnie za ramię! Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam Maksa.

– Margo, nie uciekaj – powiedział, patrząc na mnie smutno, a następnie

warknął w stronę wilka. – Aki, przymknij się!

A wilk, czyli Aki, przestał warczeć.

– Dlaczego mnie śledziłaś? – spytał Max. Zauważyłam, że był ubrany w czarną szatę. Widocznie gonił mnie pod postacią człowieka.

– Jeszcze się pytasz? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie. – Chcę ci pomóc. Myślałam, że jesteś w jakiejś sekcji, więc poszłam za tobą, a ty... – przerwałam, nie wiedząc, jak to wyrazić.

– Margo, nawet nie wiesz, w co się wpakowałam – powiedział. – Musimy...

Lecz przerwał mu odgłos strzału, który rozległ się nad naszymi głowami. W drzewie, obok którego staliśmy, zobaczyłam głęboką dziurę po kuli. Max pociągnął mnie na ziemię.

– Ktoś do nas strzela! – wydusiłam.

– Tak, musimy uciekać! – mruknął Max. – Przemienię się w wilka. Masz pobiec za mną, rozumiesz? Zaprowadzę cię do domu, ale musimy bardzo szybko uciekać.

Na moich oczach jego twarz wydłużyła się i zaczęła pokrywać srebrnym futrem, a chłopak opadł na kolana. Gdy był już wilkiem, pomogłam mu wyswobodzić się z czarnej szaty.

Max pociągnął mnie zębami za rękaw bluzki, nakazując, bym opadła na kolana. Po cichu zaczęłam za nim schodzić ze wzgórza. Było to bardzo trudne, bo poobijane wcześniej dłonie i kolana strasznie mnie bolały.

Niedaleko nas przemykał Aki pod postacią czarnego wilka. Starał się podkraść w naszą stronę, ale chyba płoszyły go rozbrzmiewające w ciemności kroki.

Gdy tylko znaleźliśmy się na dole, zaczęliśmy biec ile tchu. Starłam się rozwinąć największą szybkość, na jaką było mnie stać. Myślałam, że już uciekliśmy tajemniczemu myśliwemu, ale nagle usłyszałam kroki tuż za sobą i w chwilę potem nad moją głową przetoczył się huk wystrzału. Na szczęście kula nikogo nie trafiła.

Wciąż biegliśmy. Musiałam być strasznie daleko od domu. Co chwila gdzieś za nami rozlegał się strzał, przypominając, że cały czas jesteśmy śledzeni.

W końcu między drzewami pojawił się zarys mojego domu. Furtkę zostawiłam otwartą, więc Max i Aki, który jakiś cudem dołączył do nas po drodze, szybko wbiegli do ogrodu. Ja zrobiłam to samo i zamknęłam za sobą zardzewiałe wrota. Choroba! Dlaczego nie ma w nich zamka???

Nagle zza drzew wyszedł Jaguar. No tak, któż inny miałby nas gonić?

Zatrzymał się naprzeciwko mnie i wymierzył ze strzelby do Maksa. Przestraszona stanęłam na linii strzału i rozłożyłam szeroko ramiona, zasłaniając własnym ciałem wilki.

- Co pan robi?! – krzyknęłam.
- Hm, znowu się spotykamy. Zejdź z linii strzału, dziewczyno – mruknął w odpowiedzi, uśmiechając się krzywo.
- Z jakiej linii strzału?! To teren prywatny! Proszę się stąd natychmiast wynosić! – krzyknęłam hardo.
- Tak mi się odwdzięczasz za to, że odprowadziłem cię wtedy bezpiecznie do domu? Poza tym, albo mi się zdaje, albo stoję po drugiej stronie furtki od tego „terenu prywatnego” – stwierdził ironicznie.
- Może i tak, ale nie ma pan prawa stać tu i mierzyć do mnie z karabinu!
- To strzelba – powiedział zde gustowany. – A poza tym mierzę w wilki, a nie w ciebie, więc się przesun!
- To nie są wilki – powiedziałam szybko.
- A niby co, strusie?
- To są moje psy – warknęłam. – A pan jest ślepy, jeśli tego nie widzi!
- To są wilki, nie wmawiaj mi tu głupot!
- Czy jeśliby to były wilki, to zrobiłabym coś takiego? – Podeszłam do Maksa i poklepałam go po głowie, a on dla większego efektu wywalił język.
- Nie wiem, czy to wilki, czy nie, ale mam zamiar je zastrzelić – stwierdził, celując tym razem w Akiego.
- Nie ma pan prawa! – krzyknęłam, znowu zasłaniając sobą lufę. – Do domu, przez kuchnię! – krzyknęłam do wilków. – W drzwiach jest klapka!
- Co ty robisz?! – warknął Jaguar i usiłował strzelić, ale uniemożliwiłam mu to, łapiąc za strzelbę i wieszając się na niej. Tak, wiem, że to nie było mądre, ale działałam pod wpływem impulsu.
- Puść to!!! – krzyknął wściekły i szarpnął strzelbę. Jednak teraz to mógł mi nagwizdać. Max i Aki zdążyli już uciec do kuchni przez klapkę zrobioną dla Swetera, więc było mi wszystko jedno.

Jak się później dowiedziałam, wbiegli do domu, nie zauważając Ivette, która akurat też weszła do kuchni, słysząc dobiegające z ogrodu krzyki.

Na jej oczach zamienili się z powrotem w chłopców, ale... no cóż, nie mieli na sobie niczego, bo czarne szaty zostawili gdzieś w lesie. Słowem: byli goli.

Gdy Iv zobaczyła, jak się przemienili, upuściła pustą miskę po popcornie, a ta rozbiła się na podłodze. Przerażeni chłopcy odwrócili się w jej stronę, dopiero teraz zauważyli jej obecność i gwałtownie zasłonili się pierwszą rzeczą, jaka była pod ręką, czyli obrusem z kuchennego stołu. Narobili tym jeszcze większego hałasu, bo z obrusem ściągnęli na podłogę wazon z kwiatami.

Dziwię się, że Ivette nawet nie krzyknęła. Widocznie całkowicie ją zatkało.

- A ja myślałam, że wy po prostu należycie do jakiejś sekty –

wymamrotała tylko, nadal przypatrując się im uważnie.

W innej sytuacji to pewnie byłoby bardzo zabawne, ale w tym momencie nikomu nie było do śmiechu.

Tymczasem ja wciąż siłowałam się z szalonym myśliwym. Zdołał mi już wyrwać swoją strzelbę i teraz mierzył prosto we mnie.

– Jeśli zaraz nie zawołasz tu tych wilków, to cię zastrzelę i nie będę miał przy tym żadnych oporów – wycedził wściekły.

– Taak? To niech pan spróbuje! – wrzasnęłam (ach, ta moja inteligencja, no nie?).

– Margo? Co się tam dzieje? – krzyknęła Iv, wychylając się zza drzwi do kuchni. Widocznie pokonała już zdziwienie i wreszcie zauważyła, że tylko ja nie wróciłam.

Gratulacje dla refleksu...

– Zadzwoń na policję! – zawołałam.

– I co mam im powiedzieć?

– Że pan Jaguar wtargnął na teren prywatny, groził mi z broni palnej, chciał zastrzelić moje psy i nielegalnie polował na wilki! – krzyknęłam, a do Jaguara powiedziałam: – I co? Nadal chce mnie pan zastrzelić? Wtedy do listy pana zbrodni doszłaby jeszcze próba morderstwa.

– Jeszcze tego pożałujesz. Poza tym to nie byłaby próba morderstwa, tylko morderstwo! – warknął i szybko odszedł.

Patrzyłam chwilę za nim, ale zaraz pobiegłam do domu. Jezu, morderstwo??? No tak, z odległości dwóch metrów pewnie by we mnie trafił z tego swojego karabinu, czy co to tam było.

Gdy weszłam do kuchni, zastałam czerwoną na twarzy Iv stojącą po jednej stronie stołu i równie czerwonych chłopców stojących po drugiej. Wszyscy starannie unikali się wzrokiem.

– To co robimy? – spytała Ivette. – Dzwonimy?

– Chyba nie – odpowiedziałam. – Jaguar uciekł, a poza tym jak byśmy to wszystko wyjaśnili?

– No tak – mruknęła w odpowiedzi. – Margo! Twoje ręce! O, dopiero teraz zauważyłam. Całe były w ziemi, a z poobcieranych łokci nadal sączyła się krew, skapując prosto na podłogę.

Ciekawe, czy nie powinnam wziąć zastrzyku przeciwtężcowego. Odkręciłam ciepłą wodę i opłukałam ręce nad zlewem. Ooo, kiedy spłynęła z nich ziemia, zobaczyłam, że praktycznie nie mam skóry na łokciach. Czy wspominałam już, że widok krwi, a zwłaszcza mojej własnej, przyprawia mnie o zawroty głowy? Nie? No to teraz mówię!!!

Ponieważ lekko się zatoczyłam, Ivette podbiegła do mnie i przycisnęła mi rany ściereczką kuchenną. Zachowała się jak wzorowa pielęgniarka, bo połała

mi łokcie spirytusem salicylowym (to bolało!) i przykleiła okazałych rozmiarów opatrunki, które wyjęła z apteczki wiszącej obok drzwi. No proszę, mieszkam w tym domu, a nawet nie wiedziałam, że jest tu apteczka.

Tylko co teraz? Utknęłam w domu z Iv i z dwoma nagimi chłopakami. Jak ja to wyjaśnię rodzicom? Mam nadzieję, że wrócą dopiero nad ranem.

– Eee, może chodźmy do salonu – powiedziałam. – Poczekajcie tam, a ja poszukam wam jakichś ubrań – dodałam po chwili, zostawiając Iv samą z Akim i Maksem.

Nie bardzo wiedziałam, co im przynieść. W żadną z moich rzeczy by się nie zmieścili. Stwierdziłam więc, że dam im stare podkoszulki taty i jakieś jego szorty. Po paru minutach zesłam do salonu, gdzie panowała przeurocza atmosfera. Iv usiadła jak najdalej od chłopców. Żadne z nich się nie odzywało, a powietrze w pokoju było tak gęste, że można by je kroić nożem.

Gdy chłopcy się przebrali i wrócili do salonu, powiedziałam:

– Może jeszcze trochę poczekajcie. On może się czaić gdzieś tam, na zewnątrz.

– Eee, dobrze – zgodził się zakłopotany Max, siadając obok mnie.

Odruchowo się odsunęłam. Spojrzał na mnie ze smutkiem.

– Czy możesz mi powiedzieć, czemu poszłaś do lasu?

– Już mówiłam. Myślałam, że się w coś wpakowałeś. Sądziłam, że naprawdę jesteś w jakiejś sekcie. A po tym jak ze mną zerwałeś, jeszcze bardziej chciałam zrozumieć, o co tu chodzi! Musiałam zrozumieć, dlaczego.

– No tak – powiedział Max. – Ale prosiłem cię, żebyś już więcej za mną nie szła.

– No i nie szłam za tobą. Przypadkiem natrafiłam na wasz obóz w tym samym momencie, co ty. Nie złamałam więc danego słowa – dodałam.

Wiem, że to pokrętne tłumaczenie, ale w końcu prawdziwe, no nie?

– Dobra, nie kłóćcie się – niespodziewanie wtrącił się Aki.

– Przejdźmy do konkretów.

– Margo i... eee, jak się nazywasz? – Aki zwrócił się do Iv.

– Ivette – mruknęła cicho.

– No, więc Ivette. Nie wolno wam pisać nikomu ani słowa o tym, co dzisiaj zobaczyłyście. Nikomu albo...

– Nie groź im – przerwał mu Max.

– Nie sądzicie, że powinniście wyjaśnić nam, o co tu chodzi?

– spytałam.

– W zasadzie... – mruknął Aki.

– Cała tajemnica w tym, że potrafimy zamieniać się w wilki – powiedział Max, znowu mu przerywając.

– Ale dlaczego? – spytała Iv.

– Nie wiemy – stwierdził Aki. – Potrafimy to od urodzenia.

– Może to jest dziedziczne. Wasi rodzice też to potrafią?

– spytałam.

– W tym właśnie rzecz, że nie – powiedział Aki.

– To czemu wy...

– Nie wiemy – odpowiedział Max. – Po prostu to umiemy – westchnął i przejechał dłonią po włosach.

A ja tylko patrzyłam na niego i patrzyłam...

– Od dawna usiłowaliśmy się dowiedzieć, dlaczego jesteśmy inni – zaczął opowiadać. – Kilka lat temu odkryliśmy, że kiedyś w tej okolicy krążyła pewna legenda, dzisiaj już całkiem zapomniana. Opowiedziała nam ją babcia Marka. Pierwsi osadnicy, drwale, którzy tutaj zamieszkali, nazwali to miasto Woodtown, ponieważ założyli je głęboko w nieznanych sobie lasach. Na początku wszystkim żyło się dobrze, ale pewnej wiosny stado wilków zaczęło nękać osadę, jakby znajdowała się na ich terytorium łowieckim. Zawsze atakowały po zmroku, ale tylko podczas pełni. Część osadników zginęła zagryziona, niektórzy zaginęli i nikt nigdy nie odnalazł ich ciał. Wtedy też zmieniono nazwę osady na Wolfstown. Po pewnym czasie ataki zwierząt ustały. Osadnicy znowu zaczęli żyć normalnie, tak jak dawniej. Minęło kilka pokoleń i ludzie już zapomnieli o atakach, kiedy pewnego wieczoru, podczas pełni księżyca, kilkanaście dziewcząt, które wracały z targu w pobliskim miasteczku, zniknęło. Zaczęto ich szukać, jednak nie było po nich śladu. Zupełnie jakby zapadły się pod ziemię. Co niezwykle, podczas następnej pełni wszystkie wróciły z lasu, sądząc, że nadal jest ten sam dzień, podczas którego wracały z targu. Dopiero osadnicy uświadomili im, że nie było ich cały miesiąc. Jednak dziewczęta niczego nie pamiętały. Za to na ciele każdej z nich znaleziono ślad pojedynczego ugryzienia, niewielką ranę zadaną kłami wilka. Od tamtego czasu w miasteczku znowu panował spokój. Ale raz na trzy pokolenia po lesie zaczynały grasować wilki. Podobno byli to potomkowie tamtych dziewcząt, którzy mieli w sobie skażoną krew, ujawniającą swą moc raz na kilka pokoleń.

Max skończył opowiadać. Siedziałam zasłuchana, wpatrując się w niego uważnie. Nie wiedziałam, że to miasteczko jest aż tak stare i że ma tak niesamowitą legendę.

– To wy... – zaczęła Ivette, przerywając moje rozmyślenia.

– Babcia Marka, która nam opowiedziała tę legendę, dodała, że w jej rodzinie są potomkowie pierwszych osadników, czyli prawdopodobnie także tamtych dziewcząt – powiedział Aki. – Dziś tak naprawdę w każdym mieszkańcu Wolfstown może krążyć ich krew.

W pokoju zaległa cisza. Chłopcy patrzyli na nas z wyczekiwaniem.

– Skażona krew... – odezwałam się w końcu. – Podejrzewacie, że to wy ją odziedziczyliście i dlatego możecie się zmieniać?

Max przytaknął z westchnieniem.

– To dlatego Sweter tak dziwnie na ciebie zareagował – powiedziałam zamyślona.

– Sweter? – spytał Aki.

– Mój pies – wyjaśniłam.

– Znacie jakiegoś dorosłego, który też jest, eee... wilkołakiem? – spytała Iv.

– Nie – odpowiedział Max. – I nie nazywaj nas tak. Nie lubimy tej nazwy. Źle się kojarzy.

– Aha, dobra – mruknęła speszona.

– Mogłeś mi wcześniej powiedzieć – powiedziałam, patrząc Maksowi prosto w oczy.

– I jak byś wtedy zareagowała? – spytał gorzko. – Pewnie byś uciekła przestraszona i nie chciała byś mnie znać.

– Skoro nie bałam się wleźć za tobą do ciemnego lasu, mimo że zachowałeś się wobec mnie nie fair, bo myślałam, że należysz do jakiejś sekty mordującej i zjadającej psy, to niby dlaczego miałabym uciekać, wiedząc, że posiadasz pewne... zdolności?

– Zjadającej psy? – spytał i znowu na mnie spojrzał.

– Eee, taki przykład – odparłam.

– Margo, przepraszam – mruknął i wziął mnie za rękę. Zrobiło mi się gorąco. – Sądziłem, że tak będzie lepiej dla nas obojga. Myślałem, że będziesz dzięki temu bezpieczna.

Chcę zaznaczyć, że powiedział to w obecności swojego kumpla i Ivette. Gdyby mu na mnie nie zależało, to nie zbłądziłby się przed kolegą, no nie?

– A, właśnie – przerwała nam Ivette. Musiała się, kurczę, wtrącić?! – Co z twoim snem? Spełnił się?

– Jakiem snem? – spytał Max.

Musiałam więc opowiedzieć im o prześladowających mnie koszmarach, które zaczęły się, kiedy przyjechałam do tego miasteczka, a także o tym, jak sny się stopniowo zmieniały.

– Wszystko było tak jak w moim śnie – zakończyłam.

– I to ja miałem kompleksy, że jestem inny – mruknął Max.

– Nigdy wcześniej nie miałaś tych snów? Zaczęły się pojawiać dopiero, jak przyjechałaś do Wolfstown? – upewnił się Aki.

– Tak.

– Ciekawe, czy to ma jakiś związek z tym, że jesteście eee... tym, kim jesteście – powiedziała Ivette, czerwieniąc się.

– Podejrzone – stwierdził Aki.

Jeszcze jakieś pół godziny siedzieliśmy tak i rozmawialiśmy. Chłopcy opowiedzieli nam, jak odkryli swoje zdolności i dlaczego na wszelki wypadek utrzymywali je w tajemnicy. W końcu uznali, że powinni już iść do domu.

W drzwiach Max zatrzymał się i zwrócił do mnie:

– Co z nami będzie?

– A co ma być? – odparłam smutnym głosem. – Każde z nas miało swój sekret: ja moje sny, a ty to, że jesteś wilkiem. Po prostu dowiedzieliśmy się o tym. Chociaż muszę przyznać, że twój sekret zwałił mnie z nóg.

– No tak. Ale czy jest jakaś szansa, że będziemy znowu razem? – zapytał niespodziewanie – Jeśli nie chcesz, to zrozumiem. Wiem, że bardzo cię zraniłem. Poza tym, wiesz już, kim naprawdę jestem. I że nie jestem normalny...

– W zasadzie to już mnie przeprosiłeś... – powiedziałam i poczułam, że płomyk nadziei zamienia się w pożar ogarniający całe moje serce. – I wiem, kim jesteś dla mnie...

Co mam zrobić? Kocham go przecież i nie mogę go tak zostawić. A to, że ma wyjątkowe zdolności... No cóż, każdy jest jakoś inny...

– Czyli nic się nie zmienia? – spytał i uśmiechnął się. – Przeprosiny przyjęte?

– Tak – odpowiedziałam i też się uśmiechnęłam. – Ale będziesz musiał trochę pocierpieć. Spróbujesz nauczyć mnie jeździć na motorze, jasne?

– Dobrze – zgodził się i wziął mnie za rękę, starając się nie naruszyć opatrunków. – Bardzo cię boli?

– Niezbyt.

– Wiesz, bałam się, że już nigdy nie będziesz chciała mnie znać. Poza tym w szkole cały czas mnie ignorowałaś.

– Starłam się ukryć moje uczucia. To bardzo bolało – odpowiedziałam cicho.

– Przepraszam cię, Margo. Obiecuję, że już nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię – powiedział, marszcząc czoło.

Max raczej nie okazuje emocji ani wtedy, kiedy się z czegoś cieszy, ani wtedy, kiedy jest smutny. Dlatego ta jedna zmarszczka pomiędzy jego brwiami powiedziała mi więcej niż słowa. Max naprawdę się o mnie bał i myślał, że zrywając ze mną, obroni mnie przed samym sobą, a teraz wyraźnie tego żałował i jeszcze miał poczucie winy.

Czy on nie jest najwspanialszym chłopakiem na Ziemi?

– Wybaczam ci – powiedziałam i dotknęłam dłonią jego policzka.

Pocałował mnie na pożegnanie i powiedział:

– Skoro mamy jutro jeździć na motorze, to wpadnę po ciebie o dwunastej, w południe.

– Świetnie – ucieszyłam się.

Stałam jeszcze i patrzyłam, jak odchodzi, dopóki nie znikł mi z oczu. Potem zamknęłam drzwi i odwróciłam się do Ivette.

– Masz rację, ten Aki nie jest taki zły. – Teraz, gdy wiedziałam, że nie tworzyli sekty i nie byli też niczemu winni, widziałam go w zupełnie innym

świetle.

– Aki? Aki?! I tak nie mam już u niego żadnych szans! – prychnęła.

– Dlaczego?

– No, bo... no, bo... – zaczęła się jąkać. – Widziałam ich na golasa!!!

No tak. To rzeczywiście problem. Prawdopodobnie powinnam jej współczuć i jeszcze pogrzipiająco poklepać po ramieniu, ale ja, no cóż, roześmiałam się na całe gardło i długo nie mogłam przestać się śmiać.

Tak, mój tata pewnie by powiedział, że to była historyczna reakcja spowodowana traumatycznymi wydarzeniami, które mnie dzisiaj spotkały. Ale kto by się taką diagnozą przejmował? W końcu poznałam tajemnicę Maksa i znowu jesteśmy razem.

Znowu jesteśmy razem! Znowu jesteśmy razem!!!

Tylko że teraz wiem o nim dużo więcej. Wiem, że Max jest... wilkiem...? wilkołakiem...? O rany, i co ja mam o tym myśleć? W końcu na własne oczy widziałam, jak się przemienia...

No tak... zobaczymy, jak to będzie.

### 13.

Czy już mówiłam, że moje życie jest wspaniałe? Wiem, jeszcze parę dni temu na nie narzekałam, ale teraz cieszę się każdą sekundą. Nie spałam pół nocy, zastanawiając się, jak pomóc Maksowi i jego przyjacielom, ale niczego nie wymyśliłam. Dlatego postanowiłam nie marnować czasu i po prostu... żyć!

Oczywiście, od razu z samego rana w niedzielę zaczęły się kłopoty. Nadal nie potrafię zrozumieć, dlaczego Max plus motocykl plus ja to dla rodziców taki poważny problem. W każdym razie, po bardzo długiej dyskusji, która na szczęście skończyła się przed dwunastą w południe, pozwolili mi z nim jechać.

Max przyjechał punktualnie. Tak na wszelki wypadek czekałam na niego na dworze. Bałam się, że rodzice będą chcieli porozmawiać z nim o niebezpieczeństwach na drodze. Gdy Max zdjął kask, podał mi małą, czerwoną różę i powiedział:

– Jeszcze raz chciałbym cię przeprosić.

Jest kochany! Uwielbiam róże, ale nie te z kwiaciarni. Raczej malutkie, polne. I taką właśnie mi przywiózł. Czy może być coś wspanialszego od romantycznego chłopaka? Chyba nie.

– Max, nie musisz. Już ci wybaczyłam – odpowiedziałam.

– Wiem, ale sam sobie jeszcze nie wybaczyłem – mruknął.

Następnie wsiedliśmy na motor i pojechaliśmy do szpitala. Taak, pewnie zastanawiacie się, dlaczego? Gdy brałam wieczorem prysznic, odkryłam, że na kolanie (tam, gdzie wczoraj podarłam dżinsy) też mam zdartą skórę. Poza tym, tak na wszelki wypadek, wołałabym dostać zastrzyk przeciwtępcowy. W końcu, przy moim pechu...

– Wiesz, chyba zmieniłam zdanie – powiedziałam szybko, gdy zatrzymaliśmy się przed budynkiem szpitala.

Może to głupie, ale miałam teraz większego stracha niż wtedy w lesie.

– Dlaczego? – spytał Max i spojrzał na mnie uważnie.

– Eee...

– Boisz się? – Max nie ukrywał zdumienia.

– Trochę – przyznałam.

– Boisz się szpitali? – spytał jeszcze raz, jakby chciał się upewnić.

Fajnie, pewnie teraz pomyśli, że jestem jakaś dziwna. Co ja poradzę na to, że naprawdę nie lubię szpitali? One mnie wręcz przerażają. Ten zapach, te białe ściany i ciągle uśmiechające się pielęgniarki, usiłujące ci wmówić, że nie będzie bolało. To wszystko działa na mnie odstraszająco.

– Nie ma się czego bać – mruknął zachęcająco Max, wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę wejścia. – Przecież sama mówiłaś, że powinnaś wziąć ten zastrzyk. To twoje własne słowa.

– No, niby... – westchnęłam i potulnie weszłam za nim do środka, chociaż wcale nie miałam na to ochoty.

Przecież już na widok krwi, zwłaszcza mojej własnej, robi mi się niedobrze. Podobnie działają na mnie wszelkiego rodzaju strzykawki i igły. Dlatego z pewnością nie mam zadatków na narkomankę.

Gdyby nie wsparcie Maksa i fakt, że trzymał mnie za rękę (a w zasadzie to nie pozwalał uciec i odskakiwać za każdym razem, kiedy tylko igła zbliżała się do mojego ramienia), tobym chyba nie dała sobie zrobić tego zastrzyku.

– Co się stało, że tak się pokaleczyłaś? – spytał wyraźnie zaciekawiony lekarz, który oglądał moje łokcie.

– Przewróciłam się – mruknęłam.

– Bardzo niefortunnie – stwierdził. – Dobrze, że od razu oczyściłaś rany z ziemi. Inaczej mogłoby się wdać zakażenie. (Dziękuję ci, Ivette! Dziękuję!!!). Ale wszystko będzie dobrze. Do wesela się zagoi. Musisz tylko uważać, żeby nie zabrudzić ran i zmieniać codziennie opatrunki.

Następnie napisał mi kartkę do Pijawki, w której prosił, żeby zwolniła mnie w najbliższych dniach z zajęć na basenie. Hurra!!!

Gdy już stamtąd wyszliśmy, miałam o wiele lepszy humor. Co jak co, ale szpitali nie cierpię.

Max, tak jak obiecał (biedaczek trochę pocierpi – nie, nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia), musiał mnie znowu uczyć jazdy na motorze. Ale było fajnie!

No dobra, przyznaję. O mało nie dostał zawału, gdy po raz drugi wjechałam w krzaki, ale i tak wykazał się wyjątkową cierpliwością. Kiedy już daliśmy sobie spokój z tą nauką, trochę poszaleliśmy na pustej szosie. Uwielbiam szybką jazdę.

Pęd wiatru prawie zrzucał nas z maszyny (musiałam bardzo mocno przytulić się do Maksa). Hm, w Nowym Jorku w życiu nie znaleźlibyśmy pustej ulicy, żeby tak pojeździć. A co dopiero mówić o szerokiej i długiej drodze wylotowej z miasta. No i pewnie policja zaraz by nas zgarnęła. Kurczę, czyżby ta zapadła dziura miała jednak jakieś zalety?...

Przez cały następny tydzień Max usiłował nadrobić stracony czas rozłąki. Każdą przerwę w szkole spędzaliśmy razem, a po lekcjach wspólnie odrabialiśmy prace domowe.

– Niedobrze mi się robi, jak na was patrzę – mruknęła Iv któregoś dnia.

– Co? – spytałam.

Nie od razu dotarło do mnie to, co powiedziała. Szczerze mówiąc, byłam zbyt zajęta patrzeniem na Maksa, który stał i rozmawiał z przyjaciółmi po drugiej stronie korytarza. On też w tym momencie patrzył na mnie, więc wyglądało to tak, jakbyśmy rozmawiali bez słów. Och...

– Nieważne – westchnęła ciężko.

Max jest naprawdę bardzo przystojny. Peter przy nim wygląda jak zdechła ryba...

– Margo? Margo?! Margo!!! – wrzasnęła mi Iv prosto w ucho.

– Co? – spytałam i spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Dziękuję, że raczyłeś mnie wreszcie zauważyć – powiedziała zgryźliwie.

– O co chodzi? – spytałam i znowu odwróciłam się w stronę Maksa.

– No nie! – krzyknęła, złapała mnie za ramię i pociągnęła za zakręt korytarza.

– Hej! – zaprotestowałam.

– No, teraz, kiedy Maksa nie ma w pobliżu, wreszcie możemy porozmawiać. Wiesz, że gdy tylko go widzisz, to nie słyszysz, co się do ciebie mówi?

– Tak? – szczerze się zdziwiłam.

Na serio tego nie zauważyłam. To prawda? Niesamowite...

– Tak! – powiedziała zirytowana. – Odkąd się pogodziliście, nie można z tobą normalnie porozmawiać. Chociaż nie, jak się pokłóciliście, to też nie można było. Ciągłe wzdychałaś.

Hm, w zasadzie to chyba ma rację...

– Co się stało? – spytałam.

– Chciałam ci powiedzieć, że przejrzałam książki w bibliotece o wilkach, przesadach i wilkołakach, a poza tym szukałam trochę w Internecie.

– No i...?

– No i nie znalazłam żadnych wzmianek o tym, by kiedykolwiek istnieli w Wolftown jakieś wilkołaki. Owszem, zdarzały się tu jakieś dziwne wypadki, była też wzmianka o zaginięciu dziewcząt, ale nic więcej. Po prostu zawsze w tych lasach żyły wilki.

– Aha – mruknęłam. – I co to nam daje?

– Margo, o czym ty teraz myślisz? – spytała, przyglądając mi się uważnie.

– O Maksie – westchnęłam, przeczuwając jej reakcję.

– No nie! Tylko zacząć walić głową o ścianę, wiesz?! Jakbyś chociaż przez chwilę posłuchała tego, co do ciebie mówię, to zrozumiałabyś, że tu nigdy nie było wilkołaków! Bo legenda to tylko legenda. Bajka dla dzieci, chwyt reklamowy...

– Czyli co masz na myśli?

– To, że oni nie mogą być tacy od urodzenia, bo to byłby dziwny zbieg okoliczności. Sami nam przecież mówili, że w ich rodzinach nie ma podobnych... odmieńców.

– No dobrze, w takim razie jak to wyjaśnisz?

– Tego właśnie jeszcze nie wiem, ale się dowiem – powiedziała. – Może

wszyscy przeżyli coś dziwnego w dzieciństwie? Może tu spadł wtedy meteoryt? Może są tu jakieś radioaktywne ścieki? Nie wiem. Muszę ich o to spytać.

No proszę, naprawdę się uparła. Mnie to aktualnie niezbyt interesowało. Nie mogłam się już doczekać soboty. Miały być moje urodziny i Max powiedział, że szykuje dla mnie jakąś niespodziankę! Tak. Wiem, że to wszystko brzmi jak wyznania zakochanej po uszy wariatki. Ale cóż, ja byłam wtedy taką wariatką.

W piątek rano, niczego złego się nie spodziewając, zesłam na śniadanie. Usiadłam wygodnie na krześle i zaczęłam się zastanawiać, co zrobić, by uniknąć sobotniego treningu, gdy mój wzrok padł na pierwszą stronę gazety, którą trzymał w rękach tata.

Właśnie piłam sok, więc gdy dotarł do mnie sens słów, które mimochodem przeczytałam, aż się zakrztusiłam.

Od razu, gdy tylko złapałam oddech, wyrwałam tacie gazetę i udając, że nie słyszę jego protestów, zaczęłam czytać artykuł:

### ***Śmierć słynnego podróżnika – Jacka Blacka!***

*W czwartek 10 czerwca o godzinie 18.35 kilku rybaków znalazło w pobliżu jeziora zwłoki słynnego myśliwego, Jacka Blacka, zwanego Jaguarem, który przyjechał do naszego miasteczka obserwować występujący tu gatunek wilków.*

*Zwłoki były bardzo okaleczone i w stanie częściowego rozkładu. Porucznik policji, Brad Call, powiedział: „Podejrzewamy, że został zaatakowany przez niedźwiedzia. Wskazują na to rozległe rany. Ponieważ zwłoki są już w stanie rozkładu, został zabity prawdopodobnie jakiś tydzień temu. Znaleźliśmy też przy nim strzelbę. Strzelał z niej przed śmiercią i niewykluczone, że zdołał zranić zwierzę.*

*Niedźwiedź mógł mieć wściekłość, dlatego do końca następnego tygodnia obowiązuje zakaz wstępu do lasu”...*

Po prostu mnie замуrowało. Jeszcze niecały tydzień temu ten facet groził mi i udawał niezwykłego herosa, a teraz nie żył. Tak po prostu.

Zaraz! Jeśli on nie żyje, to znaczy, że ktoś go zabił. Ktoś albo coś...

Ale to niemożliwe, żeby Jaguara zabiło jakieś zwierzę! Skoro nie dał się lwom w Afryce, dlaczego, jak rany, wykończył go niedźwiedź?! To się w głowie nie mieści!

O matko! A jeśli to wilki go zabiły???

Czy Max brał w tym udział? Mam nadzieję, że nie. To na pewno Aki. Tak, on wygląda na psychopatycznego mordercę. Nie, no co ja wygaduję?

Przecież nie posunęliby się do czegoś takiego. Mają dopiero po siedemnaście lat. W tym wieku chyba nikt nie jest zdolny do czegoś takiego, no nie?

Muszę natychmiast porozmawiać o tym z Ivette! Może ona będzie wiedziała więcej. W końcu interesuje się wszystkim, co jest związane z Akim.

Tata mógłby już przestać jeść. Ja skończyłam, a on się tak guzdra! Przecież musi mnie odwieźć do szkoły!

– Tato, kończ już – powiedziałam.

– Co? – spytał z otwartymi ustami, patrząc na mnie, że tak powiem, trochę nieprzytomnie.

Litości! Czy ja muszę widzieć, co on w tym momencie przeżuwa? Nie! Mógłby nie mówić z pełnymi ustami. Brrr...

– Nieważne – mruknęłam.

Niech mi ktoś wyjaśni, czy to ja jestem inna, czy też może wszyscy, którzy mnie otaczają, zachowują się jak kosmici?

Gdy tylko dotarłam do szkoły, od razu pobiegłam szukać Ivette. Dość szybko ją znalazłam, bo już czekała na mnie przy mojej szafce.

– Czytałaś ten artykuł? – spytała, podając mi gazetę, gdy tylko do niej podeszłam.

– Tak – odparłam.

– Jak sądzisz, to mogli być oni? Wilki? – szepnęła.

No proszę, to nie tylko ja mam takie podejrzenia? Ciekawe... Czyli coś w tym musi być.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Ale Max nie byłby do tego zdolny. Natomiast Aki...

– Nie, Aki na pewno tego nie zrobił! – zaprotestowała szybko.

– To on ciągle ci się podoba?

– Nie... Nie jest w moim typie. Zresztą masz rację, jest trochę dziwny.

– Miłość jest ślepa – mruknęłam.

Myślałam, że powiedziałam to cicho, ale Iv i tak mnie usłyszała.

– I to mówi osoba, która od dwóch miesięcy zamecza mnie ciągłymi uwagami o tym, jaki to Max jest wspaniały? – rozzłościła się. – Nie przeszkadza ci, że jest wilkiem?

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – On jest wilkiem, a ja mam koszarne sny, jak jakieś medium. Dobrana z nas para.

– Strasznie śmieszne – mruknęła Ivette i rozejrzała się. – Według mnie tu się dzieje coś podejrzanego.

– Nie wiem. Wczoraj czytałam Wstęp do psychoanalizy Freuda, który twierdzi, że sny są odzwierciedleniem naszych marzeń i tego, czego akurat pragniemy – powiedziałam.

No, co? Jak się człowiekowi nudzi, to robi czasem dziwne rzeczy.

– To i tak niczego nie tłumaczy – stwierdziła Ivette. – Chyba że marzyła

ci się wycieczka po lesie, ze stadem wilków na karku. Twoje sny to są wizje.

– Może...

– O, idzie Aki i Max! – krzyknęła Iv.

Wyraźnie kierowali się w naszą stronę. Widocznie zauważyli, że trzymam w ręku gazetę z artykułem. Gdy do nas podeszli, przywitałam się z Makssem i zapytałam go:

– Czytałeś?

– Tak – mruknął.

– Nie obrażcie się – powiedziała Iv. – Tylko się upewniam. Ale to nie wy, prawda?

Kocham tę jej bezpośredniość...

– Jasne, że nie my! – oburzył się Aki. – Jak możesz nas o coś takiego podejrzewać?!

– No wiesz, wtedy w lesie chciałeś się na mnie rzucić – przypomniałam mu, a on się wyraźnie zmieszał.

– Chciałem cię tylko przestraszyć – bąknął. Taak, a ja nazywam się Gwen Stefani...

– To nie my – mruknął Max. – Co ciekawe, nie mógł to też być niedźwiedź.

– Skąd wiesz? – spytała Iv. – Przecież policja twierdzi, że został zaatakowany...

– Słuchaj – powiedział Aki – wałęsamy się po tym lesie od dzieciństwa. Tu nigdy nie było niedźwiedzi. Jakby były, to byśmy je wyczuli.

– Ale policja...

– Policja mówi bzdury, bo nie zna innego wytłumaczenia – mruknął Max.

– My sądzimy, że ktoś to zrobił specjalnie.

– Ale kto? – spytałam i dodałam szybko: – Na nas nie patrzcie, bo to na pewno nie byliśmy my.

Nie pałam nigdy zbyt dużą sympatią do Jaguara, ale w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła. To po prostu nie w moim stylu. Złośliwe uwagi, komentarze, to i owszem, ale morderstwo? Zresztą bądźmy szczerzy, jak szesnastolatka (na dodatek taki mikrus jak ja) mogłaby zaszlachtować faceta metr dziewięćdziesiąt? To po prostu niewykonalne.

– Właśnie w tym problem: kto to zrobił? – mruknął Max.

– Jesteście pewni, że to nikt z waszej grupy? – spytała jeszcze raz Iv.

– No jasne – odpowiedział Aki.

– A może to zrobił ktoś inny, taki jak wy – wysunęłam hipotezę.

– To niemożliwe. Poza nami nie ma nikogo innego – mruknął Max.

Resztę dyskusji przerwał nam, niestety, dźwięk dzwonka, oznajmiający początek zajęć. Szybko pobiegliśmy na lekcje i tak wiedząc, że się na nie spóźnimy.

A teraz niech mi ktoś wyjaśni, po co fizyka jest przedmiotem obowiązkowym? Ja tego w ogóle nie łąpię. Jak dla mnie, to jest po prostu koszmar! Podobno Francis Ford Coppola powiedział kiedyś: „Jestem prawdopodobnie geniuszem, ale nie mam talentu”. Ta myśl idealnie do mnie pasuje.

Jedynym talentem, który posiadam, jest prawdziwa zdolność do pakowania się w kłopoty. I pomyśleć, że wszystko zaczęło się parę miesięcy temu, kiedy przywaliłam Peterowi i zgubiłam się w lesie. Teraz jestem zamieszana w jakieś tajemnicze morderstwo! Niesamowite, no nie?

Wydaje mi się, że to ja mam rację, że w naszym miasteczku jest jeszcze jeden, nieznanany innym wilk. Może Jaguar zrezygnował wtedy z pogoni za nami i przypadkiem wpadł na niego. A on się przestraszył i go zagryzł. No dobra, policjanci mówili, że rany, jakie odniósł, wyglądają, jakby zadał je niedźwiedź, ale może on tylko tak to upozorował, bo nie chciał, żeby policja zaczęła polowanie na wilki. W końcu mogliby wtedy przypadkiem trafić właśnie w niego.

Muszę o tym powiedzieć Maksowi!

Tylko że Maksa zobaczyłam dopiero po lekcjach. Zanim wsiedliśmy na motocykl, szybko opowiedziałam mu o swoich przypuszczeniach.

Cóż, jeśli oczekiwałam okrzyków zachwytu i pełnego zdumienia podziwu dla mego intelektu, grubo się myliłam.

– To niemożliwe – mruknął tylko Max.

– Dlaczego? – spytałam zbita z tropu.

– Zostawiłby po sobie w lesie jakiś ślad. Złamaną gałązkę, strzęp futra, nieznanany zapach, a nigdy nie trafiliśmy na coś takiego. Wszystkie ślady, które są w lesie, należą do naszego stada.

– Aha – moja euforia już wyraźnie się ulotniła.

– Ważne, że miałaś jakiś pomysł – mruknął Max, usiłując mnie pocieszyć i trochę niezgrabnie poklepał moją ręką.

Jest naprawdę kochany!

Następnie podrzucił mnie motorem do domu. Uwielbiam te przejażdżki. Mogę się bez skrępowania do niego przytulić...

Wieczorem, po bardzo wyczerpującym treningu (Pijawka przeszła dzisiaj samą siebie – znęcanie się nad słabszymi powinno być zakazane!) miałam ochotę tylko na to, by położyć się i włączyć na cały regulator nową płytę The Calling. Kto by się uczył w taki wieczór? Palicho szkołę!

Właśnie słuchałam bardzo romantycznej piosenki *Anything*, gdy mój bezcenny spokój został zmacony przez uporczywy dzwonek komórki. To znaczy melodia (*Our Lives The Calling*) nie była męcząca, ale sama myśl, że ktoś

czegoś chce ode mnie w takim momencie, wkurzało mnie. Na serio, czasami człowiek żałuje, że kiedykolwiek wymyślono takie urządzenie, jak komórka. Ona strasznie utrudnia życie! Wynalazł ją chyba jakiś rodzic po to, żeby móc kontrolować swoje dzieci.

Ze złością ściszyłam pilotem wieżę (przydatna rzecz, bo nie trzeba się podnosić).

– Czego?! – warknęłam wściekła do słuchawki i w tym samym momencie ucieszyłam się, że to nie był Max. Mógłby się przecież obrazić!

– Cześć, mówi Iv – usłyszałam (aaa, ona pewnie mi kiedyś wybaczy...). – Co jesteś w takim złym humorze?

– Pijawka – rzuciłam jedno słowo, które wystarczyło za wyjaśnienie.

Parę dni temu Pijawka uznała, że codzienny trening bardzo dobrze mi zrobi, skoro pod koniec czerwca mam wziąć udział w jakichś durnych zawodach. A moje zwolnienie od lekarza nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Dlatego byłam zmęczona i zła na cały świat.

– Aha – mruknęła, od razu mnie rozumiejąc (jak to dobrze mieć przyjaciółkę od serca!). – Muszę ci powiedzieć, czego się dowiedziałam od Akiego.

Hm, od Akiego? Coś podobnego...

– A mówiłaś, że po tym jak go widziałas w hm... niekompletnym ubraniu, więcej się do niego nie zbliżysz – powiedziałam.

– W ogóle nie miał na sobie ubrania – mruknęła i mogę się założyć o wszystko, że w tym momencie się zaczerwieniła.

– No dobra. To co on ci powiedział? – spytałam.

– Powiedział, że wszystkie wilki, to znaczy ludzie z ich grupy – w jej głosie słyhać było wyraźną ulgę, gdy zeszłam z trudnego osobistego tematu – są w tym samym wieku. Wszyscy, co do jednego, mają po siedemnaście lat. Nie sądzisz, że to dziwne?

– Może trochę – mruknęłam (kurczę, zaczynam tak jak Max mrużyć pod nosem). – Naprawdę dziwne by było, gdyby się okazało, że wszyscy urodzili się tego samego dnia.

– No... nie całkiem tego samego – dodała Iv. – Ale wszyscy urodzili się w tym samym miesiącu.

– Bujasz – aż usiadłam w tym momencie.

– Nie, mówię prawdę. Wszyscy, cała piętnastka, bo tyle ich jest, urodziła się w tym samym miesiącu.

– Niesamowite...

– Raczej nienormalne. Postaram się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat. Uwierzysz? Od siedemnastu lat żyją ze świadomością, że umieją zamieniać się w wilki, a w ogóle nie próbowali dowiedzieć się, dlaczego. Po prostu uwierzyli w jakąś tam legendę! Przecież to nie jest żadne wytłumaczenie!

Paranoja... W każdym razie ja ustale, o co w tym wszystkim chodzi. Mam zamiar jutro poszukać jakichś informacji w Internecie. Może wtedy wydarzyło się coś wyjątkowego? Muszę się koniecznie dowiedzieć – zdecydowała, kończąc swój monolog.

– Powodzenia – mruknęłam. – A mogłabyś mi wyjaśnić jeszcze jedną rzecz?

– Oczywiście, o co chodzi?

– Co jest między tobą a Akim?

Wcale nie jestem aż tak wredna. Jestem po prostu ciekawa.

– Eee, nic – zaskoczona, powiedziała wymijająco. Taak, bo uwierzę...

– Nie przeszkadza ci już, że... no wiesz...?

Domyśliła się, że znowu wspominał tamtą scenę w kuchni, bo wyraźnie się zdenerwowała.

– Och, Margo musisz mnie wypytywać?! – zawołała. – Przecież dobrze wiesz, że Aki mi się podoba. Poza tym chciałabym mieć chłopaka.

No, nie... Wzbudziła we mnie poczucie winy tym swoim łamiącym się głosem.

– Iv, według mnie to Aki też musi cię w jakiś sposób lubić. Podejrzewam, że gdyby się na ciebie obraził po tamtym... incydencie ubraniowym (znowu nie mogłam się powstrzymać), to by się do ciebie w ogóle nie odzywał – pocieszyłam ją.

– Tak sądzisz? – spytała z nadzieją.

– Tak. Mówię ci, nie masz się o co martwić. No dobra, wiesz, muszę kończyć, padam z nóg. Dosłownie zaraz się przewrócę – powiedziałam, ziewając.

No, co? Ivette nie wie przecież, że ja już leżałam na łóżku.

– Cześć – odpowiedziała w znacznie lepszym nastroju i rozłączyła się.

Szczerze mówiąc, to zawsze mnie dziwiło, że Iv nie ma chłopaka. No bo ona wygląda tak, jak powinna wyglądać każda nastolatka – normalnie. Nie to, co ja.

Mama ciągle mnie męczy:

– Spójrz, jaki Ivette ma śliczny, różowy sweterek! Też powinnaś sobie taki kupić!

Ha, ha! Niedoczekanie!

Ale bardzo podobają mi się jej włosy: naturalny blond, lekko falujące końcówki. Poza tym ma bardzo ładną twarz: duże niebieskie oczy, mały, lekko zadarty nos i łagodny uśmiech. To naprawdę dziwne, że ona nie ma chłopaka. Może przez ten samochód? Ale już go przemaalowała, więc... No cóż, pożyjemy zobaczymy, jak mawiał mój dziadek.

A to jej odkrycie dotyczące wilków rzeczywiście ciekawe... Ale nie miałam siły, by się dłużej nad tym zastanowić. Byłam zbyt zmęczona. Jutro

będą w końcu moje urodziny i podczas uroczystej randki z Makssem nie chcę mieć podkrążonych oczu.

Włożyłam słuchawki do uszu i włączyłam płytę The Calling na przenośnym odtwarzaczu (rodzice i to ich „chcemy spać w ciszy”! W ogóle ich nie rozumiem).

Tak, w tym momencie miałam ochotę tylko na sen.

Jeszcze tylko pomyślałam, że za dużo kasy wydaję na baterie do odtwarzacza, i zasnęłam...

## 14.

W sobotę pojechałam na basen razem z Makssem. Rodziców nie było już w domu, więc nie musiałam im się tłumaczyć.

Potem mieliśmy iść na uroczyste śniadanie z okazji moich urodzin. Super! Nie mogłam się już doczekać.

Zajęcia na basenie okropnie mi się dłużyły. Dwie godziny to jednak zdecydowanie za dużo. A Pijawka jeszcze je przedłużyła, dziesięć minut! To nie fair!!!

Ale wreszcie nadeszła ta upragniona chwila. W romantycznej restauracyjce (Max ma znakomity gust, nikt temu nie zaprzeczy), gdy już zjedliśmy, Max złożył mi życzenia:

– ...wszystkiego najlepszego, Margo i żebyś zawsze była szczęśliwa. – A następnie podał mi małe pudełko.

Dostałam od niego prezent!!! Zaciekawiona, szybko otworzyłam. W środku, na czerwonej poduszeczce leżał wisiołek na łańcuszku. Mały srebrny wilczek...

Przytuliłam Maksa i pocałowałam go. To najfajniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam! Pochyliłam się, a Max zapiął mi go na szyi. Już nigdy go nie zdejmę! Nikt mnie do tego nie zmusi!!!

– Spotkamy się w lesie za twoim domem dziś o dziewiątej wieczorem? – spytał po chwili. – Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent.

– Dobrze – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się.

Pewnie napisał dla mnie piosenkę! Już nie mogę się doczekać!

Cały dzień spędziłam, nucąc pod nosem tamtą jego balladę i zastanawiając się, czy ta dzisiejsza będzie równie piękna. W zasadzie to nie miałam pewności, czy w ogóle zechce mi coś zaśpiewać, ale tak na wszelki wypadek już się na to cieszyłam. No, bo co może mi dać tak późnym wieczorem? Wtedy tylko śpiewa się romantyczne piosenki.

Wciąż myślałam o czekającym mnie wieczorze. Co prawda tańczyłam, śpiewałam albo bawiłam się ze Sweterem na dworze, ale w jednym miejscu nie mogłam usiedzieć nawet pięciu minut.

Punktualnie o umówionej porze przelazłam przez balustradę balkonu i zaczęłam schodzić po pergoli. Rodzicom powiedziałam, że mam jeszcze pracę domową do odrobienia. Tak. Wiem, że to nieładnie, ale przecież nie pozwoliliby mi nigdzie iść.

Trochę się podrapałam o róże, ale trudno. Nigdzie nie zobaczyłam Swetera. Pewnie znowu się gdzieś ukrywa. Nie mogę go przyzwycząić do Maksa. Wciąż albo chce się na niego rzucić, albo ucieka. Hm, muszę coś z tym

zrobić.

Max już na mnie czekał przy furtce. Gdy podeszłam bliżej, zauważyłam, że ma ze sobą gitarę. A więc znowu zaśpiewa mi piosenkę!

Max pocałował mnie w usta.

– Chodź ze mną – powiedział, wziął mnie za rękę i razem weszliśmy w las.

Szliśmy dość długo, mijając w milczeniu wysokie drzewa. Gdybym była tu sama, tobym się strasznie bała. Ale z Makssem nie bałam się niczego. W końcu to wilk. Mój wilk. On uratuje mnie przed wszystkim.

Wreszcie dotarliśmy do jakiegoś wzgórza i wspiealiśmy się na nie. To nie było to samo miejsce, w którym znalazłam się tydzień temu, uciekając przed wilkami.

Szczyt wzniesienia nie był porośnięty drzewami, znajdował się na nim tylko jeden samotny, powalony pień, na którym rozłożony był koc.

Max musiał przyjść tu wcześniej i wszystko przygotować.

Ze wzgórza roztaczał się piękny widok na jezioro oświetlone blaskiem księżyca. Idąc przez las, musieliśmy je jakoś ominąć, teraz znajdowało się poniżej nas, w dolinie.

Usiedliśmy na pniu. Zachwycona przepięknym widokiem, nie odzywałam się, ale co można powiedzieć w takim momencie?

– Niesamowite – westchnęłam tylko.

– Cieszę się, że ci się podoba – mruknął Max. Potem wziął gitarę, uderzył palcami w struny i zaczął śpiewać.

Piękna melodia cichej ballady potoczyła się echem po lesie. Siedziałam zasłuchana, nie mogąc oderwać oczu od twarzy Maksa.

*Proszę, zatrzymaj czas,  
byśmy przeżyli to jeszcze raz.  
Niech znów śpiewa dla nas las,  
proszę, zatrzymaj czas...*

Pod koniec piosenki popłakałam się. Łzy same zaczęły płynąć mi po policzkach. Zresztą nawet nie próbowałam ich powstrzymać.

Wiem – to dziecinne, ale było tak pięknie. Max, który patrzy mi prosto w oczy i śpiewa napisaną dla mnie balladę, i ten las, i to jezioro...

Nie mogłam się powstrzymać, magia tej chwili poruszyła mnie.

Gdy Max skończył grać, otarłam łzy i uśmiechnęłam się do niego.

– Podobało ci się? – spytał.

– Tak, jest wspaniała – szepnęłam. – A to miejsce... aż braknie słów.

– Odkryłem je dwa lata temu. Dzisiaj nie ma, co prawda, pełni, ale też robi niesamowite wrażenie – mruknął.

Miał rację. Przed nami rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na leżące poniżej nas jezioro i na las oświetlony blaskiem księżyca. Natomiast baldachim nieba nad nami zasłany był jasnymi punktami gwiazd. Tego piękna nie szpeciło dosłownie nic.

A dzięki pocałunkowi, którym obdarzył mnie w chwilę potem Max, zakręciło mi się w głowie, czyniąc wszystko jeszcze bardziej niesamowitym...

Siedzieliśmy tak dobrych kilka godzin, rozmawiając i podziwiając piękno otaczającego nas świata.

Było już dobrze po północy, kiedy Max stwierdził, że czas wracać do domu. Na szczęście następnego dnia była niedziela, bo chyba nie wstalibyśmy rano na ósmą do szkoły. Ale szkoda, że już musieliśmy iść. Wcale nie chciało mi się spać, w każdym razie nie tak bardzo.

Bardzo chciałabym powtórzyć kiedyś taki wieczór, a raczej taką noc...

Max odprowadził mnie do domu. No tak, sama w życiu bym nie trafiła. Ten mój brak orientacji w terenie jest uciążliwy. Ale teraz się tym nie przejmowałam, bo liczyło się tylko to, że Max jest obok i trzyma mnie za rękę.

Dziś już rozumiałam, czemu potrafi tak cicho chodzić. Przecież jest wilkiem i ma zwierzęcy instynkt. Ja przy nim chodzę jak słoń. Cały czas wążę na jakieś gałązki i patyczki. No i w ogóle ciągle hałasuję, chociaż bardzo się staram tego nie robić.

Hm, chyba nawet oddycham głośniej niż on...

Przy furtce Max jeszcze raz mnie pocałował. Następnie poczekał, aż wejdę po pergoli do pokoju, i dopiero odszedł. Ach... To była wspaniała noc, nigdy jej nie zapomnę.

W całym domu panowała niesamowita cisza, zresztą nic dziwnego, było już koło... trzeciej nad ranem! No tak, spędziłam z Maksem w lesie sześć godzin! Rany!... a minęło tak szybko, jakby to była zaledwie chwila. Zupełnie tracę przy nim poczucie czasu.

Przebrałam się szybko w piżamę i podeszłam do łóżka z zamiarem natychmiastowego zaśnięcia. Tak, teraz dopiero poczułam, że padam z nóg. W ogóle nie mogę powstrzymać ziewania.

Już siedziałam na łóżku, gdy mój wzrok mimowolnie natrafił na telefon komórkowy leżący na nocnej szafce.

Wzięłam go do ręki i spojrzałam na wyświetlacz. Aż mnie zatkało, kiedy to zobaczyłam: „Masz 27 nieodebranych wiadomości i 36 nieodebranych połączeń”. Matko! nawet nie wiedziałam, że się tyle mieści.

Szybko zaczęłam przeglądać SMS-y. Każdy został wysłany przez Ivette i w każdym prosiła mnie, żebym do niej jak najszybciej oddzwoniła. Przejrzałam spis połączeń. Tu tak samo, każde było od niej, a dzwoniła mniej więcej co dziesięć minut. Rany, co się dzieje? Czego Iv może ode mnie chcieć?

Było już dość późno, ale stwierdziłam, że skoro wydała fortunę, próbując

się ze mną skontaktować, to wypadałoby do niej zadzwonić. Szybko wystukałam numer.

– Czemu wcześniej nie zadzwoniłaś?! – krzyknęła tak głośno, że aż musiałam odsunąć słuchawkę od ucha. – Martwiłam się, że coś ci się stało!!!

– Ivette, cicho! Twój krzyk słycać pewnie nawet w pokoju moich rodziców. Dzisiaj są moje urodziny, zapomniałaś? Świątowaliśmy je razem z Makssem – przypomniałam jej. – Co się stało?

– Nie uwierzysz, czego się dowiedziałam na temat Maksa, Akiego i innych!!! To po prostu straszne! Mam nawet dowody, to wszystko przez nich! To oni! – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – To oni wykończyli Jaguara!

– Zaraz, zaraz. Nie nadążam – przerwałam jej. – Możesz powtórzyć to trochę wolniej? Kto wykończył Jaguara? Wilki?

– Nie! Ech, to nie jest rozmowa na telefon! Muszę ci jutro wszystko powiedzieć, słyszysz?! Mogą teraz podsłuchiwać! Jutro rano do ciebie wpadnę, okay?

– Dobra...

– Albo nie! – powiedziała szybko. – Nie u ciebie, to za proste! Jutro o dziewiątej rano w parku pod posągiem! Tak, to dobre miejsce! To jutro pod posągiem, zapamiętasz?

– Eee, tak. Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

– Jutro, jutro! Nie teraz! Przyjdź koniecznie!!! Nie zapomnij!!! – przerwała mi i się rozłączyła.

Spojrzałam na słuchawkę, jakby była jadowitym wężem. O co jej chodziło? Dowiedziała się czegoś o Maksie, ale dlaczego nie chciała o tym mówić przez telefon i czemu była taka zdenerwowana?

Nic nie rozumiem. Czasami wydaje mi się, że myślę wolniej od innych, jak rany. Zaraz, co ona wspomniała o Jaguarze? Że niby kto go wykończył? Co ona bredzi?! Przecież Jaguara zagryzł niedźwiedź czy inne lichy. Nikt go nie wykończył.

No nie! Na dodatek muszę jutro (a raczej już dzisiaj) wcześniej wstać, żeby być w parku o dziewiątej! Będę mogła przespać najwyżej trzy, cztery godziny! A niech to! Mój dobry humor już przepadł. Wściekła położyłam się i natychmiast zasnęłam.

Budzik... Po kiego grzyba wymyślono to durne urządzenie??? Nie mogłam się powstrzymać, machnęłam ręką i zrzuciłam go na ziemię. Ach, znowu cisza...

Co jest?! Aaa, nastawiłam też budzenie w komórce, tak na wypadek, gdybym zrobiła to, co właśnie robiłam. Po co ja jestem taka zapobiegliwa?

– No, po co?! – zawyłam głośno w poduszkę.

Zwlokłam się z łóżka, narzekając pod nosem. Czułam się tak, jakbym

dopiero przed chwilą się położyła. W ogóle nie byłam wypoczęta, ale czy można być wypoczętym po niecałych trzech godzinach snu?!

Jedząc śniadanie, myślałam, że zaraz uderzę głową w talerz. Właśnie zapadałam w miłą drzemkę na siedząco, gdy ze snu wyrwał mnie głos taty:

– Nie powinnaś już wyjść? Przecież umówiłaś się z Ivette. Spóźnisz się.

– A, tak – mruknęłam i potarłam oczy. Litości! Chcę do łóżka!!!

– Co ci jest? Jesteś chora? – znowu spytał tata.

– Nie wyspałam się – powiedziałam i ziewnęłam, a oczy jakoś tak same mi się zamknęły.

– Margo! – Aż podskoczyłam. Jak rany! Musi się tak drzeć?!

– Co?! – spytałam i wściekła otworzyłam oczy.

– Musisz już wyjść – powtórzył tata. – A potem chyba powinnaś wpaść do lekarza. Wydaje mi się, że brakuje ci jakichś witamin. Albo lepiej spytaj matki, co ci jest. Ona przecież się na tym zna.

– Taak, jasne – mruknęłam.

Oczywiście, już lecę powiedzieć mamie, że się nie wysypiam, bo w nocy spacerowałam z Maksem po lesie.

Wstałam od stołu i powlokłam się do garażu po rower.

Aha, no bo znowu mam rower! Co prawda nie jest mój, to rower taty. Olbrzymi góral z ramą. Wygodny jak diabli. Jestem do niego za niska. Zanim w ogóle ruszę, muszę stanąć na czymś wyższym. Do tego, pomimo że siodełko jest ustawione najniżej jak się da, i tak ledwie dosięgam do pedałów. Koszmar!!! Poza tym siodełko strasznie się wpija w... no, wiadomo w co.

Może jazda mnie trochę rozbudzi. Oby, bo jeśli zasnę w drodze, może się to skończyć nieprzyjemnie. Oczami wyobraźni już widziałam samą siebie śpiącą smacznie w poprzek drogi, nieświadomą szybko zbliżającej się ciężarówki. Kierowca pewnie też jest zaspany (bo kto o tej godzinie nie jest?) i mnie nie zauważa, pędząc prosto na mnie.

Kurczę, jedna myśl i już nie mam ochoty na spanie.

Było ciepło, mimo że dopiero co minęła ósma. Po południu pewnie żar będzie się lał z nieba. Super, zamiast sobie drzemać w przyjemnej, przewiewnej sypialni, będę musiała tułać się gdzieś z Ivette. Już ja się jej odwdzięczę!

Na miejsce dotarłam dwadzieścia minut przed czasem. Taak, „Nie powinnaś już wyjść? Spóźnisz się”. Mogłam jeszcze spokojnie podrzemać! Ale nie, tata wyrzucił mnie z domu i straszył jeszcze, że się spóźnię. A teraz, co mam robić? Prażyć się pod tym głupim posągiem na twardej ławce? Fantastycznie, to po prostu szczyt moich marzeń.

No i proszę, musiałam być naprawdę zmęczona, bo usnęłam. Kiedy się obudziłam, dochodziła dziesiąta i nigdzie nie było widać Ivette. Ledwo mogłam się ruszać, tak zeszywniałam w niewygodnej pozycji na ławce.

Ha, nawet nie ukradli mi roweru! A mieli świetną okazję, bo nie przypięłam go do ławki i na dodatek zupełnie straciłam na godzinę świadomość. Wolftown to naprawdę dziwne miasto, zapadła dziura, jakich mało...

Gdzie się podziewa ta Ivette? Przecież w parku jest tylko jeden posąg. Na pewno mówiła o tym. Pamiętam dokładnie, dziewiąta rano, pod posągiem w parku.

Więc gdzie ona jest? Powinna przyjść godzinę temu. A nie podejrzewam, żeby tak ją wzruszył widok pogrążonej we śnie, niewyspanej, zaślinionej biedaczki, i że po prostu mnie zostawiła, pozwalając dalej spać.

Wyjęłam komórkę i szybko wystukałam jej numer, ale usłyszałam jedynie: „Abonent jest czasowo niedostępny”. Jak człowiek słyszy coś takiego, to jeszcze bardziej się wkurza.

Chciało mi się czymś rzucić...

Poczekalam jeszcze jakieś dwadzieścia minut, ale w końcu stwierdziłam, że to nie ma sensu. Może zapomniała? Z tą myślą wsiadłam na rower i ruszyłam do jej domu. Już ja jej wygarnę, jak ją zobaczę. A jeśli otworzy mi w piżamie, to ją chyba zabiję, gołymi rękoma, przysięgam.

No tak, nic złego jej nie zrobiłam, bo w domu Iv nie było nikogo. Zajrzałam nawet na podwórko. Ponieważ ciekawscy sąsiedzi zaczęli mi się przyglądać (może podejrzewali, że jestem jakimś nieletnim złodziejaskiem), więc odeszłam i zadzwoniłam do domu.

– Cześć mamó, czy nie dzwoniła do mnie Ivette?

– Nie, a co się stało?

– Umówiliśmy się, ale nie przyszła. W domu też jej nie ma, więc pomyślałam, że może zmieniła zdanie.

– Nie, nie dzwoniła – powtórzyła tylko mama.

Hm, zaczyna się robić nieciekawie. Gdzie ona się podziała? Może poszła do Akiego? Ostatnio często gdzieś razem łazili. Naprawdę! Razem! To może do niego pojedę?

Taak... tylko, że nie znam jego adresu ani numeru telefonu. Życ, nie umierać...

Wiem! Max na pewno wie, gdzie on mieszka!!! Jadę do niego. Na pewno mi pomoże.

Jak tak dalej pójdzie, to może zamiast pływać, powinnam trenować jazdę na rowerze? Oczywiście Max mieszka blisko mnie, czyli daleko od Ivette. Znowu więc czekała mnie uroczą rundka po mieście.

Gdy byłam na miejscu, od razu wcisnęłam guzik dzwonka i nie puszczałam go przez jakąś minutę. To powinno postawić na nogi wszystkich domowników.

Dość długo nikt nie otwierał. Już zaczęłam się zastanawiać, czy to nie jest jakiś spisek, gdy drzwi otworzył mi Max.

A... ubrany był tylko (chciałabym podkreślić to tylko) w czarne bokserki.

O ho, ho!!! O mało co wymknąłby mi się ten okrzyk.

Najwidoczniej go obudziłam, bo humor mu nie dopisywał. Przeczesał ręką potargane włosy i spojrzał na mnie jak na wariatkę.

– Cześć. Wejdz – mruknął w końcu, kiedy widocznie już dotarło do niego, że to się dzieje naprawdę, i wpuścił mnie do środka. – O co chodzi?

– Cześć. Obudziłam cię? – tak, wiem, głupie pytanie, ale nie mogłam się powstrzymać. Musiałam je zadać.

– Taak – mruknął i usiadł w fotelu naprzeciwko mnie. Wyglądał tak jak ja parę godzin temu, czyli jakby miał zaraz zasnąć.

– Czemu nie śpisz? – spytał.

No właśnie... Czemu ja nie śpię?

– Ivette zerwała mnie z łóżka, bo miała mi coś ważnego do powiedzenia. Tylko nie chciała powiedzieć przez telefon, o co jej chodzi, a nie przyszła tam, gdzie się umówiliśmy – wyjaśniłam i zaczęłam mu się przyglądać.

Hm, fajnie wygląda, kiedy jest taki niewyspany i na dodatek ma na sobie tylko bokserki....

Ma zupełnie gołą klatę! A mój tata jest owłosiony jak goryl. Co prawda widziałam Maksa już wcześniej bez koszulki, ale nigdy wcześniej nie miałam okazji przyjrzeć mu się tak dokładnie. Na basenie jestem zbyt zajęta pływaniem (zresztą przez okulary prawie nic nie widać), a wtedy u mnie w domu zakrywał się obrusem. Muszę nauczyć się pływać bez okularów. Taki widok co tydzień jest tego wart. Nawet jeśli miałabym mieć oczy czerwone od chloru.

– Nie obraż się, że to powiem, ale możesz mi wyjaśnić, co mi do tego? – spytał, brutalnie przerywając moje rozmyślenia na temat jego torsu.

Max wyraźnie był nie w humorze...

– Widzisz, Ivette dowiedziała się czegoś o was i była bardzo przestraszona, jak mi o tym mówiła. Potem nie przyszła tam, gdzie się umówiliśmy, jej komórka nie odpowiada i nikogo nie ma u niej w domu. Boję się, że coś się jej stało – powiedziałam.

– Dlaczego miało jej się coś stać? – spytał i westchnął ciężko.

– Jaguara spotkał przykry wypadek, kiedy usiłował was zastrzelić, a Iv z uporem maniaka chciała się dowiedzieć, dlaczego. Poza tym powiedziała, że to jacyś oni go zabili i miała na to dowody. Nie powiedziała mi tylko, o kogo chodzi – wyjaśniłam. – Boję się o nią. Pomyślałam, że może jest u Akiego, ale nie mam jego numeru telefonu ani nie znam adresu.

– Zadzwoń do niego – mruknął Max i podszedł do telefonu, wiszącego na ścianie za jego fotelem.

Hej!!! Gdy Max odwrócił się do mnie tyłem, zauważyłam, że ma na łopatkę tatuaż. Mój chłopak ma tatuaż! Nie wiedziałam o tym!

Zaraz, dlaczego ja tego nie wiem?!

Tatuaż przedstawiał chińskiego smoka, okręconego wokół płomieni. Super! Wygląda zabójczo!!!

Rany! człowiek przez całe życie dowiaduje się czegoś nowego. Gdzie ja mam oczy na tym basenie???

Max chwilę rozmawiał z Akim, a gdy skończył, powiedział:

– Aki nie widział się z Iv od piątku. Idę się ubrać. Poczekaj chwilę, pojedziemy razem jej poszukać.

Po chwili wrócił ubrany jak zwykle: czarny podkoszulek i dżinsy. Mówię wam, wyglądał ekstra. Chociaż sama nie wiem, kiedy podobał mi się bardziej...

– Nie wiedziałam, że masz na ramieniu tatuaż – powiedziałam.

– Aa, mam go od niedawna – mruknął wymijająco. – Jak się pokłóciliśmy, to... wtedy go zrobiłem.

To wyjaśnia, dlaczego nie widziałam go na basenie.

– Fajny – stwierdziłam i uśmiechnęłam się.

To rozładowało sytuację. Max chyba myślał, że ten smok mi się nie spodoba. Też coś! Jest wspaniały! Gdybym nie miała tak zacofanych rodziców, to już dawno miałabym słońce dookoła pępka. Ale oczywiście w mojej sytuacji będę mogła sobie je wytatuować dopiero po osiemnastce, a do tego czasu pewnie przejdzie mi już na to ochota.

Zaprowadził mnie do garażu, wyprowadził motor, a mój rower zamknął w środku.

– Tak będzie szybciej – mruknął.

– Gdzie jedziemy? – spytałam, siadając za nim na siodełku i obejmując go w pasie.

– Wpadniemy po Akiego. Pomoże nam szukać.

Po paru minutach dość widowiskowej, ale niezbyt bezpiecznej jazdy (wymijanie samochodów, ostre branie zakrętów) dojechaliśmy pod dom Akiego.

Aki już czekał na nas przy swoim srebrno-czarnym motorze.

Zaczęliśmy się zastanawiać, gdzie najpierw ruszymy w poszukiwaniu Iv.

Nagle usłyszałam dzwonek mojej komórki. Szybko wyjęłam ją z kieszeni i odebrałam. To była moja mama.

– O co chodzi? – spytałam.

– Margo, właśnie dzwoniła mama Ivette. Posłuchaj, Iv miała wypadek, potrącił ją samochód.

– Wypadek?! Ale co z nią?

– Jest w szpitalu...

– Już tam jadę – przerwałam jej.

– Dobrze, tylko jedź ostrożnie, bo pewnie jesteś zdenerwowana. Zdenerwowana to mało powiedziane. Byłam wstrząśnięta.

Szybko wrzuciłam komórkę do kieszeni i powiedziałam do chłopaków:

– Iv jest w szpitalu, potrącił ją samochód. – Spojrzeli na mnie zaskoczeni.

– Jedziemy tam – dodałam, a następnie włożyłam kask na głowę i już nas nie było.

Mknęliśmy teraz ulicami jeszcze szybciej, a samochody dosłownie uskakiwały nam z drogi. Zresztą każdy by się chyba przestraszył dwóch wielkich motorów pędzących o wiele szybciej, niż na to pozwalają przepisy.

Jechaliście kiedyś motocyklem na tylnej oponie, żeby przyspieszyć? Nie? Musicie więc spróbować, to niezapomniane uczucie. Oczywiście dopiero po tym, kiedy człowiek zrozumie, że motor się nie przewraca, tylko przyspiesza.

Ten pęd powietrza, szum wiatru w uszach... to niesamowite!

W parę minut dotarliśmy pod szpital, gdzie chłopcy z piskiem opon zahamowali, rysując na betonie czarne linie gumy. Szybko postawili motory pod ścianą i wbiegliśmy do środka.

Nie zdążyłam nawet podejść do dyżurnej pielęgniarki i spytać ją, gdzie leży Iv, bo gdy tylko weszliśmy do poczekalni, podeszła do nas mama Ivette. Musiała zobaczyć, jak podjeżdżamy pod budynek.

– Pani Reno, co się stało? – spytałam szybko. Zapłakana kobieta przytuliła mnie i powiedziała:

– Rano samochód potracił Ivette. Jest w ciężkim stanie, ma poważne obrażenia wewnętrzne. Za godzinę zabierają ją śmigłowcem do szpitala w Nowym Jorku. O Boże... – biedną mamą Ivette wstrząsnął kolejny spazm.

– Możemy się z nią zobaczyć? – spytał cicho Aki.

– Tak, jest w sali siedemdziesiąt dziewięć.

Weszliśmy do windy i wjechaliśmy na drugie piętro. Wpadliśmy do jej sali jak burza.

Iv wyglądała strasznie. Twarz miała w bandażach, wszędzie dookoła niej stała jakaś aparatura, otaczały ją przewody i rurki. Podeszłam do niej i szepnęłam, delikatnie dotykając jej ręki:

– Ivette, to ja, Margo. Słyszysz mnie? – w odpowiedzi mruknęła coś niezrozumiałego i otworzyła oczy.

– Margo. To byli oni – szepnęła, łapiąc mnie za dłoń. – To oni mnie potracili. Nie chciały, żebym ci powiedziała to, czego się o nich dowiedziałam.

– Jak się czujesz? – spytał Aki, podchodząc do Iv z drugiej strony łóżka i biorąc ją za drugą rękę.

Chyba strasznie przejął się jej stanem, bo jego przerażony wzrok cały czas błakał się po specjalistycznej aparaturze, wypełniającej prawie cały pokój.

– Nie za dobrze – odpowiedziała. – Ale to teraz nieważne. Posłuchajcie, to oni są wszystkiemu winni. To oni to wam zrobili. Wcale nie jesteście wilkami od urodzenia! Oni to zrobili! Zabili Jaguara i was zamienili!

– Co zrobili? – spytałam.

– Nie wiem jak, nie zdążyłam. Włamałam się do nich przez Internet, ale mnie wykryli – szeptała gorączkowo. – To byli oni!

– Ivette, ale kto? – spytał Aki.

Nagle do pokoju weszła pielęgniarka, spojrzała na nas wrogo i powiedziała:

– Musicie już iść. Zaraz przenosimy ją do śmigłowca – następnie podeszła do Iv, która wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

– Nie – szepnęła. – Zostaw mnie! Jesteś jedną z nich!

– Bredzisz, dziecko – mruknęła pielęgniarka i zrobiła jej szybko jakiś zastrzyk, po którym Ivette momentalnie zasnęła.

– Zaraz – wtrąciłam się zaniepokojona zachowaniem przyjaciółki. – Co pani jej dała?

– Środek uspokajający, a teraz proszę stąd wyjść. Natychmiast! Albo wezwę ochronę! – krzyknęła pielęgniarka.

Wyszliśmy na zewnątrz i w milczeniu patrzyliśmy, jak po paru minutach czerwony, szpitalny śmigłowiec wznosi się w powietrze i odlatuje. Razem z Ivette poleciała jej mama, a także tamta tajemnicza pielęgniarka.

Ciekawe tylko, czy to była prawdziwa pielęgniarka... Ivette bardzo dziwnie na nią zareagowała. Mam złe przeczucia...

## 15.

Jedźmy do mnie – mruknął Max, gdy śmigłowiec zniknął za horyzontem.

Wsiedliśmy w milczeniu na motocykle i ruszyliśmy. Nie jechaliśmy tak szybko jak przedtem. Teraz już nigdzie nam się nie spieszyło.

Na miejscu przywitała nas kobieta, która mogła być tylko matką Maksa. Wygląda zupełnie tak jak on, no może Max ma ostrzejsze rysy. A reszta? Ten sam uśmiech, te same szmaragdy zamiast oczu i ta sama zmarszczka pomiędzy brwiami.

– Dzień dobry – zawołała do nas i uśmiechnęła się. Mrugnęła do Akiego, który zaraz skierował się do kuchni (zupełnie, jakby tu mieszkał), a do mnie powiedziała:

– Ty musisz być Margo, prawda? Max wiele mi o tobie opowiadał.

Przez chwilę rozmawialiśmy o mnie i Maksie (co było bardzo zawstydzające), ale na szczęście Max nam przerwał, mówiąc:

– Co robisz w domu? Mówiłaś, że jedziesz do ciotki Mary.

– Bo jadę – odpowiedziała wesoło jego mama. – Wróciłam tylko po tę książkę, którą chciała ode mnie pożyczyć. Już znikam, spokojnie.

Na koniec zaśmiała się, potargała mu włosy, a do mnie powiedziała:

– Wpadaj zawsze, kiedy tylko będziesz miała na to ochotę. Do widzenia.

– Do widzenia pani – odpowiedziałam, patrząc, jak wychodzi. – Masz bardzo miłą mamę – zwróciłam się do Maksa.

– Och, tak – mruknął zakłopotany. – Myślałem, że jej nie będzie.

– Jest wspaniała – powiedziała i uśmiechnęłam się do niego. Max zaprowadził nas do swojego pokoju. Jeszcze nigdy tu nie byłam. Prawdopodobnie w innej sytuacji rozglądałabym się ciekawie dookoła i usiłowałabym zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Ale w tym momencie niewiele to mnie w ogóle obchodziło. Jedyne, co zapamiętałam, to zielona narzuta na łóżku, plakat zespołu Metallica na ścianie i gitara elektryczna oparta o szafę.

– Jak sądzicie, co Ivette miała na myśli? – spytałam gdy już usiedliśmy.

– Nie wiem – stwierdził Aki. – Ale mówiła, że to ludzie stamtąd ją potrącili.

– Ale o co jej chodziło? – wciąż niczego nie rozumiałam.

– Chyba o to – mruknął Max – że odpowiedzi na nasze pytania są w zasięgu ręki. Tylko że dobrze strzeżone.

– Iv czegoś się dowiedziała, a oni próbowali się jej pozbyć, tak jak Jaguara – powiedział Aki. – Tylko kim są ci oni?

– Tego spróbujemy się jakoś dowiedzieć – mruknął Max i wszyscy zamilkliśmy.

W końcu się odezwałam:

– Ivette włamała się do ich plików przez modem, ale widać bardzo szybko ją namierzyli.

– Tylko do czyich plików? – spytał Max.

– Wiecie, co jest w tym wszystkim najgorsze? – przerwał nam Aki. – To, co Iv powiedziała. Że oni nam to zrobili, że nie byliśmy tacy od urodzenia. Nie mogę w to uwierzyć! Kto mógł nam coś takiego zrobić!

– Ale przecież nie można zrobić czegoś takiego – wypowiedziałam głośno swoje wątpliwości. – To jest przecież niemożliwe, żeby człowiek mógł sam z siebie zamieniać się w wilka.

– W takim razie, jak wyjaśnisz to, co robimy od siedemnastu lat? – spytał kąśliwie Aki.

– Ale to nie jest możliwe – upierałam się. – Bądźmy szczerzy, może w filmie fantasy tak, ale nie w prawdziwym życiu. Mogłabym jeszcze zrozumieć, jeśli bylibyście tacy od urodzenia, ale to, co mówi Iv, nie trzyma się kupy.

– Sądysz, że Ivette kłamie? – spytał wściekły Aki.

– Nie – warknęłam. – Mówię tylko to, co myślę! Według mnie, nie jest możliwe, żeby człowiek zamieniał się w wilkołaka. Czy ty czasem słuchasz tego, co mówią nauczyciele na lekcjach biologii? Coś takiego musiałoby być związane z inżynierią genetyczną. A z tego, co wiem, nie można zmienić genotypu człowieka w każdej jego komórce. To jest po prostu niemożliwe!

Gdy umilkłam dla zaczerpnięcia tchu (bo wyrzucając z siebie to wszystko w ogóle nie oddychałam), zerknęłam wrogo na Akiego. Już nie wyglądał na złego. Patrzył na mnie uważnie.

– Lubisz biologię? – spytał.

– Tak – odparłam zdziwiona. – To znaczy widok krwi jest trochę obrzydliwy, ale lubię. A co to ma...

– Więc zastanów się przez moment i pomyśl, czy na pewno nie można zmienić genotypu człowieka.

Max taktownie nie wtrącał się w naszą sprzeczkę i też teraz zaciekawiony patrzył na Akiego.

– Według mnie nie można tego zrobić – odpowiedziałam po chwili.

– A według średniowiecznego lekarza nie było czegoś takiego jak bakterie – powiedział. – Może ty uważasz, że nie można tego zrobić, ale ktoś najwyraźniej myśli inaczej.

– Nie można doprowadzić do mutacji genów we wszystkich komórkach – spróbowałam jeszcze raz. – Tego nikt by nie przeżył.

– Jezu! Margo, czy ty mnie w ogóle słuchasz?! – spytał znowu zdenerwowany Aki. – Usiłuję ci wyjaśnić, że medycyna cały czas porusza się do przodu! Ludzie klonują zwierzęta, tworzą modyfikowane genetycznie warzywa i owoce! A ty nadal uważasz, że nie udałoby się zmienić w ten sposób człowieka?

– Według mnie to niemożliwe – mruknełam pod nosem. – Ale założmy, że masz rację! – szybko przerwałam jego kolejny wybuch. – To co dalej?

– Jeżeli cała genetyka w jakikolwiek sposób łączy się z medycyną, to znaczy, że odpowiedzi na nasze pytania powinniśmy szukać w szpitalu, prawda? – odezwał się w końcu Max.

– I właśnie o to mi chodziło! – wykrzyknął z ulgą Aki.

– Uważacie, że po prostu wejdziecie sobie do szpitala i zażądacie swoich kart? Nie dadzą ich wam – sprowadziłam ich na ziemię.

– W takim razie się włamiemy – powiedział Aki.

– Zgłupiałeś?! – tym razem to ja wykrzyknęłam. – Nie zgadzam się!

– To z nami nie idź – mruknął Aki.

– Złapią was! Max, ty nie pójdziesz, prawda? – spytałam, patrząc na niego przenikliwie.

Biedny, znalazł się teraz pod ostrzałem z dwóch stron. Z jednej ja żądam, żeby czegoś nie robił, a z drugiej jego najlepszy kumpel domaga się czegoś przeciwnego. Powinien wybrać mnie, prawda?

Spojrzałam na niego ostro.

– W zasadzie... – zaczął – uważam, że wszyscy powinniśmy się nad tym zastanowić. Włamanie może być rzeczywiście dość ryzykowne. Ale moglibyśmy wejść tam w biały dzień i jakoś dostać się do archiwum. Według mnie byłoby to lepsze wyjście. Oczywiście musimy wszystko przedyskutować z resztą.

– Że co?! – spytałam.

Jedno można powiedzieć o Maksie: pantoflarzem to on na pewno nie jest...

– Doskonale! – ucieszył się Aki i spojrzał na mnie, jakby już wygrał.

Jeszcze czego. Nie pozwolę Maksowi samemu narażać się bez potrzeby. Albo pójda ze mną, albo nie pójda w ogóle!

– Chcesz zaprzepaścić dzieło Ivette? – spytał mnie Aki. – Spójrz, ile dla nas poświęciła, a przecież nie jest jedną z nas. Ryzykowała własne życie. Wiedziała, że to niebezpieczne, że oni są bezwzględni. A mimo to nie poddała się! Musimy ją pomścić!

– Idę z wami – mruknełam zrezygnowana.

– No, nie wiem, czy to jest dobry pomysł – powiedział niepewnie Max.

Aki, muszę to przyznać, potrafi człowieka przekonać. Ta gadka o poświęceniu Iv była naprawdę niezła. Chociaż z tego, co wiem, to raczej nie kierowały nią altruistyczne pobudki. Robiła to wszystko tylko po to, żeby Aki ją wreszcie zauważył. No i mimo że wszystko skończyło się dla niej pechowo, to jednak dopięła swego. Trzeba jej to przyznać.

– Za tydzień w sobotę pełnia – przerwał moje rozmyślenia Aki. – Podejmiemy wtedy wspólną decyzję.

– Poinformuję innych – powiedział Max.

Chwilę siedzieliśmy w ciszy. Zastanawiałam się właśnie nad tym, czy też mogę przyjść na to ich spotkanie, kiedy usłyszałam:

– Jeśli chcesz, to możesz przyjść – powiedział Aki, patrząc mi prosto w oczy.

Wreszcie zobaczę, jak naprawdę wyglądają te ich tajemnicze spotkania. Kiedy wpadłam na nie poprzednio, to za bardzo się nie cieszyli. Można nawet powiedzieć, że nieźle ich przestraszyłam. A teraz, proszę: mam oficjalne pozwolenie.

Max odwiózł mnie do domu, gdzie zostałam szczegółowo przepytana przez mamę o zdrowie Ivette.

Może Aki ma rację. Jeśli nawet wpakujemy się w kłopoty, to powinniśmy to zrobić dla Ivette. Ona wierzyła w prawdę. A ja? To wszystko wydaje mi się takie nierzeczywiste...

Gdy wreszcie mama dała mi święty spokój, poszłam do naszej domowej biblioteki, żeby poszukać czegoś na temat genetyki i DNA. Nawet nie musiałam długo szukać. W końcu u mnie w domu od zawsze ktoś się zajmował czymś związanym z biologią lub medycyną.

Wyciągnęłam pierwszy z brzegu tom i przeczytałam:

*Znamy około sześciu tysięcy chorób spowodowanych uszkodzeniem pojedynczych genów. Współczesna terapia genowa polega na zastąpieniu wadliwego genu jego prawidłową kopią lub wprowadzeniu do genomu nowej, niezmutowanej kopii. Najważniejszym problemem terapii genowej jest sposób dostarczenia genów do komórek pacjentów. Do tego celu wykorzystywane są między innymi wirusy z wbudowanymi prawidłowymi ludzkimi genami. Niektóre próby terapii genowej zakończyły się pomyślnie, inne tragicznie, ponieważ trudno jest przewidzieć reakcję organizmu na wirusa. Terapia genowa może dotyczyć wybranych somatycznych komórek chorego, jak również gamet i zygot. W wielu krajach terapia genowa komórek rozrodczych jest prawnie zabroniona.*

Jednak to niczego nie wyjaśniało. Dobra, zgodzę się teraz, że mieszanie w genach jest możliwe. Ale tylko na etapie komórkowym! Dziecka nie dałoby się tak... przeprogramować! To jest niemożliwe!

Gryzłam się tym przez cały dzień, usiłując zrozumieć, o co tak naprawdę chodzi. Oczywiście nie doszłam do niczego odkrywczego.

Poza tym brakuje mi Ivette. Nie mogę się dodzwonić do jej mamy, bo komórka pani Reno nie odpowiada. Nawet nie wiem, do jakiego szpitala zabrali Iv. Poza tym ta pielęgniarka, która wsiadła z nią do śmigłowca, zupełnie mi się nie podoba. Iv nie histeryzowałaby z powodu byle głupstwa. Z tą pielęgniarką

rzeczywiście coś musiało być nie tak. Tylko co?

Szkoda, że Iv nie zdążyła nam powiedzieć, kto ją potrącił? To ułatwiłoby sprawę.

W następny weekend wypadła pełnia i kolejne zebranie wilków. Co prawda zostałam na nie zaproszona, ale dość niechętnie. Inne wilki, poza Maksem i Akim, nie do końca mi wierzyły. I nie dziwię się im. Gdyby ktoś odkrył, kim naprawdę są, to pewnie byłaby z tego niezła afera. A tak mają przynajmniej spokój – to znaczy mieli, dopóki nie pojawiłam się ja, Ivette i ten przeklęty Jaguar. A... no tak, nie należy źle się wyrażać o zmarłym.

Max postanowił, że pójdziemy tam normalnie. To znaczy on jako Max, a ja jako... ja. Miał więc po mnie przyjść pod postacią człowieka, a nie wilka. Pewnie sądził, że w innym przypadku będę się czuła nieswojo w jego obecności.

Może też peszyło go to, że będzie się musiał przy mnie zamieniać z powrotem w człowieka? W końcu wtedy nie miałby niczego na sobie...

Tak, ja też bym się chyba wstydziła zrobić coś takiego przy nim...

Róże naprawdę przeszkadzają w schodzeniu po pergoli. Ciągłe się o nie kaleczę i je łamię. Jak tak dalej pójdzie, to wszystkie zniszczę. A szkoda by ich było. Wiąże się z nimi bardzo dużo miłych wspomnień, na przykład to, kiedy Max spytał mnie, czy chcę z nim chodzić...

Ach...!

Byłam gdzieś tak w połowie drogi na dół, gdy drewniany szczebel, na którym właśnie stałam, złamał się pod moim ciężarem. Ponieważ straciłam oparcie dla nóg, zawisłam na samych rękach. Taak, tylko że to było trochę bolesne, bo zacisnęłam dłonie na różach owiniętych wokół szczebla. A jak wiadomo: nie ma róży bez kolców.

Choroba, to boli!!!

Właśnie usiłowałam znaleźć oparcie dla stóp, gdy pękł także szczebel, na którym wisiałam. Jedyne, co zdołałam powiedzieć, to było:

– O, chol... – i już leżałam na ziemi.

Ja to mam pecha. Od ziemi dzieliły mnie raptem dwa metry, ale i tak upadek był dość bolesny. Poleciałam na nogi, a potem wyrznięłam siedzeniem w glebę. Nie będę teraz mogła usiąść przez tydzień! O matko! moja pupa!!!

Właśnie podnosiłam się na nogi, gdy od tyłu podszedł do mnie Max.

– Nic ci się nie stało? – spytał cicho.

Aż podskoczyłam. Jak ja kocham to jego skradanie, o rany...

Fajnie, na dodatek widział, jaka ze mnie niezłoda. Teraz pewnie sobie pomyśli, że nie potrafię zrobić nawet czegoś tak prostego jak zejście po pergoli. Oby tylko mnie nie odesłał do domu. No, bo jeśli stwierdzi, że nie nadaję się do tej „misji” i nie warto mnie nawet zabierać na zebranie? Chybaby mi tego nie zrobił?

– Nie, nic – odpowiedziałam, otrzepując spodnie z ziemi. Może uda, że tego nie zauważył? Proooszę...

– Jak ty to zrobiłaś? – spytał, usiłując powstrzymać uśmiech. Ech... bez komentarza.

– Najpierw załamałam się szczebel, na którym stałam, a potem ten, którego zdążyłam się złapać – odpowiedziałam lekko obrażonym tonem.

Spojrzałam na swoje podrapane dłonie. Czemu ja mam takie szczęście do wypadków, na dodatek do takich, po których zostają wyraźne ślady? Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce będę wyglądać jak narzeczona Frankensteina.

Będę je musiała potem opatrzeć.

– No dobra – mruknął. – Chodźmy, bo jeszcze twoi rodzice nas usłyszą.

W jakąś godzinę dotarliśmy na miejsce. Ta polana musi być bardzo głęboko w lesie. A może po prostu wolno szliśmy, bo się wlokłam? Max, wiadomo, chodzi strasznie szybko i w ogóle się nie potyka o te przeklęte korzenie, a ja... ja ze dwadzieścia razy tego wieczoru o mało się nie zabiłam. Aż człowiekowi brakuje słów...

Rany, cała się zasapałam. Okropnie szybko się męczę.

Poza tym las nadal mnie przeraża. Nie wiem, to chyba jednak jest jakaś fobia. No, bo przecież już nie mam się czego bać, prawda? Tymczasem dziwne odgłosy, szum drzew, no i te egipskie ciemności sprawiają, że nie czuję się zbyt pewnie.

Dobrze, że Max idzie przy mnie. Sama nie weszłabym do lasu. Jeszcze znowu trafiłabym na jakiegoś psychopatę pokroju Jaguara...

Przy ognisku siedzieli już prawie wszyscy. Hm, jak zauważyłam, tylko ja i Max byliśmy normalnie ubrani. To znaczy, że reszta przyszła tu pod postacią wilków. Fajnie, znowu się wyróżniam z tłumu. To jakieś przekleństwo.

Usiedliśmy na zwałonym pniu (tak, nie musicie pytać – siedzenie bolało!). Podobne pnie były rozmieszczone na polanie tak, żeby wszyscy mogli siedzieć w kręgu wokół ogniska.

– Słuchajcie – zaczął Aki. Chyba jest tu przywódca. Ha, kto by pomyślał. – Przyszliśmy tu, żeby porozmawiać o tym, co możemy zrobić. Ivette odkryła coś związanego z nami. Nie zdążyła powiedzieć co, bo wywieźli ją do Nowego Jorku. Wiemy jednak od niej, że wypadek Jaguara wcale nie był wypadkiem, a my nie jesteśmy wilkami od urodzenia.

W tym momencie po polanie przebiegła fala szeptów i pytań. Nikt nie mógł uwierzyć w to, co powiedział Aki. Zresztą wcale im się nie dziwię.

– Ivette uważa, że ktoś nam to zrobił? Skąd możemy wiedzieć, że mówi prawdę? – spytała jakaś dziewczyna. – Poza tym nikomu nie można zrobić czegoś takiego. To jest technicznie i medycznie niemożliwe.

Jakbym słyszała samą siebie.

– Tak właśnie uważa – stwierdził stanowczo Aki. – Słuchajcie. Możemy

się tego dowiedzieć...

– Jak? – przerwała mu znowu ta sama dziewczyna, patrząc na niego krytycznie.

Chyba ją polubię. Zaraz, czy to nie ona była na randce z Akim wtedy, kiedy ich po raz pierwszy spotkałam? Tak! To ona! A wtedy wydawała mi się taka wredna...

– Zaraz do tego dojdę – powiedział wściekły. – Oczywiście jeżeli będziesz na tyle miła i się zamkniesz.

Dziewczyna umilkła. Ach, ta siła przekonywania Akiego, no nie? Ta jego delikatna perswazja.

– Słuchajcie – poprosił i pokrótce opowiedział zebranym o naszych podejrzeniach, że wszystko jest związane z inżynierią genetyczną i miejscowym szpitalem. – Przypomnijcie sobie teraz. Czy kiedykolwiek byliście w szpitalu? Odpowiadajcie po kolei.

– Jak byłem mały, to oparzyłem się w rękę – zaczął jakiś chłopak.

Zaraz po nim nastąpił szereg wyznań o drobnych wypadkach, a także obowiązkowych szczepieniach.

– Czyli wychodzi na to, że każde z nas było kiedyś w szpitalu – podsumował Aki. – Dobrze by było, gdybyśmy zobaczyli nasze karty.

– A czy one nie są tajne? – spytał Mark (to od niego wszystko się zaczęło i od tego, że był taką słabą wymówką dla Maksa! To jego wina, że nie mogę teraz siedzieć i się kręć!).

– No to co? Jakoś do nich dotrzemy – powiedział spokojnie Aki. – Musimy dostać się do archiwum. Mark, ty zrobisz spis wszystkich chorób i obrażeń, jakie kiedykolwiek miało każde z nas. Dzięki temu będziemy wiedzieć, czego szukać.

– Dobra, ale jak to zrobimy? Włamanie? – przerwał mu Mark.

Matko! Ta rozmowa tak długo już trwa, a ja mam ochotę tylko na to, by usiąść na worku lodu. Litości... Co chwila zmieniam pozycję, ale to w ogóle nie pomaga.

– O co chodzi? – szepnął cicho Max i ledwo powstrzymał uśmiech. – Coś cię boli?

A niech to! Zauważył, a mógł przecież udać, że tego nie widzi.

– Trochę, ale wytrzymam – mruknęłam, wściekła, w odpowiedzi.

I to ja jestem złośliwa? Bo zaczynam mieć poważne wątpliwości...

– Właśnie nad tym musimy się teraz zastanowić – odpowiedział głośno Aki, zwracając się w naszą stronę.

– Pokaż ręce – poprosił mnie szeptem Max.

Ostrożnie podałam mu podrapane dłonie, nie za bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

– Hej! – krzyknął głośno Max i wstał, ciągnąc mnie za sobą. – Mam

pomysł!

– Jaki? – spytał zaciekawiony Aki.

Wszyscy zaczęli na nas patrzeć, czekając na wyjaśnienie, do czego zmierza Max.

– Margo podrapała się o róże i ma teraz mnóstwo kolców w dłoniach. To doskonały pretekst, żeby wejść jutro do szpitala i się w nim trochę porozglądać. W razie czego możemy powiedzieć prawdę, że przyszliśmy z przyjaciółką.

– To świetny pomysł! – podchwycił Aki. – Tylko musimy teraz wybrać skład, w jakim pójdziemy. Góra trzy, cztery osoby. Proponuję, żebyśmy zagłosowali.

Wynik głosowania był prosty: ja (bo muszę), Max (bo powiedziałam, że bez niego nie idę) i Aki wytypowany przez innych. Wezmę jutro udział w nielegalnym przeglądaniu kart szpitalnych. Super...

W zasadzie to na tym całe zebranie się skończyło. Chwilę później rozeszliśmy się do domów.

To naprawdę niesamowite, jak oni zamieniają się w wilki. Po prostu powoli zaczyna im rosnać futro, a twarze się wydłużają, rosną zęby, a uszy przesuwają się w górę. Odkryłam też, że od koloru włosów zależy kolor futra. Max ma jasne włosy, więc jest srebrnym wilkiem, Aki ma czarne, więc jego futro też jest czarne. Fantastyczne, prawda? Szkoda, że żadne z nich nie ma rudych włosów...

Gdy szliśmy z Maksem, spytałam go o coś, co mnie już od dawna nurtowało:

– Czy jak się zamieniasz, to cię to nie boli? To znaczy, czy coś czujesz?

Myślałam, że może nie będzie chciał o tym mówić, ale o dziwo powiedział:

– Nie. Właściwie nic nie czuję. No, może lekki chrzęst, kiedy przesuwają się albo wydłużają kości. Ale tak... to w ogóle nie boli.

– A zęby? Wyrastają ci jakby od nowa. To też nie boli? – nie mogłam uwierzyć. – Jak mi wyrastały zęby po mleczakach, to cała aż się skręcałam.

– No, może trochę – przyznał. – Ale to się tak szybko dzieje, że nawet nie masz czasu się zastanowić.

Max najwyraźniej uważa, że zna mnie już na tyle dobrze, że nie musi niczego przede mną ukrywać. Kocham go, wiecie?

I odprowadził mnie do domu, bo sama oczywiście za nic bym nie trafiła. Jest opiekuńczy, szczery i czuły, czy można chcieć czegoś więcej? To znaczy, mógłby nie być wilkołakiem, ale trudno.

No, tak!... Tylko jak wejść po pergoli. Szczerze przyznam, nie mam już do niej zaufania. Wcale nie jest taka solidna, na jaką wyglądała.

– Jak będziesz wchodzić, to idź przy krawędzi. Wtedy szczeble nie powinny pęknąć – przerwał moje wahania Max.

– Co? A, tak – odpowiedziałam niezbyt przytomnie. Pożegnałam się z nim (pocałowaliśmy się!) i podeszłam do pergoli. Mój pokój znajduje się strasznie wysoko! Pierwsze piętro to nie byle co.

Zaczęłam się wspinać, chociaż duszę miałam na ramieniu, poza tym bolały mnie dłonie. Tak jak radził Max, wspinałam się tuż przy krawędzi. Ciekawe, czy sobie poszedł, czy też stoi, pilnując, bym nie zleciała i nie skreśliła sobie karku?

Na szczęście w końcu dotarłam do barierki i przeszłam przez nią, stając bezpiecznie na balkonie.

Wyjrzałam.

Krzaki obok furty lekko się poruszały. To znaczy, że Max czekał. Miło wiedzieć.

Spuściłam głowę i spojrzałam na ziemię. Mnóstwo róż straciło dzisiaj życie... Trawnik pod moim oknem wyglądał jak pole bitwy. Wierście mi. Cały jest zawałony powyrywaniem kwiatami i kawałkami szczebli.

Ale jak ja wytłumaczę rodzicom te zniszczenia?

Taaak... zerknęłam na swoje ręce. I wiecie co? Wyglądają okropnie. Max co prawda powiedział, że bym ich nie ruszała, ale bez przesady. Trochę kolców wyjmę. Przecież nie będę mogła nic robić takimi rękami.

## 16.

Au!!! – zawylałam w poduszkę, kiedy po raz setny uraziłam się w bolące miejsce.

Zabiję Maksa za to jego „nie wyjmuj kolców”! Już ja mu się odwdzięczę!!! Całą noc nie spałam!!!

Poza tym muszę to jakoś ukryć przed mamą. A nie, przecież i tak odkryje połamaną pergolę. Więc mogę się z tym nie kryć... Gorzej, jeśli sama będzie mi chciała wyjmować kolce.

Która może być teraz godzina? Zerknęłam na budzik. Prawie siódma. Nareszcie! Myślałam, że nie wytrzymam w łóżku. Poza tym ręce ciągle mnie bolą. Muszę natychmiast zobaczyć, jak wyglądają.

Wstałam i podeszłam do zastół, żeby je rozsunąć, co udało mi się z wielkim trudem. A kiedy spojrzałam na swoje dłonie, zamarłam.

Oberwę głowę Maksowi i Akiemu!!! Te durne kolce podeszły ropą i ręce mi spuchły! Zabiję ich! Na pewno zostaną mi po tym ślady!

Naprawdę, przysięgam! Usiłowałam ukryć ręce przed mamą, ale zauważyła. To nie moja wina! To wina Maksa. I pergoli. I całego świata.

Ale na pewno nie moja!

– Boże, Margo! Co ci się stało? – krzyknęła mama podczas śniadania i złapała mnie za rękę, wykręcając ją do światła.

– Au! – zawylałam. – To boli!

– Ale co się stało?! – spytała jeszcze raz, na szczęście też mnie puściła.

– No, bo widzisz... – zaczęłam i utknęłam.

Wiercie mi. Miałabym szlaban do końca życia, gdybym jej powiedziała, że wymykałam się chyłkiem na randkę.

– Bawiłam się ze Sweterem! – dokończyłam odkrywczco.

– Ale co to ma do twoich rąk? – spytała mama.

– No tak. No, bo bawiłam się ze Sweterem i rzucałam mu patyk – plątałam dalej. – No i patyk wpadł w pergolę. No to ja weszłam na pergolę, żeby go wyjąć. No i pergola się załamała, a ja pokaleczyłam się o róże.

Hej! Jak na historyjkę wymyśloną na poczekaniu, to było niezłe, prawda?

– Ale nie martw się. Zadzwoiłam do Maksa i powiedział, że zawiezie mnie do szpitala – pocieszyłam ją.

– Na motorze? A jak się go będziesz trzymać? – spytała, podnosząc jedną brew.

– Pewnie przyjedzie samochodem – powiedziałam.

No właśnie. Jak ja się będę go trzymać?! Zupełnie o tym nie pomyślałam! Genialnie...

Jakieś pół godziny później Max podjechał... samochodem. A w zasadzie

to Aki podjechał, bo Max siedział na miejscu pasażera. Szybko pożegnałam się z mamą i ruszyłam w ich stronę.

Max wysiadł, krzyknął do mojej mamy „Dzień dobry, pani Cook!” i otworzył przede mną drzwi. Odwróciłam się, pomachałam mamie i wsiadłam do samochodu. Gdy już ruszyliśmy (ja siedziałam na tylnym siedzeniu, więc oni byli przede mną) powiedziałam do nich wściekła:

– Całą noc nie spałam przez te kolce! Ręce mi spuchły i zaczęły ropieć przez ten wasz durny pomysł.

Max okazał chociaż trochę serca i odwrócił się do mnie ze strapioną miną. Ale kto by oczekiwał po Akim jakiegokolwiek słowa współczucia? Chyba tylko ostatni naiwniak...

– Zagoi się – mruknął tylko.

Mam ochotę mu przywalić. Gdyby tylko ręce mnie tak nie bolały, tobym go chyba trzepnęła w ten czarny, zakuty łeb!!!

– Bardzo cię boli? – spytał Max i spojrzał na mnie ze współczuciem.

No, po nim od razu widać, że chociaż trochę żałuje. Ale Aki? To drań...

– Cały czas mnie boli, od jakichś dziewięciu godzin – powiedziałam wściekła, na co Max zrobił jeszcze bardziej zbolaną minę.

Jest słodki, prawda?

Gdy zatrzymaliśmy się przed szpitalem, podeszłam do Maksa i szepnęłam:

– Wejdiesz ze mną?

– Oczywiście – odpowiedział i przytulił mnie, uważając na moje ręce.

– Hej gołąbki – przerwał nam Aki (och, jak ja bym go chętnie walnęła!). – Pamiętajcie, że musicie podpytać lekarza o karty. Tylko uważajcie, żeby nie zaczął czegoś podejrzewać.

– Tak jest, panie generale! – zsalutowałam mu ironicznie jedną ręką. – Jeszcze jakieś rozkazy?

Pielęgniarka w rejestracji skierowała nas do dyżurującego w tym momencie lekarza. To był ten sam lekarz, który opatrywał mnie wtedy, gdy podrapałam się, uciekając przed wilkami. Widocznie zawsze ma dyżury w niedziele, biedaczek.

Gdy weszłam z Maksem do pokoju, spojrzał na mnie zdziwiony.

– Co się tym razem stało? – spytał. – Znowu się przewróciłaś?

– Nie, to róże – mruknęłam.

– Chciałaś je wyrwać z ziemi gołymi rękoma? – spytał, oglądając moje dłonie.

Usiłował być dowcipny, co nie za dobrze mu wychodziło, bo skręcałam się z bólu.

– Eee, nie. Chciałam zejść po pergoli no i... załamala się, no i... musiałam się czegoś złapać – powiedziałam, czując, że się czerwienię.

Moim wyznaniem wzbudziłam u niego niepohamowany wybuch śmiechu. Zerknął wszechwiedzącym wzrokiem na Maksa i mrugnął do mnie.

– Ja też w twoim wieku chyłkiem wymykałem się z domu na randki – powiedział. – Tylko to trochę nierycerskie, że twój kawaler cię nie złapał.

Ja nie mogę. Zamiast mnie zbesztać, powiedział coś takiego. Spojrzałam na niego. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt parę lat, jeśli nie więcej. W życiu bym go nie posądziła o wymykanie się na randki.

– Byłem za daleko – mruknął speszony Max, także zaskoczony szybkimi skojarzeniami lekarza.

– Następnym razem musisz ją zatem złapać, bo przy swoim szczęściu do wypadków jeszcze coś sobie złamie – stwierdził doktor i uśmiechnął się do niego ciepło.

Muszę powiedzieć, że wyciąganie cierni olbrzymią pęsetą jest tak bolesne, jak średniowieczne tortury. Gdyby Max nie trzymał mnie mocno za ramiona, to chyba zerwałabym się z krzesła, na którym siedziałam, i uciekłabym gdzie pieprz rośnie. To gorsze niż zastrzyki! To gorsze niż złamanie nogi! To gorsze niż wszystko!!!

Doktor razem z Maksem cały czas usiłowali zabawić mnie rozmową, ale w ogóle im to nie wychodziło. W którymś momencie Max zaproponował:

– A może opowie nam pan o szpitalu, albo o ciekawych pacjentach?

Od razu zwróciłam na to uwagę i muszę wam powiedzieć, że nawet na chwilę zapomniałam o bólu.

– W zasadzie, to wszelkie informacje są ściśle tajne – odpowiedział lekarz.

– Tak jak karty pacjentów? – spytał niby bezinteresownie Max.

– Tak, ale to nic ciekawego...

– A można oglądać swoje karty, czy to też jest zabronione?

– pytał dalej Max.

– W zasadzie, to nie. Pacjent może być tylko poinformowany o przebiegu swojej choroby, ale nie ma wglądu do karty.

– Szkoda, pewnie za jakieś dwadzieścia lat śmiałabyś się z dzisiejszego wpisu – powiedział do mnie Max.

– Z czegoś tak bolesnego nigdy nie będę się śmiać – wydusiłam z siebie.

– Jeśli w takim tempie będą cię spotykały wypadki, to twoja karta za dwadzieścia lat nie będzie mieścić się w archiwum – zaśmiał się doktor. – Skończyłem. Teraz jeszcze to obmyjemy i założymy opatrunki, i będziesz mogła iść do domu.

– Archiwum? – spytał zaciekawiony Max. – To zebrała się cała biblioteka kart?

– Coś w tym rodzaju – odpowiedział lekarz. – Tylko że nikt ich nawet nie przegląda. Zwłaszcza tych starych. Poza tym, komu by się chciało schodzić po

nie do piwnicy?

Żadnego z nas nie rozbawił ten dowcip. Doktor się wygadał. Teraz już wiemy, gdzie szukać.

Po zabandażowaniu moich rąk (ciekawe, kiedy będę mogła ich normalnie używać) doktor uśmiechnął się do mnie i dał mi lizaka.

– To za odwagę – zażartował. – I uważajcie, jak się razem wymykacie.

– Dobrze – odpowiedzieliśmy zakłopotani i wyszliśmy do poczekalni, w której zastał nas Aki.

Prawdę mówiąc, mam wyrzuty sumienia, że chcemy włamać się do tego archiwum. Doktor był taki miły, a my podstępnie wyciągnęliśmy z niego informacje. Nieświadomie stał się naszym współnikiem. A niech to...

– Co tak długo? – spytał Aki.

– To bolesny (zaakcentowałam to słowo) zabieg wyjmowania mi na żywca (znowu zaakcentowałam) kilkudziesięciu kolców, a nie wizyta w sklepie – warknęłam.

Aki ciągle mnie wkurza. Jak Max z nim wytrzymuje i jeszcze na dodatek się przyjaźni? Ja bym go już dawno przydusiła pod wodą na basenie, żeby tylko przestał zrzedzić. Zazdroszczę Maksowi tej jego anielskiej cierpliwości...

– Karty są w archiwum w piwnicy – powiedział ściszym głosem Max.  
– Ale żaden pacjent nie ma do nich wglądu.

– Niech to! Tam pewnie będą kamery – mruknął Aki.

O tym nie pomyślałam. A co będzie, jak nas nagrają, a potem wyślą taśmę na policję?! Rodzice by mi czegoś takiego nie wybaczyli. Pewnie do końca życia nie mogłabym się spotykać z Maksem! Rany, w co ja się wpakowałam?! Przecież to przestępstwo!

– Musimy pomyśleć – stwierdził Aki i usiadł na krzeselku, udając, że nie widzi wzburzonego spojrzenia jakiejś staruszki, która też najwyraźniej miała ochotę tu usiąść.

– Ta dzisiejsza młodzież! – usłyszałam jej głośne prychnięcie, kiedy przechodziła obok mnie.

– Może byś wstał i puścił kogoś potrzebującego na to miejsce? – powiedziałam do Akiego.

– Mam nogę skręconą w kostce – powiedział i wysunął przed siebie nogę tak, że każdy mógłby się teraz o nią potknąć. – Nie przeszkadzaj mi. Myślę.

Jedno trzeba mu przyznać. Jest pomysłowy.

Jednak trochę nudne było tak stać nad nim i patrzeć, jak myśli. Zwłaszcza kiedy rozwiązanie było dość proste, prawda? Najłatwiej byłoby przecież zdobyć trzy fartuchy lekarskie i zjechać na dół windą. Może nie trzeba będzie tam pokazywać legitymacji lekarskiej. A jeśli nawet, to się zmyśli, że jesteśmy na praktyce. I to cała filozofia. Nad czym tu się zastanawiać?

– Moglibyśmy poczekać do zmroku – zaczął Aki. – Dostać się do maszynowni, uspić strażnika, przeciąć kable i szybko dostać się do archiwum. Ukradniemy karty i wydostaniemy się z budynku. A żeby zatrzeć ślady, możemy spowodować pożar w maszynowni. Wtedy nie będzie śladów włamania...

Umysł Akiego działa w zbyt skomplikowany sposób, prawda? Świetnie nadawałby się na terrorystę...

Powiedziałam im, co ja wymyśliłam, i muszę powiedzieć, że spojrzeli na mnie z uznaniem. Ha!

– A ostatecznie, gdyby to się nie udało, możemy spowodować pożar – powiedział Aki i wstał, co od razu wykorzystwała tamta staruszka. – Wtedy wszyscy pobiegną do ognia, a my będziemy mieć wolną drogę.

Boże, w nim siedzi jakiś rąbnięty pirotechnik!

– Chcesz podpalić szpital?! – spytałam, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma. – Szpital?! Zgłupiałeś?!

– Cel uświęca środki – mruknął. Ahh!!! Mam ochotę go trzasnąć!!!

– To co zrobimy? Musimy w jakiś sposób zdobyć te ich uniformy – przerwał nam Max.

– Moglibyśmy kogoś złapać i... – zaczął Aki, ale teraz to ja mu przerwałam:

– A nie prościej byłoby wejść do jakiegoś składziku i pożyczyć to, co jest nam potrzebne?

Zauważyliście, że Aki myśli tak jakoś inaczej? Strasznie okrężną drogą...

W każdym razie chłopcy zgodzili się na mój plan i już chwilę później staliśmy pod drzwiami składziku. Taak... tylko co teraz?

– Ty – powiedział Aki, wskazując na mnie. – Wejdiesz do środka. Jeśli ktoś tam będzie, to powiesz, że się zgubiłaś. A jak będzie pusto, to nas zawołasz.

– Dlaczego... – zaczęłam, ale nie zdążyłam skończyć, bo mnie wepchnął do środka.

Na szczęście nikogo nie było, więc ich zawołałam. Tylko jak Aki wchodził, to potknął się przypadkiem o moją nogę. No, co? Przecież nie mogę używać rąk. Warknął coś do mnie, ale nie za bardzo zrozumiałam. Trudno.

Przebraliśmy się szybko w gustowne szpitalne ubranka i ruszyliśmy w stronę windy.

Wpadniemy. Mogę się założyć. Przecież na pewno każą nam się tam wylegitymować, a my nie mamy identyfikatorów! Wpadniemy. Na pewno. Dlaczego zawsze muszę się w coś wpakować?

Gdy już wysiedliśmy z windy, ruszyliśmy korytarzem prosto przed siebie. Szczerze mówiąc, nie mieliśmy innego wyboru, bo nie było innych odgałęzień. No i dobrze. Max cały czas czujnie rozglądał się po ścianach w poszukiwaniu kamer, a jednocześnie udawał, że nic go nie obchodzi. Genialnie grał swoją rolę.

Zupełnie jak Aki. Skąd oni mają takie doświadczenie?

W pewnym momencie z drzwi przed nami wyszedł jakiś facet. Aki nie potrafi chodzić, wierzcie mi. Mimo że podłoga jest tu idealnie równa, to on się potknął i wpadł na tego faceta. Mało brakowało, a obydwaj by się przewrócili.

– Uważaj, jak leziesz! – warknął facet i szybko nas wyminął. Kiedy tylko odszedł na bezpieczną odległość, Aki wyjął coś z kieszeni i pomachał nam przed oczami. To był identyfikator. Aki odpiął mu go od koszuli, a facet nawet tego nie zauważył!

I wiecie, co? Stwierdzam jednak, że Aki mimo wszystko ma odrobinę inteligencji.

Max przybił mu piątkę i dalej jakby nigdy nic poszliśmy korytarzem.

W końcu dotarliśmy do drzwi z napisem „Archiwum”. Miło z ich strony, bo w tym korytarzu są chyba tysiące drzwi. Większość ma tabliczki w stylu: „Prosektorium” (tylko siłą ktoś by mnie tam wepchnął) lub „Laboratorium”.

Tak jak podejrzewałam, za drzwiami siedział strażnik i kiedy tylko weszliśmy, od razu na nas spojrzął. Strasznie się denerwowałam, ale o dziwo Max i Aki zachowali kamienne twarze. Aki wyglądał nawet na lekko znudzonego i zdegustowanego.

Przechodząc obok biurka strażnika, Aki machnął mu ukradzionym identyfikatorem, a my szliśmy po prostu za nim.

I wiecie, co? Strażnik nawet nie mrugnął. Po prostu wrócił do czytania gazety. Zadziwiający jest poziom ochrony w szpitalach, prawda?

Szczerze mówiąc, to za bardzo nie wiedzieliśmy, gdzie mamy szukać. Archiwum zajmuje chyba prawie całe podziemia. Bogu dzięki, że szafki są ustawione rocznikami. Szybko skierowaliśmy się więc w stronę szafek rocznika wilków. Uwierzycie, że było ich kilkanaście?! Na szczęście nazwiska ułożono alfabetycznie.

Podzieliliśmy się i szukaliśmy teczek wilków według listy Marka. Jednak, co najciekawsze, żadnej z nich nie było.

Aki rzucił jakieś ciche przekleństwo i zamknął z łomotem szufladę. Aż podskoczyłam. Poza tym miałam, delikatnie mówiąc, małe kłopoty z poruszaniem zabandażowanymi dłońmi.

– Nie ma ich! – warknął wściekły. – Musieli je gdzieś ukryć.

– W takim razie ich poszukamy – odpowiedział spokojnie Max i zagłębił się pomiędzy regały.

Poszłam w jego ślady. Zaczęłam spacerować, szukając w każdym roczniku karty Maksa. To chyba oczywiste, że nigdzie jej nie było... I na tym to całe nasze wtargnięcie na teren prywatny się skończy...

Aż w pewnej chwili trafiłam na szafkę, na której nie było żadnego napisu. Stała sobie w kącie, z dala od innych, ale nie była zakurzona. Poza tym moja ciekawość jeszcze bardziej wzrosła, kiedy pociągnęłam za jedną z szuflad.

Okazało się, że są zamknięte.

Ciekawe, no nie?

Szybko pokazałam ją chłopakom.

– Chyba właśnie tego szukaliśmy – ucieszył się Max. – Świetna robota, Margo.

Nie muszę mówić, że miło mnie połechtał ten komplement, no nie?

– Ale jest zamknięta, więc i tak się do niej nie dostaniemy – stwierdziłam.

– To żaden problem – powiedział Aki i wyjął z kieszeni wytrych.

No tak, przecież on pewnie nigdy nie rozstaje się z zestawem „Mały włamywacz”...

Chwilę dłużej przy zamku jednej z szuflad i dosłownie parę sekund potem usłyszeliśmy cichy szcęk zamka. Taak... z Akiego naprawdę byłby świetny terrorysta albo złodziej. Widzę przed nim wielką karierę. Mam nadzieję, że odпалиłby mi trochę z jakiegoś napadu na bank. W końcu zawsze chciałam mieć własny basen, a moje milczenie trochę by go kosztowało...

Ciekawe, co znaleźliśmy w szufladzie, prawda?

Odpowiedź jest prosta. To, czego szukaliśmy. (Chociaż ja podejrzewałam, że będzie tam tylko kurz...).

Aki od razu złapał swoją kartę, a Max swoją. Oczywiście zapuściłam żurawia Maksowi przez ramię.

No co? Czysta ciekawość.

– Też coś! – prychnął Aki. – Nigdy nie miałem złamanej nogi! A tu napisali, że miałem!

– A ile miałeś wtedy lat? – spytał Max. – Bo ja w wieku czterech lat miałem podobno wstrząs mózgu.

– Ja też miałem cztery lata, kiedy niby złamałem nogę – powiedział Aki i jeszcze raz spojrzął w swoją kartę.

– Jesteście pewni, że nic podobnego się wam nie wydarzyło?

– spytałam.

– W życiu nie miałem wstrząsu mózgu – odparł Max. Chwilę staliśmy, wpatrując się w dokumenty. W końcu nie wytrzymałam i sięgnęłam po kartę Marka, bo w zasadzie tylko jego znam. Sprawdziłam, jakie choroby miał według listy, którą stworzył, i porównałam z tym, co było napisane w karcie. Oczywiście nic się nie zgadzało. Również wtedy, kiedy miał cztery lata, bo wpisano mu fikcyjny wypadek na rowerze...

Powiedziałam o tym chłopakom, a oni zaczęli sprawdzać inne karty. Ja natomiast dokładniej wczytałam się w kartę Marka.

– Spójrzcie – przerwałam im w którymś momencie. – Tu jest napisane, że badaniami kierował jakiś doktor Skin, a wyniki zostały przesłane do Instytutu Badań nad Medycyną. A co on ma do rzeczy?

– Czekaj – powiedział Aki i zaczął wertować swoją kartę.

- Doktor Skin i wyniki do Instytutu?
- Tak jest napisane w karcie Marka – odpowiedziałam.
- W mojej też – mruknął Aki.
- I w mojej – dodał Max.

Szybko zaczęliśmy przeglądać pozostałe karty. W każdej było to samo: kierownikiem badań był doktor Skin, a wyniki przesłano do Instytutu Badań nad Medycyną w celu dokładniejszej analizy.

– No, to zaczyna się robić ciekawie... – powiedziałam pod nosem. – Co ma do tego Instytut?!

– W jakiś sposób musi być powiązany. Może ma lepsze pracownie albo laboratoria – mruknął Max, nadal wpatrując się w swoją kartę.

– Dobra, spadamy stąd – stwierdził Aki i zaczął wkładać wyjęte karty do szuflad.

Po zatuszowaniu wszystkich śladów naszej obecności (łącznie z wytarciem tajemniczej szafki ściereczką – to był pomysł Akiego, który nie chciał zostawiać swoich odcisków – paranoja, no nie?) ruszyliśmy do wyjścia.

Strażnik nadal czytał gazetę, ale spojrzał na nas, jak wychodziliśmy. A już zaczynałam sądzić, że on patrzy tylko na tych wchodzących...

Gdy szliśmy korytarzem, Aki zaczął zachowywać się trochę dziwnie. (Wiem, że on jest taki cały czas, ale to było coś nowego). Mianowicie, zaczął liczyć drzwi.

Tak, nie zmyślam. Aki liczył drzwi.

A gdy doszedł do piętnastu (to długi korytarz), przystanął i położył na ziemi skradzioną legitymację.

– Co? – spytał zdziwiony, widząc moje spojrzenie, mówiące: „Jesteś kretynem, czy tylko tak mi się wydaje?”. – To po to, żeby facet się nie zastanawiał. Mógłby pomyśleć, że ją ukradliśmy.

– No, co ty? – spytałam ironicznie. – To by była straszna pomyłka.

Lubię go drażnić. Po prostu nie mogę na to nic poradzić. Gdy przebieraliśmy się w szatni, zauważyłam, że Aki wkłada swój uniform pod bluzę.

– Po co ci to? – spytałam.

– Wszystko się może kiedyś przydać – odparł.

Jasne... Co ciekawsze, Max nie przejął się zbytnio zachowaniem Akiego. Widocznie to u niego częste.

Ręce zaczynają mnie boleć. Za dużo nimi robiłam. Trzeba było sobie darować przeglądanie tych wszystkich szuflad. Poza tym samo włamanie nie było nawet takie straszne. W końcu nikomu ni zrobiliśmy krzywdy.

Postanowiliśmy pojechać do Maksa, żeby pogadać o tym, czego się dowiedzieliśmy. Tym razem nie siedzieliśmy w jego pokoju. Zostaliśmy w

ogromnym salonie z panoramicznym oknem zajmującym prawie całą jedną ścianę. Co prawda widok nie jest tu za ciekawy, bo po prostu widać las. Ale i tak fajnie to wygląda.

– To co zrobimy? – spytał Max, kiedy już usiedliśmy w fotelach.

– Trzeba się czegoś dowiedzieć o Instytucie – stwierdził Aki.

– Tylko jak? – spytałam. – Ivette dostała się tam pewnie do sieci danych, ale ją wykryli.

– Trzeba znaleźć inną drogę – mruknął Aki i zaczął przygryzać wargę.

Jak tak na niego patrzę, to mówię wam, prawie widzę takie maleńkie trybiki kręcące się wewnątrz jego głowy... Mogę się założyć, że planuje jakiś wybuch albo chociaż coś tak prostego jak zwykłe podpalenie.

– Moglibyśmy spowodować jakiś wypadek – zaczął Aki. – Może tak podłożymy jakieś substancje wybuchowe. Mógłbym skombinować trochę plastiku. Gorzej będzie z zapalnikami, ale to też da się zrobić.

Jezu, to naprawdę terrorysta! Spojrzałam szybko na Maksa, ale on wyglądał tak, jakby wywód Akiego nie zrobił na nim żadnego wrażenia. No, tak... przecież znają się od dziecka.

Ale mimo wszystko nie mogę uwierzyć w to, że Aki byłby w stanie zrobić bombę!

– Chyba żartujesz?! – wykrzyknęłam.

– Nie, dlaczego? – szczerze się zdziwił. – To jest nawet bardzo proste.

– Przecież to zbrodnia!

– Nie większa niż włamanie – odpowiedział z niezmaconym spokojem. – Najgorzej, że nie wiemy, gdzie są te najważniejsze dokumenty. Moglibyśmy je przez przypadek wysadzić.

On jest psychiczny! Nikt mi nie wmówi, że jest inaczej!

Najgorsze jest to, że on pewnie naprawdę by to zrobił. W końcu za wszelką (dosłownie!) cenę chce się dowiedzieć, dlaczego jest wilkiem. Co miałam innego zrobić? Powiedziałam to, o czym pomyślałam. Chociaż często zdarza mi się mówić bez zastanowienia...

– Według mnie bezpieczniejsze byłoby normalne włamanie. I to mówię ja, wzorowa uczennica, zawsze najwyższe oceny na świadectwie. Do czego to doszło, jak rany! Jak tak dalej pójdzie, to pewnie za rok będę zarobkowo obrabiać sklepy i banki? Matko...

To całe Wolftown (parszywa, zapadła dziura) ma na mnie wyraźnie zły wpływ.

– Tylko musimy dokładnie przemyśleć, jak się tam dostaniemy – natychmiast podchwycił mój pomysł Aki.

– Yhy – zgodziłam się niechętnie.

– Zaraz, zaraz – przerwał nam Max. – Ja jednak sądzę, że to głupi pomysł. Mogą nas złapać i tylko pogorszymy sprawę, bo narobimy sobie kłopotów.

– Ale jeśli dobrze się przygotujemy i przez jakiś czas będziemy ich obserwować, wszystko powinno się udać – powiedział Aki. – Musimy się przecież dowiedzieć prawdy!

– No tak, ale... – zaczął Max.

– Przecież to jest ważne, Max! – krzyknął Aki. – Nie chcesz wiedzieć, co się za tym wszystkim kryje?!

– Włamanie do miejscowego szpitala to jedno, a do prywatnej firmy, która na pewno jest nieźle strzeżona, to drugie. Możemy wpaść w poważne kłopoty – powiedział. – Pamiętasz tamten posterunek policji w Lorat? Ledwo uciekliśmy.

Posterunek? Jaki posterunek? O co tu chodzi? Lorat to miasteczko leżące najbliżej Wolftown. Byłam tam z Ivette na koncercie The Calling, ale to wydarzyło się tak dawno... W zupełnie innej epoce.

– To możesz nie iść – rzucił wściekły Aki. – Ale chociaż nie przeszkadzaj.

– Przecież wiesz, że i tak pójde – mruknął Max i uśmiechnął się.

– Wiem, dlatego jesteśmy kumplami – odpowiedział Aki i też się uśmiechnął.

– No dobra, ale ona nigdzie nie pójdzie! – powiedział kategorycznie Max, patrząc na Akiego i wskazując mnie palcem.

– Dlaczego? Też chcę iść – zaprotestowałam.

– Nie będziemy cię narażać. I tak już prawdopodobnie jesteś w niebezpieczeństwie. Zostaniesz w domu. Poza tym nie masz pojęcia, jak to jest włamywać się do czegoś takiego.

– No wiesz! Oczywiście, że z wami pójde. Poza tym skąd ty możesz wiedzieć, jak włamuje się do czegoś takiego?!

No, bo chyba tego nie wie, no nie? Prawda???

– Nie, nie pójdziesz! Nie zgadzam się!

– Też coś! Ivette jest moją przyjaciółką i też chcę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi! Poza tym skoro jestem w niebezpieczeństwie, to i tak nie mogę już sobie bardziej zaszkodzić – powiedziałam jednym tchem.

Tak, wiem, nie grzeszę inteligencją. Powinam się cieszyć, że pozwalają mi zostać w domu. Ale wkurzyłam się na nich obu o to, że usiłują się mnie pozbyć. Poza tym nie wytrzymałabym, siedząc beczynn timer i mając świadomość, że oni się narażają. A gdyby Maksowi coś się stało? No dobra, zwykle to ja go pakuję w kłopoty, ale przynajmniej nie byłby wtedy sam.

Miałby mnie.

Po mniej więcej godzinnej kłótni (odkryłam, że Max jak chce, to potrafi całkiem głośno krzyczeć – zwykle mówi coś pod nosem, tak że trudno go zrozumieć, więc to była całkiem miła odmiana), wreszcie pozwolił mi ze sobą

iść. Ale wiedział też, że poszłabym nawet bez jego zgody. Wolałby zatem mieć mnie na oku, tak na wszelki wypadek. Miło z jego strony, bo na pewno się w coś wpakuję.

– Może za tydzień w nocy zrobimy zebranie nadzwyczajne? – spytał Akiego, kiedy wreszcie przestałam się z nimi kłócić.

– Dobry pomysł. Zadzwoń do innych – odparł Aki.

– Mogę przyjść? – spytałam cicho.

W odpowiedzi Max rzucił mi mordercze spojrzenie, jeszcze był na mnie zły. Jednak nie zwróciłam na niego uwagi i swoje pytanie skierowałam tym razem do Akiego:

– Mogę przyjść?

– No dobra... – mruknął niechętnie.

Bardzo dobrze, że się zgodził. Chcę wiedzieć o wszystkim, na bieżąco!

– A o co chodzi z tym posterunkiem? – spytałam.

– Stare dzieje – mruknął Max. – Wierz mi, wolałabyś nie wiedzieć.

No i się nie dowiedziałam.

Te nieprzespane noce sprawią kiedyś, że padnę na twarz bez życia. Wiercie mi. Czemu wilki muszą urządzać te swoje zebrania po północy?! Nie mogliby trochę wcześniej?

Właściwie to nic ciekawego się na tym zebraniu nie działo. Po prostu wszyscy się przeczucali pomysłami, jak dostać się do Instytutu. W końcu w drodze losowania wyłoniono pięć osób, które wezmą udział w akcji: mnie, Maksa, Akiego, Marka i tę dziewczynę, co się poprzednio kłóciła z Akim. Nie pamiętam, jak ma na imię...

Wszyscy chcieli oczywiście iść tam od razu następnego dnia, ale Max ich przygasił.

– Proponuję, żebyśmy najpierw rozeznali się w sytuacji – powiedział.

– Co masz na myśli? – spytała jakaś dziewczyna.

– Najpierw powinniśmy poobserwować trochę Instytut. Dowiedzieć się, o której godzinie go zamykają i czy na przykład w ogóle pracują w niedzielę – wyjaśnił. – Ty mogłabyś zapytać swoją mamę. W końcu tam pracuje.

– Eee, jasne, spróbuję – powiedziałam.

Fajnie, teraz wszyscy patrzą na mnie wrogo, jakbym też była zamieszana w cały ten spisek. Dzięki za reklamę, Max.

Ale to rzeczywiście dobry pomysł. Moja mama na pewno będzie coś wiedziała. Muszę ją podpytać o różne sprawy.

Tylko jak to zrobić? Przecież nie pytam: „Hej, mamo. Czy w twoim Instytucie robicie jakieś nielegalne eksperymenty na ludziach?”. Paranoja.

W każdym razie ten pomysł podchwycili też inni. Poza tym postanowili, że ustalą nocne zmiany i każdego wieczoru w parach będą obserwować Instytut.

Też chciałam w tym uczestniczyć, ale się nie zgodzili, bo nie jestem wilkiem i robię za dużo hałasu.

To nieprawda! Wcale nie robię dużo hałasu! Chociaż wtedy w lesie z Jaguarem i potem z Maksem, i dzisiaj... No dobra, robię dużo hałasu. Ale nadal uważam, że to niesprawiedliwe.

I właśnie tak, w wielkim skrócie, wyglądało to zebranie.

Nigdy się nie przyzwyczaję do tego, jak oni zamieniają się w wilki. To niesamowite! Oczywiście Max nie chciał się przy mnie zamienić. A szkoda...

Hej! Mówię to tylko z przyczyn... hm... naukowych. Tak! Naukowych!

Gdy w końcu, po całych godzinach ustaleń i moim przysypianiu na ramieniu Maksa, dotarliśmy do furki, Max powiedział:

– Tylko uważaj, jak będziesz przepytawać swoją mamę. Nie wiadomo, w co jest zamieszana.

– Moja mama? Ona na pewno nie jest w nic zamieszana – odparłam. – Przecież ją znam.

– Tak, ale uważaj – mruknął.

– No dobrze – odpowiedziałam i zamyśliłam się.

A jeśli Max ma rację? Może mama naprawdę jest w coś zamieszana. Nie... Przecież by nie zrobiła niczego, co byłoby wbrew jej etyce zawodowej.

Następnego dnia miała być niedziela, mama miała dzień wolny, nie szła do pracy. Doskonały moment, żeby ją trochę podpytać.

Przy śniadaniu zaczęłyśmy rozmawiać o tym, że trzeba będzie posadzić nowe róże, bo stare prawie całkowicie zniszczyłam. Wtedy postanowiłam przystąpić do ataku:

– Mamo, co wy w zasadzie robicie w tym Instytucie?

– Nic ciekawego – mama uśmiechnęła się i machnęła ręką.

– No tak, ale co?

– Hm, odkąd to interesujesz się tak moją pracą? – spytała zdziwiona.

– Może napiszę o pracy Instytutu referat na biologię – odpowiedziałam.

Sprytne, no nie? Wczoraj to wymyśliłam. Mam zamiar jeszcze się dowiedzieć, czyby mnie tam nie wpuścili, oczywiście razem z mamą, żebym przyjrzała się wszystkiemu dokładniej.

– Naprawdę? To bardzo ciekawe. Z chęcią ci wszystko opowiem – powiedziała szeroko uśmiechnięta.

Pewnie się cieszy na myśl o tym, że może kiedyś pójdę w jej ślady i zostanę mikrobiologiem. Taak, jasne. A tata chce, żebym była psychoanalitykiem. Przykro mi, ale raczej się nie rozdwoję. Zresztą i tak nie pociąga mnie ani jeden zawód, ani drugi. Bo jeśli od dziecka człowiek musi słuchać o tym, jakie coś jest ciekawe, to mu to powoli brzydnie.

– Co zatem chciałabyś wiedzieć? – spytała.

– Najlepiej wszystko... Nad czym teraz pracujecie? Mówiąc to, wzięłam

kartkę papieru i długopis, żeby wszystko zapisać. Wiecie, nie jestem zbyt dobra w zapamiętywaniu.

– Obecnie nad nowymi lekarstwami, tworzonymi tylko z bezpiecznych dla człowieka substancji, przeważnie roślinnych.

– Aha. Więc po co jesteś im potrzebna? – spytałam. – Przecież jesteś mikrobiologiem i powinnaś zajmować się bakteriami i wirusami, a nie roślinami.

– No tak, ale poza tym tworzymy różne szczepionki. Do tego potrzebny jest ktoś, kto tak jak ja zna się na różnych rodzajach mikroorganizmów.

– A, no to rozumiem... – mruknęłam i szybko zanotowałam to w pamięci.

Rozmawiałyśmy jeszcze przez godzinę, ale niczego ciekawego z niej nie wyciągnęłam. Muszę jakoś ją podejść i dostać się do Instytutu.

– Jak sądzisz, mogłabyś mnie przemycić do środka? – spytałam. – Chciałabym zobaczyć, jak to wszystko wygląda twoimi oczami.

– Hm, sama nie wiem – mruknęła. – Raczej nie wolno nam nikogo przyprowadzać. Rozumiesz, badania są ściśle tajne, w końcu współzawodniczymy z innymi koncernami medycznymi.

– Przecież ja nikomu nic nie powiem – powiedziałam.

– No dobrze – mama w końcu się złamała. – Muszę wpaść tam dzisiaj po pewne dokumenty, więc mogę cię zabrać ze sobą. Ale to wszystko będzie trwało tylko chwilę. Raczej nie zobaczysz dużo.

– To nic – stwierdziłam.

– Potem możemy iść na pizzę do jakiejś knajpy. Tata nie będzie dzisiaj jadł z nami, bo pojechał na kolejny wykład. No, chyba że jedzenie z mamą to obciach – dodała i uśmiechnęła się.

Niesamowite, moja mama powiedziała „obciach”. Ale numer...

– Bardzo chętnie – zgodziłam się.

Po paru minutach już siedziałyśmy w samochodzie i jechałyśmy do Instytutu. Strażnik przy bramie wjazdowej sprawdził dokumenty mamy i dopiero wtedy nas wpuścił. Naprawdę dbają tu o swoje tajemnice. A niech to...

W holu całkowicie pomalowanym na biało (wyglądało to okropnie i strasznie przypominało mi szpital) było mało osób. Ale w końcu dzisiaj niedziela. Pewnie wielu pracowników, tak jak mama, miało wolne.

Zaczęłam się z zaciekawieniem rozglądać. Na końcu pomieszczenia znajdowała się winda, a poza tym odchodziły stąd trzy korytarze. Chciałam wszystko zapamiętać, żeby potem narysować mapkę z pamięci. Mogłaby się potem do czegoś przydać.

Kątem oka zauważyłam, że mama wyciąga z kieszeni pęk kluczy. Hm, interesująca wiadomość.

Ponieważ ruszyła szybko jednym z korytarzy, pobiegłam za nią. Starłam się zapamiętać wszystkie zakręty i korytarze odchodzące od niego, ale wkrótce

się pogubiłam. Po obu stronach ciągnął się nieprzerwany szpaler drzwi. W końcu nie wytrzymałam i spytałam:

– Co jest za tymi wszystkimi drzwiami?

– A, to zależy. Tu są raczej gabinety pracowników, ale w drugim skrzydle są jeszcze archiwa i laboratoria – powiedziała, podchodząc do jakichś drzwi i otwierając je kluczem. – To mój gabinet – dodała.

– A do czego są te inne klucze? – spytałam.

– Do laboratoriów – odpowiedziała i wyciągnęła z jednej z szuflad biurka czarną teczkę. – No, możemy już iść.

Gdy wyszłyśmy na zewnątrz, dokładnie przyjrzałam się drzwiom wejściowym. Nie były specjalnie zabezpieczone.

– No i jak? – spytała mama, wsiadając do samochodu.

– Robi przytłaczające wrażenie, poza tym przypomina mi szpital – stwierdziłam.

– Masz rację! – zaśmiała się. – A teraz jedziemy do knajpy i porozmawiamy o tym twoim Maksie. Chciałabym się czegoś o nim dowiedzieć.

O nie!!! Zaraz zacznie się przesłuchanie! Pytania w rodzaju: jaki on jest? Czy już się całowaliście? A kim chce zostać w przyszłości?... Koszmar z ulicy Wiązów, tylko może mniej krwawy. Chociaż w zasadzie to nie wiadomo.

W poniedziałek opowiedziałam Maksowi, czego się dowiedziałam, i dodałam, że byłam w środku. Powiedział, że to było z mojej strony niemądre. Ale przecież się tam nie włamałam, weszłam w biały dzień i to z mamą. Poza tym powiedziałam mu o kluczach. Bardzo się tym zainteresował i stwierdził, że musimy je dorobić. Mam je pożyczyć kogoś dnia. Mogą nam się w końcu do czegoś przydać. Kto wie, może otworzą przed nami jakieś ważne drzwi?

## 17.

W końcu, tydzień później, odbyło się długo wyczekiwane uroczyste zakończenie roku.

No proszę, jednak mam czwórkę z historii. Kto by podejrzewał? Na pewno nie ja. Poza tym kilka dni temu miały miejsce te zawody, do których przygotowywała mnie Pijawka. Rzecz jasna, dostałam w rezultacie szczegółowy wykaz ćwiczeń na całe wakacje. Bo za rok muszę już wygrać. Ta kobieta jest chora...

Wreszcie zaczęły się wakacje. Ale ja chyba nigdzie nie wyjadę, poza tym teraz możemy już rozpocząć realizację naszego planu.

Na kolejnym nocnym spotkaniu ponownie ustaliliśmy, że do Instytutu pójdę ja, Max, Aki, Mark (podobno umie się całkiem nieźle skradać, ciekawe...) i Adrienne (wreszcie pamiętam jej imię). Nie chcieliśmy zabierać ze sobą więcej osób. Zwrócilibyśmy tylko na siebie uwagę.

Umówiliśmy się w niedzielę o jedenastej w nocy przy jeziorze. Stamtąd mieliśmy pojechać motocyklami. Po mnie wpadnie Max i razem pojedziemy na miejsce zbiórki. No tak, w życiu bym sama nie trafiła nad jezioro.

Było już ciemno, kiedy zesłam po pergoli na dół (tata na szczęście zdążył ją naprawić). Przyznam szczerze, jestem tchórzem. Tak na wszelki wypadek zostawiłam na swoim łóżku, na poduszce, kartkę do rodziców, na której napisałam, gdzie jestem. Jakbym nie wróciła do rana, to powinni się zorientować, gdzie mnie szukać i mi pomóc.

Taaak...

Max już na mnie czekał przy furtce. Razem, w całkowitej ciszy, ruszyliśmy przez las. To niesamowite, jak on potrafi cicho chodzić. Nie mogę się do tego przyzwyczaić. Kurczę, ja rzeczywiście strasznie hałasuję.

Gdy dotarliśmy nad jezioro, inni już tam byli. Max musiał wcześniej podprowadzić tam swój motocykl, bo stał oparty o drzewo.

– No dobra – powiedział Aki. – Jedziemy teraz szosą, ale jak dam znak, wyłączamy silniki i jedziemy siłą rozpędu. Nikt nie może nas usłyszeć. Potem ukryjemy motory w lesie i resztę drogi przejdziemy pieszo. Jasne?

– Jasne – rozległ się chór przyciszonych głosów. Wsiadłam za Maksymem na siodelko i ruszyliśmy w ciemność. Chłopcy nie włączyli świateł, więc nie zabiliśmy się tylko dzięki ich wyczuciu. Bo wilki dobrze widzą w ciemności. Mieli niesamowity instynkt. Podczas jazdy leśną ścieżką (znowu jakiś ich skrót) wymijali drzewa tak, jakby je dokładnie widzieli. Ja tam nic nie widziałam, zwłaszcza w kasku z przyciemnianą szybą, więc nie wtrącałam się nawet.

W pewnym momencie wszyscy wyłączyli silniki i siłą rozpędu przejechaliśmy resztę drogi. Chłopcy ukryli motory w lesie, a potem

podeszliśmy za ścianą drzew do strażnicy.

Cały teren był ogrodzony, a szczyt parkanu wieńczył dodatkowo drut kolczasty. Poza tym metalowe sztachety były pod napięciem, tak przynajmniej głosił napis na tabliczce wiszącej na ogrodzeniu, a my nie mieliśmy ochoty przekonywać się, czy to prawda. Próby przejścia przez parkan więc odpadały. Musieliśmy przedostać się do środka przez strzeżoną bramę. Tylko że najpierw trzeba było pozbyć się strażnika...

Już wcześniej wymyśliliśmy, że go uśpimy. Ojciec Adrienne jest lekarzem, więc pożyczylimy od niego trochę eteru. To taki środek do odkażania. Jeśli nasączy się nim szmatkę i przyłoży komuś do twarzy, żeby to wdychał, to ta osoba usypia jak niemowlę. Tyle razy widzieliśmy takie sceny na filmach. Może nasz pomysł nie był więc specjalnie odkrywczy, ale chyba skuteczny.

Ja miałam odwrócić uwagę strażnika (dlaczego ja?!), a chłopcy mieli go zaatakować od tyłu i unieszkodliwić.

Niby wydaje się to łatwe, ale jak można odwrócić uwagę i wywabić ze strażnicy ponad stukilowego strażnika? Ha, tu dopiero zaczynają się schody. I to wysokie, nawet bardzo. Jak ja mam go stamtąd wyciągnąć, do diaska?

Zaraz! Wiem! Może udam, że się zgubiłam? To mi się często zdarza, więc mam już wprawę w proszeniu o pomoc. Taak, to jest całkiem niezły pomysł.

Szybko powiedziałam o nim Maksowi.

– A jak mi się nie uda? – spytałam na zakończenie i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Na pewno dasz sobie radę – mruknął i pokrzepiająco poklepał mnie po ręce.

– Ale jak ja mam to zrobić? – spytałam jeszcze raz, bo w głowie, muszę przyznać, miałam kompletną pustkę.

Napady na ludzi wpędzają mnie w straszną depresję...

– Wymyśl coś – stwierdził Aki i wypchnął mnie z krzaków. Na pewno coś spapram. Czuję to. Czy wspominałam już, że podczas publicznych występów mam okropną treść? Nie? Bo właśnie to sobie przypominałam...

Wyszłam z lasu dokładnie naprzeciwko strażnicy i udając wielką ulgę (to znaczy teatralnie westchnęłam, rozłożyłam ręce i przywołałam na twarz najniewinniejszy uśmiech, na jaki było mnie stać w tym momencie), przeszłam przez szosę.

– Nareszcie! – krzyknęłam, podchodząc do budki i patrząc na zdziwionego strażnika. – Jak się cieszę, że pana widzę!

– Eee, o co chodzi? – spytał, a minę miał taką... niezbyt mądrą. Super, trafiłam na ciołka... może dzięki temu będzie łatwiej? Kurczę, czuję przyływ pozytywnej energii!

– Uwierz pan? Byłam z przyjaciółmi na przyjęciu nad jeziorem i

zgubiłam się w lesie. Błąkam się już od trzech godzin – powiedziałam i znowu westchnęłam teatralnie (hm, wychodzi mi to chyba coraz lepiej). – Pomoże mi pan?

– Eee, w czym?

No tak. Byłam na przyjęciu, a ubrana jestem od stóp do głów na czarno: w czarny golf (ochrona na łokcie, tym razem o to zadbałam – jeszcze mam ślady po tamtym), czarne spodnie (ochrona na kolana) i czarne skórzane rękawiczki (ochrona dla moich rąk, no i żeby nie zostawić odcisków palców). Miałam przy sobie jeszcze kominiarkę, ale trzymałam ją schowaną w kieszeni.

Najbardziej niesamowite było to, że pomimo mojego stroju ten facet mi uwierzył. Tak, kompletna tępota umysłowa powinna być zakazana...

– Zgubiłam się, pomoże mi pan znaleźć drogę powrotną do miasteczka? – wyjaśniłam i uśmiechnęłam się szeroko.

– Eee, do miasteczka? – spytał powoli.

Jakby tu było tyle miasteczek, że niby nie wie, o które chodzi? Matko!...

– Tak, do miasteczka – odpowiedziałam spokojnie.

– Eee, może zadzwonię do twoich rodziców, żeby tu przyjechali. Mogłabyś tu poczekać – powiedział, sięgając po telefon.

– Nie! – zaprotestowałam szybko (choroba, chyba za szybko). – Widzi pan, bo ja poszłam na to przyjęcie bez ich zgody i na pewno bardzo się zdenerwują. Lepiej do nich nie dzwonić. Proszę tylko, żeby mi pan wskazał drogę – dodałam spokojnie.

– Eee, to idź w tamtą stronę – powiedział, pokazując mi kciukiem na drogę do miasta.

Kurczę, jak go wywabić ze strażnicy? Czyżby aż tak bardzo nie chciało mu się wstać z tego stołka, do którego najwyraźniej przyrósł? Czy ja tak wiele wymagam? To jest jeszcze trudniejsze, niż podejrzewałam...

Co by tu zrobić, co by tu zrobić?!

Wiem!!! Jestem genialna!

– AAAA!!! – wrzasnęłam przeraźliwie i podskoczyłam. – Waż! Niech mi pan pomoże!!! Zaraz mnie ugryzie!!!

– Eee, odsuń się od niego – powiedział i pochylił się do przodu, usiłując coś wypatrzeć przez małą szybkę stróżówki.

– A jak mnie ugryzie?! Niech pan wyjdzie i mi pomoże! – odkrzyknęłam i wpatrzyłam się w kamień pod moimi stopami.

No i wreszcie pełen dobrych chęci strażnik wytoczył się ze środka, chcąc mi pomóc. Samo podniesienie się z krzesła zabrało mu parę minut – w tym czasie, gdyby tu był prawdziwy jadowity wąż, pewnie już dawno leżałabym martwa.

Ale serio, dałam sobie radę. Chyba minęłam się z powołaniem, powinnam zostać aktorką, no nie? Jestem z siebie dumna, Max się na mnie nie zawiódł.

Obaj z Akim już na niego czekali. Potem podkradli się od tyłu i skoczyli mu na plecy, przykładając nasączoną szmatkę do twarzy. Niepozorny grubas nieźle się bronił. Tak przywalił Akiemu w żołądek, że aż biedny chłopak zwinął się z bólu i chwilę leżał na ziemi, nie mogąc złapać tchu. Uderzył też Maksa, ale on się nie poddawał, cały czas starając się znajdować za plecami strażnika, tak żeby ten nie mógł go dosięgnąć.

Na szczęście eter zaczął działać i strażnik upadł na ziemię. W tym czasie narobił strasznie dużo hałasu. Mam nadzieję, że nikt go nie usłyszał, bo wtedy mielibyśmy kłopoty. I to bardzo duże...

Szybko związaliśmy go i zatoczyliśmy do stróżówki. To dopiero było trudne!

Marka zostawiliśmy w lesie na czatach. Gdyby działo się coś złego, na przykład nagle ktoś wezwałby policję albo jakimś cudem strażnik się obudził, chociaż nie powinien, bo dostał końską dawkę tego świństwa, Mark miał zawyć, żeby nas ostrzec, albo sam rozwiązać problem.

Następnie przekradliśmy się pod bramą i w cieniu drzew ruszyliśmy w stronę wejścia. Tu z kolei zostawiliśmy Adrienne. Też miała zawyć, żeby nas ostrzec.

– Jadowity wąż? – spytał Max i uśmiechnął się (to znaczy, podejrzewam, że się uśmiechnął, bo miał już na twarzy kominiarkę).

– No, co? Musiałam coś wymyślić – odpowiedziałam, ale też się uśmiechnęłam.

– Tu nie ma jadowitych węży – mruknął i zaśmiał się po cichu. – Tu w ogóle nie ma żadnych węży.

– Ale on o tym nie wiedział – odparłam i stłumiłam śmiech, bo zbliżaliśmy się do budynku.

To dziwne, drzwi wejściowe były otwarte. A byliśmy nawet przygotowani na to, żeby się włamać. Dokładnie opisałam Maksowi zamek – zwykła zasuwka, więc wziął ze sobą wytrych.

Ciekawe, skąd go wziął i gdzie nauczył się otwierać w ten sposób zamki? Gdy cała ta historia wreszcie się skończy, to muszę go o to spytać. Kim on był, zanim go poznałam?! I o co chodziło z tamtym posterunkiem? Czyżby już wcześniej gdzieś się włamywał?!

A teraz okazuje się, że te drzwi są otwarte! Jakby tylko na nas czekały... No, ale cóż. Nie mieliśmy czasu na zastanawianie się nad tym, po prostu weszliśmy do środka.

Po cichu zaczęliśmy się rozglądać. Recepcja była całkowicie pusta i cicha. Zdjęłam ze ściany oprawiony w antyramę plan przeciwpożarowy tego piętra, wyjęłam go i włożyłam do kieszeni. Może nam się przydać, gdybyśmy się zgubili. Ten budynek to prawdziwy labirynt. Mimo że byłam tu już raz, za nic nie zdołałabym odtworzyć planu korytarzy.

W holu nie było nic ciekawego, więc skierowaliśmy się w pierwszy z brzegu korytarz. Większość drzwi była zamknięta, a klucze, które mieliśmy, do nich nie pasowały. Ale nie poddawaliśmy się.

To Aki sprawdzał zamki. Co chwila słychać było cichutkie brzęczenie kluczy, następnie stłumione przekleństwo, a jeszcze później odgłos szczękania wytrychów.

Doszliśmy już do końca korytarza i zostały nam ostatnie drzwi. Mieliśmy z Maksymem zawrócić, gdy powstrzymał nas szczęk zamka i pełne zdumienia słowa Akiego:

– Choroba, otworzyło się!

Dla nas to też było kompletne zaskoczenie.

Po przejściu całego korytarza w końcu weszliśmy do jakiegoś pokoju! Jego wnętrze trochę nas zadziwiło. Cały był zastawiony szafkami na akta.

– To pewnie archiwum – szepnęłam i szybko otworzyłam pierwszą z nich.

Moim śladem podążyli chłopcy i też zaczęli przeglądać dokumenty.

– Tu nic nie ma – usłyszałam zrezygnowany szept Akiego. – To są akta wszystkich pracowników, włącznie ze sprzątaczkami. Na nic się nam nie przydadzą.

Jednak ten szept tylko podsycił moją ciekawość. Pomimo że chłopcy już zamykali swoje szafki, ja szybko zaczęłam przeglądać szuflady w poszukiwaniu teczki mojej mamy. Muszę się dowiedzieć, czy ona jest w coś zamieszana!

– Chodźmy już, tu nic nie ma – mruknął Max i niecierpliwie spojrzął na zegarek.

Nie dziwię mu się, też byłam okropnie zdenerwowana. Nawet chciałam już zrezygnować, ale wreszcie znalazłam to, czego szukałam.

– Chwileczkę, chcę coś sprawdzić. Zaczęłam szybko czytać. Nagle zamarłam.

– Posłuchajcie – szepnęłam i przeczytałam im fragmenty tekstu: – „Barbara Cook otrzymała od nas eksperymentalny środek C58. Powiedzieliśmy jej, że jest to nowa mieszanka witamin. Uważamy, że nie powinna być wtajemniczana w prawdziwe prace Instytutu. Otrzymany środek miała podawać swojej córce. Jak się potem dowiedzieliśmy, córka, Margo Cook (lat 16), narzekała na dziwne sny, koszmary. Oznacza to, że C58 działa. Z chwilą zaprzestania podawania środka C58 wszelkie wizje zniknęły. Jak na razie efektów ubocznych nie zaobserwowano...”.

– Przez cały czas mnie czymś truli. To dlatego miałam te sny! – szepnęłam, wkładając teczkę na miejsce.

Kamień spadł mi z serca. Mama podawała mi je nieświadomie, czyli nie jest w nic zamieszana. Jednak myśl, że byłam królikiem doświadczalnym w jakimś eksperymencie, bardzo mnie przytłoczyła.

No i co to, do diaska, znaczy: „Jak na razie efektów ubocznych nie

zaobserwowano”? Jak to „na razie”? To jeszcze coś mi się może stać?! Poza tym, to może byliby łaskawi napisać, jakie efekty uboczne!!!

Już mieliśmy wyjść i zacząć przeszukiwać następne pomieszczenia, gdy w korytarzu rozległy się kroki, a pogrążony w ciemności budynek rozblysnął światłem...

– A niech to licho!!! – usłyszałam szept Akiego. Chłopak szybko wyciągnął z kieszeni scyzoryk (hej, nikt mnie nie uprzedził, że będziemy zabierać jakąś broń!!!) i podszedł do okna.

Przerażeni wpatrywaliśmy się w szparę pod drzwiami, za którą ukazał się nagle czyjś cień. Ze strachu nie mogłam się nawet ruszyć. Czułam się, jakby czas stanął i zamarł w tej okropnej chwili oczekiwania. Cienie zbliżały się.

Aki szybko skoczył w stronę okna, szukając drogi ucieczki, ale okazało się, że jest zakratowane. Nie było stąd innego wyjścia...

Drzwi nagle się otworzyły i do środka weszło trzech tępo wyglądających, uzbrojonych strażników i dwóch mężczyzn w białych kitlach, wyglądających na naukowców. Zauważyłam kątem oka, że Aki wsunął scyzoryk do rękawa. To był ledwo widoczny ruch, ale mimo to go zauważyłam. No cóż, nie wiem, co zamierza zrobić, ale mam nadzieję, że nic głupiego...

– Nie ruszajcie się, nie próbujcie uciekać i nie przemieniajcie się, a nie stanie się wam nic złego – powiedział jeden z naukowców. Był zupełnie łysy.

Spojrzeliliśmy na niego zdziwieni. Skąd o nas wiedzą?! Poza tym mamy na sobie maski!!! Nie powinni wiedzieć, kim jesteśmy!!!

– Tak. Wiemy, że umiecie zamieniać się w wilki. Oczywiście poza tobą, Margo – powiedział tym razem drugi mężczyzna, ten grubszy. Spojrzałam na niego zdziwiona. Znał moje imię. Rozpoznał mnie! Jak, do diaska? Przecież mam na sobie kominiarkę!

Chwilę później dowiedziałam się jak, bo jeden ze strażników rzucił zdawkową uwagę:

– Kamery są nawet w stróżówce! – Głos miał prawie gniewny, najwyraźniej mieli nam za złe to, co zrobiliśmy z ich kumplem.

– Zdejmijcie maski, miejmy już te przebieranki za sobą – wtrącił się znowu łysy. – I tak wiemy, kim jesteście.

Nie zareagowaliśmy, więc kiwnął głową w stronę jednego ze strażników, na co tamten odbezpieczył głośno rewolwer.

– No, dalej. Zdejmujcie maski – ponaglił mnie.

Nie wiem, jak inni, ale ja bardzo szybko ściągnęłam swoją. Widok pistoletu i to na dodatek odbezpieczonego, podziałał na mnie bardzo źle. Stałam jak sparaliżowana, gniotąc w rękach nieszczęsną kominiarkę.

– Jeśli pójdziecie teraz grzecznie z nami, to nie stanie się wam żadna krzywda – powiedział gruby.

– Bo uwierzę – prychnął Aki, a następnie gwałtownym ruchem odepchnął niczego niespodziewającego się strażnika i wybiegł na korytarz.

W tym samym momencie do mnie i do Maksa drugi strażnik celował z pistoletu, więc się nie ruszyliśmy.

Natomiast za Akim pobiegł trzeci strażnik. Kroki biegnącego chłopaka bardzo szybko się oddalały. Jest nadzieja, że może zdoła uciec. Proszę, niech ucieknie i wezwie pomoc! Niech wezwie pomoc!!!

Po chwili usłyszeliśmy jednak odgłosy walki. Strażnik głośno krzyknął, po paru sekundach usłyszeliśmy gwałtowny skowyt Akiego. Strażnik musiał go dopaść. Oby tylko nie stało mu się nic złego.

– Nie zabiliśmy go, spokojnie – powiedział gruby, widząc nasze przerażone spojrzenia. – Ale nie jest powiedziane, że tego nie zrobimy, jeśli nie będziecie z nami współpracować.

To jacyś wariaci! Kurczę, w co my się wpakowaliśmy?! Czułam, jak ręce pocą mi się ze zdenerwowania pod skórzanymi rękawiczkami, ale zdusiłam w sobie chęć zdjęcia ich. Zbliżyłam się do Maksa. Wołałam teraz być blisko niego. Czerpałam z tego podświadomie jakąś siłę, chociaż raczej niewiele mi ona pomogła w tym momencie.

Max wziął mnie za rękę. Widocznie też chciał być blisko mnie, albo może zauważył, że cała się trzęsę.

Trzymając ciągle na muszce, strażnicy zaprowadzili nas do windy znajdującej się na końcu korytarza. Wsiedliśmy do niej w milczeniu, Max cały czas ścisnął moją dłoń. No i bardzo dobrze, bo byłam bliska rozplakania się ze strachu.

Ten łysy w białym kitlu przytrzymał drzwi, żeby strażnik niosący nieprzytomnego Akiego też mógł wejść. Wyglądało na to, że był tylko ogłuszony, ale i tak porządnie się przestraszyłam.

Winda zjechała parę pięter w dół. To dlatego budynek tak niepozornie wygląda z zewnątrz – większa jego część znajduje się pod ziemią. Rany! Człowiek jest śmiertelnie przerażony i nagle zaczyna się zastanawiać nad architekturą jakiegoś budynku... koszmar.

Gdy winda wreszcie stanęła, skierowano nas jasno oświetlonym, tym razem zielonym, korytarzem do małego pokoju. Nie było w nim okien, jedynie wysoko, pod sufitem palił się rząd jarzeniówek, oświetlając ponure, zielone kafelki, którymi pokryto ściany, i o ton ciemniejszą terakotę na podłodze. Poza trzema szpitalnymi łóżkami nie było tu żadnych mebli.

Jeden ze strażników podszedł do mnie i pociągnął za ramię, jednocześnie oddzielając od Maksa. Spojrzałam na niego przerażona, a on lekko się uśmiechnął, próbując mnie przekonać, że wszystko będzie dobrze. Ale to nie był przekonujący uśmiech. Max bał się tak samo jak ja.

Przykuto mnie kajdankami do jednego z twardych łóżek. Natomiast Maksowi i nieprzytomnemu Akiemu założono na szyje metalowe obroże, połączone metrowymi łańcuchami z metalowymi ramami pozostałych dwóch łóżek.

– Nie radzę się przemieniać – powiedział łysy, patrząc na Maksa. – Jako wilki macie grubsze karki, więc albo od razu się udusicie, albo trwale uszkodzicie sobie kręgosłupy. To może się dla was źle skończyć. Zresztą i tak sami się stąd nie wydostaniecie.

– Co chcecie z nami zrobić?! – spytałam.

No proszę, wykrzesalam z siebie przynajmniej tyle odwagi, żeby coś powiedzieć, chociaż bardzo wiele mnie to kosztowało, bo nadal miałam ochotę się rozpłakać.

– Jeszcze musimy to przemyśleć. No, pewnie zastanawiacie się, jak to się stało, że was odkryliśmy? Nie przewidzieliście, że w budynku mogą być kamery i czujniki na podczerwień.

No tak. Rzeczywiście o wszystkim pomyśleliśmy, ale o tym nie. A niech to! Powinniśmy byli na to wpaść.

Gdy tylko wyszli i zostawili nas samych, powiedziałam do Maksa:

– Zostawiłam rodzicom kartkę, na której napisałam, gdzie poszliśmy. Jak nie wrócę, to na pewno ją znajdą i po nas przyjdą. Może wezwą policję.

– A jeśli twoja mama jest z nimi w zмовie? – mruknął Max, oglądając łańcuch.

– Nie, na pewno nie. Przecież czytałam wam, że dawała mi to coś nieświadomie – zaprotestowałam. – Poza tym nie zrobiłaby mi czegoś takiego.

– Musimy jakoś stąd uciec – mruknął Max i z całej siły szarpnął łańcuch, który jednak pozostał na miejscu. – Jeśli tu zostaniemy, to nie wiadomo, co mogą nam zrobić. Jaguara wykończyli, a Iv prawie zabili.

Zaczęłam przyglądać się kajdankom. Na filmach ludzie potrafią wybić sobie kciuk i wyjąć rękę. Taak... Muszę powiedzieć wam, że to bajeczki dla dzieci, bo nie da się wybić sobie kciuka. W każdym razie ani ja, ani Max, nie mogliśmy się uwolnić. Jedyne, co nam zostało, to siedzieć i czekać, gubiąc się w domysłach.

Spojrzałam na zegarek. Nie było ich już dobrą godzinę. Może w ogóle nie przyjdą? Ale przecież nie mogą nas tu trzymać jak więźniów!

W pewnym momencie Aki się ocknął. Takich przekleństw jeszcze nigdy wcześniej nie słyszałam!

Aki pochodzi z Finlandii i zna język fiński, chociaż nigdy tam nie był. A najlepiej udaje mu się przeklinać po fińsku. Jeśli z tego wyjdziemy, to muszę go poprosić, żeby mnie nauczył. Fajnie brzmiały, tak dziwnie.

Teraz Aki usiłował wyrwać sobie ramię ze stawu, próbując zerwać albo przynajmniej nadwężyć łańcuch. Niestety, nie udało mu się.

W końcu do naszego pokoju znowu przyszli tamci dwaj mężczyźni w kitlach. Musieli już czuć się pewniej, bo strażników zostawili za drzwiami.

– Widzę, że się obudziłeś – jeden z nich zagadnął Akiego. A w odpowiedzi Aki warknął. Tak, nie przesadzam – warknął.

Zupełnie jak wilk. Ma się te przyzwyczajenia, no nie? Max chodzi, prawie nie dotykając stopami ziemi, a Aki warczy. Chociaż jak na mój gust, to bardziej przydatna jest zdolność Maksa.

– Nie sądzicie, że powinniście coś nam wyjaśnić?! – spytałam, patrząc na nich wrogo.

– Szczerze? Nie – odpowiedział mi łysy. – Moglibyśmy was oskarżyć o wtargnięcie na teren prywatny i zaatakowanie naszego strażnika. Prawdopodobnie dostalibyście za to wyroki w zawieszeniu. Jednak nie zrobimy tego...

– A co? Wolicie nas wykończyć tak jak Jaguara? – spytał kpiąco Aki.

I właśnie w takim momencie człowiek ma ochotę mu przywalić. No powiedzcie, przecież on sam się prosi. Mógłby trochę pomyśleć, zanim coś powie.

– Nie – odpowiedział mu spokojnie tamten. – Jesteście dla nas zbyt cenni. Jeszcze nam się przydadacie.

Aki znowu coś prychnął pod nosem.

– Jednak rzeczywiście możemy wam coś wyjaśnić – wtrącił się drugi mężczyzna. – Pewnie podejrzewaliście, że potraficie się zmieniać w wilki ot tak sobie, prawda? – dodał, patrząc na Maksa. – Niestety, musimy was rozczarować. To nie matka natura maczała w tym palce, tylko my.

– Siedemnaście lat temu – podjął opowieść łysy. – Wybraliśmy piętnaścioro noworodków, urodzonych mniej więcej w podobnym czasie, i zaaplikowaliśmy im naszego wirusa. Był to wirus grypy, ale miał zmieniony genotyp: dołączyliśmy do niego parę genów dość powszechnie występującego tu gatunku wilka i spowodowaliśmy ciekawe mutacje. Preparat wprowadzony do waszych organizmów zaczął dodatkowo mutować i łączyć się z waszym DNA. Potem co parę lat sprawdzaliśmy, jak wirus się rozwija.

– No a resztę już znacie – powiedział znowu drugi. – Umiecie się przemieniać, macie wyostrzony węch, słuch i wzrok. Ogólnie wszystkie zmysły. Jednak nie jesteście superbohaterami jak postacie z komiksów. Po prostu umiecie coś, czego nie umieją inni.

– Przecież to niemożliwe – przerwałam mu. – Nauka nie zna nawet całej mapy ludzkiego genomu, a wy usiłujecie nam wmówić, że zrobiliście coś takiego!

– Jeśli to jest według ciebie niemożliwe, to wyjaśnij mi, w jaki sposób twoi przyjaciele potrafią zamieniać się w wilki. Umiesz to wytłumaczyć?

Zamilkłam, wpatrując się w niego pełnym niedowierzania spojrzeniem.

Przecież oni zrobili coś niesamowitego! Gdyby to opublikować, przeprowadzić odpowiednie badania, to kto wie... może nawet byłby za to Nobel!

– Co do ciebie – powiedział łysy, patrząc na mnie. – Testowaliśmy na tobie tylko pewną substancję pobudzającą pracę mózgu. Ale musimy nad nią jeszcze trochę popracować, trzeba zbyt długo czekać na efekty.

W tym momencie się wściekłam.

– Nie macie prawa! – krzyknęłam.

– No to co? – odpowiedział mi kpiąco.

Oni traktowali życie drugiego człowieka jak coś nieważnego! To straszne! Musimy się stąd wydostać. Nie wiadomo, do czego są zdolni!

– Co chcecie z nami zrobić? – spytał Max.

– Szczerze mówiąc, z wami nic. Jesteście częścią naszego doświadczenia, które cały czas trwa. Więc nie możemy, albo raczej nie chcemy na razie, by stało się wam coś złego – odpowiedział, patrząc na chłopców i akcentując „na razie”.

– A co do ciebie – dodał drugi, spoglądając na mnie. – To mamy już pewne plany.

– Nic jej nie zrobicie! – warknął Max i niespodziewanie zaatakował.

Złapał jednego z mężczyzn, tego łysego, za gardło, przyparł go do ściany, podnosząc kilka centymetrów do góry i zaczął dusić, tak mocno, że tamten aż zsiniał na twarzy. Ciekawe, czy gdyby ścisnął jeszcze mocniej, zmiażdżyłby mu krtań? Max jest bardzo silny, tylko że chyba nie do końca zdaje sobie z tego sprawę. Poza tym był wściekły, a człowiek w gniewie robi różne rzeczy...

Max pewnie udusiłby tamtego, ale drugi z nich miał... eee... jak to się nazywa? Aha, paralizator. I szybko go unieszkodliwił, tak samo jak Akiego, który też go zaatakował. Ponieważ ja miałam raczej małe pole do manewru z ręką przykutą do łóżka, to nie zostałam ogłuszona.

Mężczyźni podeszli do obu chłopców i skrócili specjalnymi kluczykami łańcuchy, a także przypięli ich nadgarstki dodatkowymi kajdankami. Chcieli mieć całkowitą pewność, że obaj nie będą mogli podnieść się z łóżek, nawet jak już się ockną.

Spojrzałam na nich przerażona.

– Co im zrobiliście? – spytałam.

– Tylko ogłusziliśmy – odparł ten, którego zaatakował Max. Dzięki Maksowi przez najbliższe pół roku chyba nie będzie mógł śpiewać. Całe gardło miał czerwone.

– Co chcecie mi zrobić? – krzyknęłam, już obawiając się tego, co usłyszę.

– Pomyśleliśmy, że jeszcze nigdy nie testowaliśmy naszego wirusa na osobach dorosłych – powiedział ten drugi. – Co prawda ty nie jesteś całkiem dorosła, ale nie szkodzi...

– Jest tylko jeden problem – dodał gruby. – Starsze, chociażby o miesiąc,

noworodki przeważnie umierały od tego wirusa, więc nie wiemy do końca, jak zareaguje twój organizm.

– To pogwałcenie moich konstytucyjnych praw! – krzyknęłam przerażona.

Oni nie mogą mi tego zrobić!!!

– Sądysz, że przejmujemy się tu czymś takim jak konstytucja?

– Nie zgadzam się!!! – krzyknęłam histerycznie.

– Twój głos nie ma żadnego znaczenia – usłyszałam w odpowiedzi.

Potem obaj mężczyźni skierowali się do wyjścia.

– Zaraz wrócimy – dodał jeszcze ochryłym głosem łysy. – Musimy iść po strzykawkę.

Matko! Zamierzali podać mi coś, co prawdopodobnie mnie uśmierci!!! Nie mogą tego zrobić! Ja nie chcę umierać! Jeszcze nie teraz!!! Przecież całe życie przede mną! Nawet nie zaczęłam jeszcze na dobre chodzić z Maksem! Poza tym, co z moimi planami?! Wiem, że to głupie, ale ja naprawdę wiązałam z Maksem moje plany na przyszłość. Może nawet za parę lat wyszłabym za niego za mąż! A oni chcą to tak po prostu przekreślić?! Po moim trupie!!! Zaraz, co ja mówię? Po jakim trupie? Wszystko już mi się miesza...

Zaczęłam gorączkowo myśleć. Muszę się stąd jakoś wydostać. Tylko jak???

Wiem, obudzę Maksa. Tak! To dobry pomysł! Zaczęłam gorączkowo szeptać:

– Max! Max! Obudź się!!! Max! Musimy uciekać! Aki! Oni zaraz tu przyjdą! Obudźcie się! Sama nie dam rady ich powstrzymać! Max!!!

Jednak oni nie reagowali. Ten paralizator był naprawdę skuteczny. Przysięgłam sobie, że jeśli jakimś cudem wyjdę z tego cało, kupię sobie coś takiego. Tak na wszelki wypadek...

Wcześniej uznałam, że za żadne skarby nie wybiłabym sobie kciuka, ale teraz próbowałam. Naprawdę próbowałam, jednak trzymał się okropnie mocno. Ciągnęłam, pchałam, a on nic!

Podejrzewam, że trzeba może nim o coś uderzyć, żeby wyskoczył. Robiłam, co mogłam, poobcierałam sobie całą rękę, ale nie udało mi się uwolnić. Próbowałam nawet rozwalić metalową ramę łóżka, ale jedynym efektem była obolała od kopania noga. A dawałam z siebie wszystko!

Nagle usłyszałam kroki na korytarzu. O nie!!! To oni!!! Idą tu!!! Znowu spróbowałam wyszarpnąć rękę i zawołałam rozpaczliwie:

– Max!!!

Ale ani ja się nie uwolniłam, ani Max się nie obudził...

## 18.

Do pokoju weszli obaj mężczyźni w kitlach. Nieśli największą strzykawkę, jaką w życiu widziałam. Wyglądała tak, jakby codziennie robiono z niej zastrzyki słoniom. Była ogromna! A ta igła... na sam jej widok zrobiło mi się słabo...

Szybko wstałam. Serce biło mi tak mocno, że czułam się tak, jakby miało mi zaraz wyskoczyć z piersi.

– Tylko spokojnie – powiedział łagodnie gruby i wolno do mnie podszedł.  
– Nie ma się czym denerwować...

Aha, nie ma się czym denerwować! A ta strzykawka to nic takiego???  
Stwierdziłam, że nie poddam się bez walki. Żywcem mnie nie wezmą!

Walczyłam dzielnie. Broniłam się rękoma (a w zasadzie jedną) i nogami. Parę razy udało mi się któregoś z nich kopnąć w czułe miejsca (to chyba bardzo bolało – no i dobrze!), a nawet walnęłam jednego z nich moim prawym sierpowym. Ha! Dzisiaj znowu miałam swój pierścionek. I co? Rozciąłam nim grubemu skórę na policzku! Będzie miał olbrzymią bliznę...

Młócenie pięścią szło mi coraz lepiej. Chyba rozwinęły mi się mięśnie górnej partii ciała, a to dzięki pływaniu kraulem. Chwała ci za to, Pijawko! To dzięki tobie i twoim treningom! Już nigdy z żadnego nie zwieję! Obiecuję!!!

W tym momencie chłopcy się ocknęli, ale nie mogli mi pomóc, byli przecież unieruchomieni. Mogli tylko patrzeć, jak powoli zaczynam przegrywać, i od czasu do czasu zachęcali mnie jakimś okrzykiem bojowym.

– Mocniej! Przywal mu w nos! W nos mówię! Nie w szczękę! – wrzeszczał Aki.

Nie muszę chyba dodawać, że specjalnie mi to nie pomagało. Raczej rozpraszało uwagę.

Odkryłam podczas tej walki, czemu kobiety zapuszczają sobie paznokcie. To po prostu świetna broń! Oczywiście nie tak miazdząca jak pięść, ale zostawia trwałe ślady. Zamachnęłam się i przejechałam paznokciami po twarzy Łysego i gdy się zasłaniał ręką, wybiłam mu z niej strzykawkę, która wleciała w powietrze i upadła przy drzwiach.

To była chwila mojej klęski. Strzykawka odwróciła moją uwagę i nie zauważyłam, kiedy któryś z napastników uderzył mnie w twarz. Rany! Aż mi się zrobiło ciemno przed oczami.

W tym momencie drugi z nich podniósł strzykawkę i zawołał strażników, którzy przygwoździli mnie do łóżka własnymi ciałami. Tak, musieli się na mnie położyć, żebym dostatecznie długo znajdowała się w jednym miejscu i by można mi było zrobić zastrzyk.

Gdy nie mogłam się już ruszyć, patrzyłam tylko przerażona, jak ktoś

podwija rękaw mojego golfu, a potem zbliża igłę do ramienia i wbija ją w skórę, wstrzykując mi jakąś przezroczystą substancję. Okropnie piekło!

Jak tylko mnie puścili, znowu zaczęłam kopać i szarpać się, ale wszyscy przezornie odsunęli się na bezpieczną odległość.

– Prawdopodobnie za kilka minut poczujesz zmęczenie i będzie ci się chciało spać. Ale nie martw się, to normalna reakcja organizmu – powiedział jeszcze zasapany łusy. – Przebieg zakażenia przypomina trochę grypę. Tylko że ty możesz tego nie przeżyć...

Zaśmiali się i wyszli, a ja bezsilnie opadłam na łóżko.

– Co oni ci wstrzyknęli? – spytał przerażonym głosem Max.

– Wirusa, który zamieni mnie w wilka. Będę taka jak wy – powiedziałam, wpatrując się w swoje ramię, jakby mogło to cokolwiek zmienić.

W tym momencie zachciało mi się płakać. Tak, wiem, jestem mazgajem, ale chyba każdy by się w tym momencie rozplakał, no nie?

– Czemu powiedzieli, że możesz tego nie przeżyć? – spytał Aki.

– Bo starsze od was noworodki po podaniu wirusa umierały, a ja jestem dużo starsza od noworodka... – powiedziałam i przerwałam.

Nagle przed moimi oczami zaczęły przeskakiwać kolorowe światełka i punkciki. O choroba, to strasznie szybko działa! Przymknęłam oczy, żeby nie widzieć oślepiających błysków.

– Margo! Co się stało?! Nic ci nie jest? Jak się czujesz? – spytał szybko Max.

Był bardzo zdenerwowany. Tylko że ja nie mogłam sobie w tym momencie przypomnieć, dlaczego on jest zdenerwowany. Co tu się w ogóle wydarzyło i gdzie ja jestem? Czułam, że strasznie chce mi się spać.

Spojrzałam na swoje ręce. Hm, ciekawe... Dlaczego ja mam cztery dłonie? Zerknęłam przed siebie. Hej! Naprzeciwko mnie jest dwóch Maksów! Niesamowite... Kurczę, czułam się jak na haju. Oczywiście nigdy nie brałam żadnych narkotyków, nawet nie palę, ale to było, to było...

– Margo! Czy ty mnie słuchasz?! Margo, co ci jest?! Margo!!!

– docierał do mnie gdzieś z oddali pełen paniki głos, przerywając moje rozmyślenia.

Tylko nie mogłam skojarzyć, skąd ja znam ten głos. W ogóle myślenie przychodziło mi jakoś tak z trudem. Poczułam się strasznie senna.

Ponieważ obrazy, które widziałam były coraz mniej wyraźne, zamknęłam oczy. W następnej chwili usłyszałam dziwny szum i poczułam, jak gdzieś spadam, i opadłam powoli na poduszkę.

Straciłam przytomność...

Jak się później dowiedziałam, śmiertelnie przestraszyłam Maksa i Akiego. Max chyba nawet wpadł w histerię, z mojego powodu! Wyraźnie coś dla niego znacę. Fajnie!

Po paru minutach od momentu jak straciłam świadomość, do pokoju znowu weszli obaj mężczyźni w kitlach i zaczęli mnie badać.

– Jezu, czy ona... – wyszeptał Max, patrząc na moje bezwładne ciało. – Bo jeśli tak, to was pozabijam!!! – To zdanie wywrzeszczał na całe gardło.

– Spokojnie, chłopcze – mruknął ten gruby. – Żyje. No proszę, a miesięczne dzieciaki padały jak muchy od razu po wstrzyknięciu.

– Tak, wygląda na to, że przeżyje. Mamy teraz żywy dowód – dodał podnieconym głosem drugi.

– Dobrze, ale nie wiadomo, czy nie wystąpią jakieś skutki uboczne – powiedział znowu gruby. – Musimy ją obserwować przez kilka następnych lat. Poza tym nie mamy pewności, czy materiał genetyczny się przyjął.

– Co teraz zrobicie? – spytał kpiąco Aki. – Chcecie nas tu więzić przez kolejnych siedemnaście lat? Nie sądzicie, że nasi rodzice mogą się zorientować, że nie wracamy po szkole do domu?

– Przecież zamierzamy was wypuścić – powiedział gruby, pocierając dłonią zraniony policzek. Miał naprawdę duży opatrunek.

– Że co? Chcecie nas wypuścić?! A nie sądzicie, że jak tylko stąd wyjdę, to pójde na policję, wezwę tu FBI, CIA i nawet samego prezydenta? – warknął Aki, zbity z tropu tą wiadomością.

Jakbym nie była nieprzytomna, tobym mu chyba tak przywalila, że już by się nie podniósł. To oni chcą nas wypuścić, a on ich ostrzega, że zamierzamy ich wydać. Możecie mi wyjaśnić, gdzie on ma głowę? Bo mnie się wydaje, że zostawił ją w domu.

– Nikogo nie zawiadomisz – powiedział, uśmiechając się obleśnie łysy. – Bo jeśli to zrobicie, to waszym rodzinom może się przydarzyć coś smutnego. Jakiś wypadek, na dodatek bardzo, bardzo nieszczęśliwy i podejrzewam, że śmiertelny. Więc radzę nie mówić o tym nikomu, ani waszym rodzicom, ani władzom.

No tak. Teraz mają pewność, że nie piśniemy nawet słówka. Wiemy już, do czego są zdolni, więc na pewno nie cofną się przed niczym.

– Prosimy też uprzejmie, żebyście raczej nie wyjeżdżali z miasta, bo i tak was znajdziemy i może się to z kolei bardzo źle skończyć dla was samych – dodał drugi. – Za chwilę wszczepimy wam mikronadajniki, a nasz satelita namierzy was wszędzie, nawet na Alasce.

O choroba, więc zwiac też się nie da...

Potem gruby zawołał coś do strażnika, a ten zaraz przyszedł, ciągnąc za sobą wózek, na którym leżały trzy strzykawki.

– Wszczepimy je wam głęboko pod skórę. Radzę nie próbować ich potem usunąć, bo my możemy usunąć was – dodał gruby.

Gdyby coś takiego zostało powiedziane w filmie, to ten film na pewno nie dostałby Oscara. Ci ludzie nie mają nawet wyobraźni...

– Lepiej też nie ruszajcie się podczas tego zabiegu – powiedział drugi. – Umieścimy wam te chipy tuż pod linią włosów na karku, przy samym kręgosłupie, więc jak się przypadkiem poruszycie, to możemy wam coś uszkodzić i zostaniecie kalekami do końca życia. A kalekie wilki nie są nam potrzebne.

Ma facet dar przekonywania. Nawet gdybym nie była nieprzytomna, też bym się w ogóle nie poruszyła. Podejrzewam, że na wszelki wypadek nawet bym nie oddychała...

Potem wyszli, wynosząc cały swój sprzęt. Po chwili wrócili.

– To jak, wypuszczamy ich? – Grubas spojrzął na towarzysza.

– Tak, nie są już nam potrzebni, a dziewczyna przeżyje. Jest tylko nieprzytomna – a widząc pełne nienawiści spojrzenie Maksa, dodał szybko: – Ocknie się za parę godzin.

– Zanim nas puścicie, chcę wiedzieć jeszcze jedno! – zawołał Aki.

No nie! Ktoś powinien mu coś zrobić!!! Wielka szkoda, że w tym kraju za zabójstwo w afekcie idzie się do więzienia...

– Dlaczego zabiliście Jaguara i potraciliście Ivette? – spytał.

– Jaguar zaczął nam przeszkadzać, po tym jak do was strzelał. Nie mogliśmy pozwolić na to, by coś zagroziło naszemu projektowi – odpowiedział łysy.

– A Ivette Reno usiłowaliśmy zlikwidować, ponieważ dowiedziała się czegoś, czego nie powinna się dowiedzieć – dodał gruby.

– Ale jej nie zabiliście – powiedział Aki.

– Przypadkiem nam się nie udało, ale wierz mi, próbowaliśmy – odparł złowieszczo.

– Nic jej nie zrobicie! – warknął Aki.

– Już jej zrobiliśmy, a poza tym ty nie masz na to wpływu – skwitował gruby i zawołał strażników.

Dwóch z nich celowało do chłopców, a trzeci przerzucił sobie mnie przez ramię i wyniósł.

Wyprowadzili nas tym samym korytarzem, którym przyszliśmy. Następnie wjechaliśmy windą na górę i ruszyliśmy w stronę holu. Tu, nadal trzymając chłopców na muszce, niosący mnie strażnik podał mnie Maksowi, a następnie wypuścili nas na zewnątrz.

– Nikomu nie wolno wam mówić o tym, co się tu działo – przypomniał gruby, pocierając zranioną twarz. – Pamiętajcie.

Następnie zamknęli za sobą drzwi na klucz i odeszli w głąb budynku. Max niósł mnie na rękach aż do motoru. A ja to przespałam! Niech to licho!!!

Mark i Adrienne strasznie zdziwili się na nasz widok. Poza tym byli przerażeni, że tak długo nie wracaliśmy, bo nie było nas parę godzin. Ale w

końcu i tak nie mogli nam pomóc, wszystko działało się w środku, a oni przecież byli na zewnątrz.

Podobno usiłowali mnie obudzić, ale im się to nie udało, więc Max posadził mnie na siodełku przed sobą i w żółtym tempie powlekliśmy się z powrotem do domów. Nie wiedzieli tylko, co mieli ze mną zrobić, jeśli bym się nie obudziła. Przecież nie zostawiliby mnie w ogrodzie.

Ale na szczęście ocknęłam się, gdy byliśmy właśnie za moim domem.

– Gdzie ja jestem? – spytałam, rozglądając się nieprzytomnie. Cały czas zwisałam bezwładnie z motoru, oparta o kolana Maksa.

Szybko się podniosłam, ale tak mi się zakręciło w głowie, że z powrotem opadłam na niego, łapiąc się rękoma za głowę.

– O matko! – mruknęłam.

– Co ci jest? – spytał z troską Max i objął mnie ramieniem. Widać nie przeszkadzało mu to, że opieram się na nim całym ciężarem. W końcu prawie pięćdziesiąt kilo to nie byle co.

– Świat tańczy mi przed oczyma – mruknęłam, patrząc pomiędzy palcami, jak wszystko powoli wraca do normy.

– Chyba musisz jakoś wejść na górę – stwierdził.

Spojrzałam na pergolę. Wejść? Wejść na to?! W życiu! A w każdym razie nie w momencie, kiedy drzewa wciąż skaczą mi przed oczyma.

– Wiesz, chyba nie dam rady.

– Na pewno ci się uda – zachęcał mnie.

Powoli rozejrzałam się dookoła i stwierdziłam, że jesteśmy sami.

– Gdzie reszta? – spytałam zaniepokojona. Czyżby coś się stało?

– Pojechali już do domów. Dość długo byłaś nieprzytomna – wyjaśnił, patrząc na mnie tymi swoimi niesamowitymi, zielonymi oczami. Mówiłam już, że są wspaniałe? Człowiek aż ma ochotę po prostu siedzieć i wpatrywać się w nie. Nie wiem, czy to moje lekkie otępienie spowodował tamten wirus, czy może dopiero teraz zauważyłam, jak bardzo jego oczy są piękne. Ta zieleń jest po prostu urzekająca, a te błyski, gdy jest wesoły albo zły... Poza tym... Margo, słuchasz mnie?

– Tak – skłamałam szybko.

A co miałam mu powiedzieć? Że właśnie zastanawiałam się, czy jego oczy mają kolor bardziej przypominający szmaragdy, czy może świeżą trawę?

– Chyba masz gorączkę – mruknął do siebie i przyłożył mi dłoń do czoła.

– Jak długo byłam nieprzytomna? – spytałam, wygodniej się na nim opierając.

– Jakies trzy godziny – mruknął.

Zaraz, czy ja dobrze zrozumiałam? Czekał tu ze mną trzy godziny, żebym się obudziła? A niech mnie! Mój własny rycerz w srebrnej zbroi, to znaczy w skórzanej kurtce, razem ze swoim wspaniałym, białym rumakiem, czyli

niesamowitym, czarnym motocyklem...

– To chyba będę się zbierać – stwierdziłam i ostrożnie usiadłam, nadal podtrzymywana przez Maksa.

Wszystko wirowało jeszcze przez chwilę, ale zaraz się uspokoiło. Już miałam wstawać, gdy złapał mnie za rękę.

– Margo, czuję się winny. Oni coś ci zrobili. Z tego, co zrozumiałem, zrobili ci to, co mnie, kiedy byłem mały. Zrozumiem, jeśli teraz mnie za to znienawidzisz. Przepraszam cię. Nie powinienem pozwolić ci iść z nami. W ogóle nie powinienem cię w to mieszać. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że jeśli mógłbym to wszystko cofnąć, zrobiłbym to – powiedział, patrząc mi głęboko w oczy, jakby oczekiwał, że zobaczy w nich odpowiedź.

– Max. Wcale nie chciałabym, żebyś cokolwiek cofał. To był najwspanialszy rok w moim życiu. A to, co mi zrobili... no cóż, mówi się trudno. I tak już coś na mnie wcześniej testowali. Nie jest powiedziane, że i tego by nie zrobili. Nie masz się o co obwiniać. Wszystko robiłam zupełnie świadomie – szepnęłam i go pocałowałam.

– Kocham cię – szepnął Max.

– Ja ciebie też – wyznałam z westchnieniem. Wreszcie to sobie powiedzieliśmy!!!

Max zszedł z motoru i pomógł mi wstać. Nie przewidzieliśmy tylko jednego – nogi się pode mną same ugięły. Gdyby mnie nie złapał, leżałabym jak długa. Mimo moich protestów wziął mnie na ręce (Ha! Teraz byłam przytomna!!!) i zaniósł mnie pod mój balkon. No tak. Tylko, co teraz?

– Nie dam rady wejść – stwierdziłam.

– Pergola nie wytrzyma ciężaru dwóch osób – mruknął Max. – Nie wniosę cię. Zresztą i tak nie mam pojęcia, jak miałbym to zrobić.

Wtedy wpadłam na pomysł:

– Może przez kuchnię! Drzwi są na pewno otwarte! Tylko musimy uważać, żeby nie obudzić moich rodziców.

Pewnie na widok mnie z Makssem, wracających o tej późnej porze, padliby na zawał.

Oczywiście, tak jak podejrzewałam, drzwi kuchenne były otwarte. A jakże... Złodzieje z całego miasta! Zapraszamy! Nasze progi zawsze są dla was gościnne!

Max po cichu otworzył drzwi i ostrożnie wniósł mnie do środka. (Ależ to zalatuje Harlequinem! No cóż, trzeba jednak przyznać, że było to szalenie romantyczne). Swetera jak zwykle nigdzie nie było widać. Zawsze w podejrzanym sposobie znika, gdy tylko Max pojawi się w pobliżu. Hm, ciekawe, czy teraz na mnie też tak będzie reagować?

Ze schodami poszło już trochę gorzej, bo one potwornie skrzypią. Max musiał iść przy ścianie, bo inaczej postawilibyśmy cały dom na nogi. Następnie

wniósł mnie do mojego pokoju i położył na łóżku.

Bogu dzięki, że rodzice się nie obudzili! Jakby zobaczyli mnie sam na sam z chłopakiem w moim pokoju o (zaraz, musiałam zerknąć na zegarek) piątej nad ranem, to chyba miałabym szlaban do końca życia.

– No dobra, to ja spadam – mruknął Max i pocałował mnie w policzek, a następnie podszedł do drzwi na balkon. – Podejrzewam, że tędy będzie bezpieczniej?

– Tak – odparłam i uśmiechnęłam się.

– Na pewno dobrze się czujesz? – jeszcze raz spytał, a na czole pojawiła się ta jego zmarszczka.

– Tak – odpowiedziałam.

W następnej chwili już straciłam Maksa z oczu. Opadłam na poduszki i zamknęłam oczy. Strasznie dużo się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku godzin. Momentalnie więc zasnęłam. W ubraniu i butach oczywiście, bo przecież się nie przebrałam. Ale kogo by to obchodziło w tym momencie?

Następnego dnia stwierdziłam, że czuję się już lepiej, ale też spałam do dwunastej. W którymś momencie, chyba o ósmej, obudziły mnie dźwięki dochodzące z kuchni, więc korzystając z tego, że choć trochę jestem przytomna, przebrałam się w piżamę. Miałam nadzieję, że nikt niczego nie zauważy, ale cóż...

Mama chyba wszystko widzi, bo zaciągnęła mnie do lekarza. Gdzieś tak koło trzeciej po obiedzie zapakowała mnie w samochód i zawiozła do szpitala. Nie uwierzycie, kto mnie badał. Tak, ten sam lekarz, co poprzednio.

Stwierdził, że mam lekką grypę i po prostu jestem niewyspana, a mówiąc to ostatnie, porozumiewawczo do mnie mrugnął. Na serio lubię tego gościa, jest kapitalny.

Trochę się bałam, no bo przecież on mógłby coś odkryć. Na szczęście tylko przepisał mi antybiotyk i powiedział mamie, że nie będę mogła brać udziału w treningach na basenie, bo mogłoby mi to zaszkodzić. Hurra!!!

Antybiotyku oczywiście nigdy nie wzięłam. Po co miałabym się truć, no nie?

Jakiś miesiąc później do Wolftown wróciła Ivette. Gdy tylko się o tym dowiedziałam, zadzwoniłam do Akiego i jak na skrzydłach pobiegłam do domu Iv.

Drzwi otworzyła mi jej mama.

– Och, dzień dobry, Margo – powiedziała, patrząc na mnie z uśmiechem.

W chwili, gdy się witałyśmy, przed dom zajechał z piskiem opon motocykl Akiego. Chłopak szybko z niego zsiadł i podbiegł do nas.

– Dzień dobry – zawołał do matki Ivette. – Gdzie Iv?

– Z tyłu domu, na werandzie – odpowiedziała zaskoczona. – Ale muszę wam coś powiedzieć. Ivette doznała podczas wypadku poważnego urazu głowy... i... straciła pamięć...

– Pójdziemy do niej – przerwałam jej szybko i pobiegłam za chłopakiem, który bezceremonialnie pognął już przez ogródek na tyły domu.

– Aki! Poczekaj! – krzyknęłam za nim, ale się nie zatrzymał. Ivette siedziała na leżaku w cieniu drzew i czytała jakieś czasopismo. Miała jeszcze zabandażowaną głowę i nogę w gipsie, ale wyglądała już w zasadzie bardzo dobrze. Gdy tylko nas usłyszała, odwróciła się w naszą stronę.

Aki szybko podszedł do leżaka i usiadł na trawie, a ja przykucnęłam po drugiej stronie. Iv zdeorientowana patrzyła to na mnie, to na Akiego.

– Ivette, jak to dobrze, że już przyjechałaś! – wykrzyknął z tłumioną radością Aki, a on raczej nie okazuje emocji. – Jak się czujesz? – spytał jeszcze i delikatnie dotknął ręką policzka Iv.

Jednak zamiast się zarumienić, czy coś w tym rodzaju, dziewczyna odskoczyła jak oparzona i spytała z niepokojem:

– Kim ty jesteś? Kim wy jesteście? – Zerknęła niepewnie na swoją mamę, która właśnie do nas dołączyła.

– Nie poznajesz mnie? – spytał ze smutkiem chłopak, ale zaraz uśmiechnął się do niej. – To ja, nie pamiętasz mnie? – na jego twarzy malował się prawdziwy ból.

Jednak wzrok Ivette pozostał przeraźliwie pusty. Spojrzała na niego i powiedziała przeproszającym głosem:

– Przykro mi, ale cię nie pamiętam. Mamo... – zawołała słabo.

– Kochanie, to twoi przyjaciele... – powiedziała pani Reno z łagodnym uśmiechem.

Wstrząśnięty Aki aż zaniemówił. Nigdy wcześniej go takim nie widziałam. Gdybym go tak dobrze nie znała, to stwierdziłabym, że jest bliski płaczu. Pochylił głowę. Krew odpłynęła mu z twarzy i mocno zacisnął pięści. Tak mocno, że aż zbieleły mu kostki.

– Ja... – powiedział chłopak, ale przerwał. – Nieważne. Zapomnij o mnie. Ja nie istnieję.

Następnie wstał i szybko odszedł.

– Hej! Poczekaj! – krzyknęła jeszcze Iv. – Nie rozumiem cię! Jednak Aki nie zatrzymał się, a po chwili usłyszałyśmy tylko odgłos odjeżdżającego motoru. Nawet się nie obejrzał...

– Kto to był? – spytała Iv, patrząc teraz na mnie.

– To... – zaczęłam, ale urwałam.

A może lepiej nie mówić jej, kim był dla niej Aki ani jak się nazywa. W końcu swoim zachowaniem postanowił chyba przekreślić wszystko, co ich łączyło. Co prawda nie wiem dokładnie, co ich łączyło, ale po minie Akiego i

jego czułych gestach sądząc, było to coś bardzo ważnego.

– ...przyjaciel – dokończyłam.

– Dziwne – mruknęła Iv. – Nie rozumiem. Czy... my się znamy? Wybacz, ale ciebie też nie pamiętam...

Serce zamarło mi w piersi. Ja też zniknęłam z jej pamięci!

– Ja jestem twoją przyjaciółką. Chodzimy razem do szkoły – powiedziałam. – Mam na imię Margo.

– Margo? – upewniła się i uśmiechnęła przepraszająco.

– Przykro mi, ale ja nie pamiętam. Ale przecież możemy zaprzyjaźnić się jeszcze raz, prawda?

Te wszystkie miesiące naszej przyjaźni, sekretów, wzajemnych spotkań i przeżyć zupełnie przepadły. Poczułam, jak moja nienawiść do Instytutu zaczyna rosnąć. To przez nich Ivette niczego nie pamięta!!! To oni zniszczyli naszą przyjaźń!

– Tak, możemy – odpowiedziałam jednak spokojnym głosem i uśmiechnęłam się.

A przecież wtedy w szpitalu, jeszcze tu, w Wolftown, czuła się dobrze i wszystko pamiętała... Czyżby w tym Nowym Jorku zrobili jej pranie mózgu? I spowodowali utratę pamięci? To zwyrodnialcy!

Nie zamierzałam zdradzić się Iv z tym, co wiem.

Gdy wychodziłam od niej po jakichś dwóch godzinach, jej mama zatrzymała mnie w drzwiach.

– Chciałam wam coś jeszcze powiedzieć. Ivette po wypadku doznała częściowej amnezji. Nie pamięta zupełnie tylko ostatniego roku – powiedziała smutnym głosem. – Ale lekarze mówią, że powoli wszystko sobie przypomni – dodała z nadzieją.

– To dobrze – odpowiedziałam i podeszłam do ogrodzenia, przy którym stał oparty motor Maksa.

Zadzwoiłam do niego, żeby po mnie przyjechał. Poprosiłam go też, żeby nie wchodził do środka. Iv miała dzisiaj aż za dużo wrażeń.

Nie podejrzewam, że Ivette tak po prostu zapomniała to wszystko. W końcu już po wypadku, jeszcze w Wolftown, wszystko dokładnie pamiętała i była zadziwiająco przytomna. Dopiero gdy przyszła tamta pielęgniarka, straciliśmy z nią kontakt.

Instytut musiał się do niej dostać w Nowym Jorku i pewnie zrobili jej pranie mózgu. Tak, na pewno to zrobili. No, bo jak inaczej można wyjaśnić tę nagłą (i to częściową) utratę pamięci?

W każdym razie, nie miałam już więcej możliwości rozmowy z Iv. Jej rodzice stwierdzili, że dla jej dobra wyjadą na wakacje do Europy, a dokładniej do rodzinnej Francji. Żal mi, bo chciałam spędzić z nią więcej czasu. Co prawda dostałam numer telefonu, pod którym powinnam ją złapać, ale to nie to samo, co

prawdziwa rozmowa.

Kiedy się pożegnałyśmy i wracałam powoli do domu, pomyślałam, że może lepiej by było, gdyby Ivette nie przypominała sobie wydarzeń ubiegłego roku. Bardzo mi jej brakowało, no i szkoda mi było Akiego, ale dopóki Iv niczego nie pamięta, jest bezpieczna...

## Podziękowania

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie wsparcie i pomoc życzliwych mi ludzi...

Chciałabym podziękować mojej Rodzinie: Mamie, Babci i Dziadkowi. Przez cały czas, kiedy pisałam, cierpliwie znosiliście wielogodzinne stukanie w klawiaturę, stworzyliście mi warunki do pracy i otoczyliście zrozumieniem, wierząc, że moja praca ma sens.

Serdecznie dziękuję także moim polonistkom, Pani Ewie Litwin, która w gimnazjum zaszczepiła we mnie chęć pisania i czytała każde moje opowiadanie lub wiersz, a także Pani Małgorzacie Świczar, która w liceum pomogła rozwinąć się moim talentom – gdyby nie Pani rady i pomoc, ta książka nigdy nie ujrzałaby światła dziennego.

Na koniec chciałabym podziękować mojej najlepszej przyjaciółce, Darii Kardyś, za to, że z zapałem czytała mojego *Wilka* i tak jak ja pokochała stworzonych przeze mnie bohaterów.

Jeszcze raz dziękuję wszystkim za to, że byli przy mnie i wierzyli, że mi się uda...